W KWESTYI KRYTYKI.

Nieporozumienia pomiędzy autorami a krytyką istniały i istnieć będą, a będą, bo muszą. Zjawisko to ma zbyt poważne przyczyny, ażeby można łudzić się nadzieją, że kiedykolwiek zaniknie. W parlamencie, w zacisznych gabinetach można szeroko rozprawiać lub marzyć na temat fikcyjnéj równości ludzi, ale nie wolno tych urojonych fikcyi narzucać naturze. Póki zaś ta nie przestanie obdarzać ludzi niejednakowym stopniem wrażliwości, pamięci i rozumowania, póty i wszelkie wysiłki nasze w kierunku wytworzenia jakiéjś krytyki jednomyślnéj, jakiéjś idealnéj zgody pomiędzy krytykiem a autorem z jednéj strony i samymi krytykami pomiędzy sobą—z drugiéj, pozostawać będą zawsze tylko czczą marą i błogiém życzeniem. Sama téż różnorodność poglądów na dany utwór czy dzieło sztuki, o ile wynika z różniczkowań naturalnych naszéj organizacyi psychicznéj, nie jest jeszcze złém najgorszém, i każdy rozsądny autor musowe to zjawisko z pewnością uwzględnia i z sądem, choćby najbardziéj dla niego nieprzychylnym, byle tylko należycie umotywowanym, pogodzić się potrafi. Ale przykrém, smutném, a częstokroć wprost oburzającém staje się owo nieporozumienie pomiędzy krytyką i autorem tam, gdzie się już kończą przyczyny, że tak powiemy, naturalne, ustępując miejsca słabościom, namiętnościom, a często i niskim instynktom ludzkim. Kiedy krytyk, pozwalając sobie zapomniéć o swém zadaniu, traci z oczu samo dzieło i zamiast krytyki utworu daje nam krytykę spraw, czynów lub prywatnych słów autora, kiedy sąd ten zaprawionym zostaje względami partyjnemi i, co się nierzadko zdarza, osobistą nie-

chęcią dla krytykowanego, wtedy kwestya zatargów pomiędzy autorem a krytyką wkracza w dziedzinę moralności i, jako taka, już nie z estetycznego, ale z etycznego punktu widzenia powinna być rozbiérana. Wtedy téż, mając do czynienia nie z żadną *force majeure*, ale poprostu ze złą wolą ludzką, można już mowić o środkach zaradzenia złemu i w poprawę stosunków wierzyć.

To téż ożywieni wiarą w możliwość polepszenia dzisiejszego stanu rzeczy, pozwalamy sobie zwrócić uwagę na niektóre zasadnicze błędy naszéj krytyki, które, jak się zdaje, nie mało się téż przyczyniły do całego szeregu nieporozumień i zatargów, jakich w ostatnich czasach byliśmy świadkami.

Pierwszy i zasadniczy błąd większości naszych krytyk polega na t. zw. „taksowaniu" utworów, zamiast ich wyjaśniania. Błąd ten, zdaje się, wynika z mylnego zrozumienia zadania i celu krytyki, a jest on tak powszechny, że krytykowanie stało się u nas niemal równoznaczne z wynajdywaniem ujemnych stron w danym utworze, czy dziele sztuki i odpowiedniém za nie połajaniu autora. Krytyk, powołany czy niepowołany do tego, przybiéra się w togę sędziowską i z wysokości swego, częstokroć uzurpowanego urzędu wyrokuje o wartości dzieła sztuki, spełniając jednocześnie rolę kalefaktora, który za usterki wymierza doraźną karę w postaci najrozmaitszych drwin, docinków i wszelkiego rodzaju wstrętnych szykan, w razie zaś zadowolenia z utworu, pieje hymny pochwalne na cześć autora. I jeszcze całe szczęście, jeżeli krytyk raczy ten swój wyrok w jakikolwiekbądź sposób umotywować i wytłómaczyć się, na zasadzie jakiego artykułu kodeksu estetycznego uważa autora za winnego skarcenia lub pochwały. Częstokroć bowiem się zdarza, że krytyk taki wyrokuje jak sędzia przysięgły: „rzecz dobra lub zła" — powiada kategorycznie, nie krępując się bynajmniéj tém, czy mu czytelnicy zechcą tak na słowo zawierzyć.

Pomijamy jednak ten sposób pisania krytyk, jako przedewszystkiém pozbawiony wszelkiéj pedagogicznéj wartości, gdyż ani autora, ani ogółu niczego nie uczy, nadmienimy tylko, że takie rozmyślne uchylanie się krytyki od obowiązku uzasadniania swych sądów, uważać należy za rzecz wprost niemoralną, prowadzącą najłatwiéj do rozmaitych nadużyć z przywileju zabiérania publicznego głosu. Natomiast postaramy się objaśnić, dlaczego owo „taksowanie" utworu, choćby nawet poparte odpowiedniemi motywami, uważamy za niewłaściwe. W tym jednak celu niech nam wolno będzie odstąpić nieco od rozpoczętéj materyi i chociaż pokrótce odpowiedzieć na pytanie: co jest właściwie celem i zadaniem krytyki?

Artysta-malarz, literat czy muzyk, im bardziéj oderwie się w swoich utworach od przeciętnego typu swych czytelników, widzów czy słuchaczów, im więcéj będzie samym sobą, tém szczuplejszego kółka swych zwolenników będzie tłómaczem. Jednostki, daléj po za nim stojące, nie będą już mogły odczuwać roskoszy, doznawanéj zazwyczaj z przypomnienia przeżytych wrażeń, poprostu dlatego, że one tych wrażeń nie doznawały, nie przeżywały, a zatém i przypomnienie, na razie przynajmniéj, jest dla nich niemożliwém. Rzecz więc bardzo naturalna, że jednostki te, nie doznając roskoszy, płynącéj z nazwania nam rzeczy, które znamy z wrażenia, lecz których nie umieliśmy odpowiedniém nazwać sobie imieniem, że jednostki te niezrozumiały dla nich utwór zaczną potępiać i nie uznawać jego artystycznéj wartości. I przyznać należy, że sąd ten, jakkolwiek w stosunku do istotnéj wartości dzieła może jaknajbardziéj mylny, względnie do subiektywnych wrażeń sądzącego ogółu, posiada najzupełniejszą racyę bytu.

Ale oto i początek nieporozumienia pomiędzy autorem i masą. Autor się oburza, że jest niezrozumiany, ogół zaś utwór lekceważy, podejrzéwając, że jest wprowadzany w błąd, ponieważ utworu zrozumiéć nie może. I scysya tu trwać musi dopóty, dopóki z czasem zostaną wyrównane różnice w ich pojęciach.

I tutaj właśnie zaczyna się wdzięczna rola krytyki, polegająca na pośredniczeniu pomiędzy owemi wybitnemi jednostkami, „bohatérami", jak je Carlyle nazywa, a nieprzywykłym do nowych idei, haseł czy sposobów patrzenia na rzeczy—ogółem.

Krytyk, jako więcéj przygotowany specyalnie do odczuwania pewnéj sfery zjawisk estetycznych i do ich uświadamiania sobie (czy to w dziedzinie literatury, czy muzyki lub malarstwa i rzeźby), łatwiéj może zrozumiéć język, jakim do nas przemawiają wszelkiego rodzaju chorążowie nowych kierunków, t. zw. nowatorzy, łatwiéj mu jest odczuć ideały, jakie światu wskazują. Stojąc zaś bliżéj masy, może i powinien owe uświadomione wrażenia i przyswojone nowe idee popularyzować śród ogółu.

Jak więc widzimy, zadanie krytyki jest nader wzniosłe i w cywilizacyjnym ruchu ludzkości ważne, pomaga ono bowiem szerokim warstwom wznosić się do tych wyżyn, na jakie mocą geniuszu udało się wzbić zaledwie wybranym od natury duchom.

Spełniając jednak to zadanie, poważny krytyk nie powinien nigdy zapominać, że, jakkolwiek jest on w większéj lub mniejszéj mierze uzdolniony do pojmowania wyższych organizacyi artystycznych, jednakże mogą się zdarzyć takie śmiałe wzloty geniuszu, że już i jemu

zatrudno będzie dotrzymać towarzystwa autorowi. Pamiętać należy, że artysta dla wypowiedzenia swojéj idei takie może wynaléść środki i sposoby, taką, inaczéj mówiąc, stworzyć sobie formę, o jakiéj i samemu krytykowi nigdy się jeszcze nie śniło, — a zatém, może nadejść chwila, kiedy dla wymierzenia danego dzieła sztuki poprostu może mu zabraknąć skali. Czyż dlatego, żeśmy stanęli wobec zagadki, że dzieła nie rozumiemy, mamy prawo wnioskować, że dzieło to samo w sobie jest bez wartości i potępiać zaraz jego autora?

A jednak, niestety, w większości wypadków nieporozumień pomiędzy autorem a krytyką ten właśnie błąd jest ich przyczyną. Krytyk zapomina, że on z całym zapasem swéj wiedzy, erudycyi i smaku — to tylko przeszłość sztuki, że jéj przyszłość dzierży w swéj piersi i potędze talentu wyłącznie tylko — artysta; dążąc zaś do wypowiedzenia doraźnego sądu, krytyk z konieczności zaszczycać będzie swém uznaniem częstokroć miernotę, szablon i rutynę. Co zaś nie da się wymierzyć łokciem znanych formułek estetycznych, to bez pardonu również musowo będzie musiał potępić.

Zamiast dążyć do zrozumienia celów artysty, do uchwycenia tych pobudek, które go skłoniły do zerwania z tradycyą i wstąpienia na nowe tory, zamiast zespolenia się z duszą autora i wytłómaczenia jego ideałów ogółowi, krytyka nasza... tylko sądzi.

Rozumiemy doskonale, że i wypowiedzenie doraźnego sądu o danym utworze, czy dziele sztuki, ma racyę bytu i jest potrzebném, choćby jako wymiar zasług samego autora, ale w żaden sposób nie możemy się zgodzić, ażeby postawienie mu odpowiedniego stopnia miało stanowić ostateczny i jedyny cel krytyki. Dla prawdziwego poety, malarza czy rzeźbiarza, najlepszém uznaniem i nagrodą wyższą ponad wszelkie zdawkowe pochwały będzie poczucie, że został zrozumianym i odczutym, że głos jego nie odbija się o głuche skały, ale zapada w mózgi i serca ludzkie.

Jeżeli jednak wyłączne dążenie do „taksowania" utworów uważamy za kardynalny błąd większości naszych krytyk, to niemniéj wadliwy jest, naszém zdaniem, i sam sposób, w jaki się ono odbywa. Błąd ten jest rezultatem mniejszéj lub większéj ciasnoty stanowiska, jakie krytycy zajmują względem krytykowanych utworów. Każdy krytyk, jak już nadmieniliśmy powyżéj, po większéj części ma już *à priori* urobioną jakąś formułkę estetyczną i stara się ją w każdym poszczególnym wypadku zastosować. Samo się przez się rozumié, że nie każdy utwór da się wpakować w mniéj więcéj ciasne ramki takiéj formuły, że zaś krytyk nie chce lub nie potrafi odpowiednio ich rozszerzać, przeto wszystko, co się po za ich obwód wymyka, zostaje po-

tępionėm i uznanėm za bezwartościowe. Krytyk np. zwolennik teoryi sztuki dla sztuki wszelkie utwory o jaskrawéj tendencyi będzie cenił o wiele niżéj od utworu, mającego jedynie artyzm na względzie, krytyk zaś o duszy więcéj uspołecznionéj — odwrotnie. Zamiast używać wszelkich sposobów, ażeby się zakraść w tajniki duszy autora, poznać tętno jego serca, jego myśli i cele i w nich szukać probierza do oceny utworu, starają się oni narzucić autorowi swoje myśli, swoje uczucia, swoje przekonania społeczne, religijne, estestyczne i Bóg wié nie jakie. A jeśli autor będzie je miał odmienne, daléjże zaraz oburzać się na niego!

Przed kilkoma laty w jednym z salonów Towarzystwa zachęty zawieszony został obraz niewielkich rozmiarów. Tytułu ani autora jego już nie pamiętamy. Artysta przedstawił w nim jakiś motyw z bajki: śpiącą królewnę, czy coś w tym rodzaju, w otoczeniu szeregu mężkich i żeńskich postaci. Obraz ten zwracał na siebie uwagę dziwną nienaturalnością barw. Twarze tam były zielone, włosy żółte i t. p., jednėm słowem, było to *sui generis* „*Au rebours*” Huysmans'a. Publiczność, pamiętamy, stawała tłumnie przed tém płótnem i jak zwykle na widok owocu nowatorstwa, jedni kiwali głową jakby na znak politowania nad nieszczęśliwym autorem malowanéj fantazyi, drudzy wprost wybuchali głośnym śmiéchem, skromniejsi wzruszali tylko ramionami, — jednėm słowem, nieporozumienie między malarzem a publicznością było tu najzupełniejsze. Zdawaćby się mogło, że krytyka poważna zabierze głos tutaj i wyjaśni, o co chodziło autorowi. Tymczasem nic z tego. Zamiast wytłómaczenia, że artysta dążył do wywołania wrażeń czysto barwnych, że dlatego prawdę ograniczył tu do naturalnego rysunku postaci, w kolorycie zaś umyślnie rozmijał się z rzeczywistością, chcąc wywołać w widzu przyjemne wrażenie samym doborem i zestawieniem harmonijném barw, — otóż zamiast wniknąć w intencye autora, poznać jego teoretyczne poglądy i dopiéro z punktu widzenia autora ocenić, o ile udał się ten kolorystyczny eksperyment, krytyka nasza kłóciła się z autorem o kolor włosów, plastykę figur i t. d. i we wszystkiém szukano prawdy.

Dobrze pojmujemy, że można się na podobną doktrynę w sztuce nie zgodzić, można ją było nawet potępić, jako szkodliwą, ale w każdym razie najprzód należało krytyce ją poznać, wyrozumiéć i ogółowi wyjaśnić, żeby przynajmniéj owa niewtajemniczona w najnowsze prądy sztuki publiczność wiedziała, że ma do czynienia z człowiekiem, nie pozbawionym logiki.

I to samo mamy w literaturze.

Kto z nas nie pamięta tych namiętnych sporów krytyków po zjawieniu się trylogii. Ileż tam było piany, ileż insynuacyi i śliny, — a wszystko o co? Że ta i owa partya chciała widziéć Sienkiewicza na łonie swoich haseł. Nie chciano czy nie umiano zająć stanowiska artysty i z jego punktu widzenia na te arcydzieła spojrzéć.

A jakich śmiésznych nieporozumień stał się ten sam błąd powodem w sądach o powieści „Bez dogmatu"! Jak skakano do oczu Płoszowskiemu za to, że go Sienkiewicz zrobił arystokratą!

Przypomnijmy sobie wreszcie owe milczące i nie milczące nieukontentowania pewnego odłamu krytyków po ukazaniu się „Nad Niemnem" Orzeszkowéj, że jéj kanciaste tendencye poprzedziurawiały zbutwiały woreczek przepisów sztuki dla sztuki.

I czegóż to wszystko dowodzi? Oto, że mamy krytyków jednostronnych, że krytyka nasza nie umié się pozbywać balastu z góry powziętych teoryi tam, gdzie nie rozumować, ale szczerze odczuwać potrzeba, że krytyka nasza jest nawskroś subiektywna.

Niech nam nikt nie robi zarzutu, że krytyka nigdy inną być nie może. Doskonale to pojmujemy i niczego téż więcéj nie wymagamy od krytyka, jak tylko, ażeby po zrozumieniu i wchłonięciu w siebie intencyi autora wypowiedział swoje subiektywne wrażenia. Żądamy jednak, ażeby te subiektywne sądy były sądami krytyka X., krytyka Y., krytyka Z., ale nie krytyka X., demokraty, krytyka X., antysemity, krytyka Z., mistyka i t. d. To trudno, kto nie umié oderwać się od skorupy swoich przekonań i poglądów, choćby najsłuszniejszych i najsympatyczniejszych i wznieść się po nad zajmowane przez siebie stanowisko społeczne, kto nie potrafi wedrzéć się do wnętrza duszy autora, kto nie posiada daru współczucia z nim tak samo, jak on współczuje ze swemi kreacyami, ten niech się nie porywa na krytykowanie owoców cudzego natchnienia: może on być doskonałym dziennikarzem, profesorem, ekonomistą, estetykiem, socyologiem — ale krytykiem nigdy, powyżéj zaś opisany sposób „taksowania" utworów z konieczności będzie się najfatalniéj odbijał tak na samych krytykach, jak na czytającéj je publiczności i na krytykowanych autorach.

Tylko ten, kto sobie zadał trud przeczytania kilku krytyk jednego jakiego utworu, może miéć właściwe pojęcie o głębinach przepaści dzielących jeden sąd od drugiego. Przytém sądzenie utworów łokciem własnych formułek prowadzi częstokroć do wszelkiego rodzaju

podsuwania autorom tendencyi, jakich wcale nie mieli, do szukania i znajdowania tego, czego w utworze wcale nie było i t. d. I tak np. ktoś urobił sobie pojęcie, że dzieło sztuki powinno zawiérać w sobie tylko zjawiska typowe. Taki specyalista od typów w każdym utworze doszukiwać się będzie nagwałt typów, chociażby autorowi zupełnie o ich stworzenie nie chodziło, gdyż chciał, przypuśćmy, przedstawić ewolucyę myśli lub nastrój jaki; gdy zaś owych nieszczęsnych typów nie znajduje, czuje się jakby obrażonym i w imieniu swojéj skonfundowanéj teoryjki rości pretensyę do autora.

Ten znów jest zdumiony, że komuś się podobało szukać w jego utworze tego, o co on świadomie zupełnie się nie troszczył; nie chcąc zaś, aby na przyszłość był źle rozumiany lub lekceważony przez krytykę, zaczyna raz obrany kierunek prowadzić do krańcowości, wskutek czego nieraz prawdziwy i wielostronny talent staje się z winy krytyki jednostronnym i wpada w manierę, zwłaszcza, że mu nie daje ona pożytecznych i należycie umotywowanych wskazówek.

A publiczność, — ta powtarza za panią matką paciérz i za przewodem krytyki popularyzuje owe bałamutne sądy i w ten oto sposób tworzą się najprzewrotniejsze w dziedzinie sztuki i literatury opinie, istniejące nieraz całe dziesiątki lat, dopóki czasem ktoś siłą trzéźwego poglądu na rzeczy nie ustali prawdy.

Nakoniec trzeci zarzut, jaki można uczynić naszéj krytyce, polega na tém, że zbyt często zapomina o swéj właściwéj roli i, zamiast być tłómaczką myśli autora, stara się sama być literaturą, a właściwie przyjemną lekturą. Nie mówimy tu naturalnie o stylu ani języku. Idzie o to, że niektórzy krytycy, pisząc swe sprawozdania, często zdają się mieć tylko siebie i swoją ocenę na względzie i więcéj im idzie o to, ażeby czytelnikowi się podobała ich krytyka, aniżeli, żeby wyrobił sobie jasne pojęcie o krytykowanym utworze. Wynika z tego przedewszystkiém bezkarne rozpanoszenie się frazesu, a następnie ten fakt anormalny, że większość t. zw. krytyk, to swojego rodzaju nowelki, z których tu i owdzie widnieje nieraz werwa, humor, ciętość pióra ich autorów, ale które owemi przymiotami tak absorbują uwagę czytelnika, że z po za nich nie widać już wcale krytykowanego utworu.

Zamiast dążyć do zyskania sobie wdzięczności czytelnika, należytém wyjaśnieniem idei i formy rozbiéranego dzieła i wzajemnego ich stosunku, krytyk stara się im zaimponować swoją erudycyą, oryginalnemi osobistemi poglądami na kwestye, nie koniecznie nawet bę-

dące w związku z utworem i t. p. Dla zainteresowania czytelników wytacza się nieraz na forum publiczne osobiste swoje pretensye, wygłasza się morały, nie zawsze stosowne, bo często przy téj sposobności popiéra się swój osobisty interesik. Ażeby taką lekturę uczynić smaczniejszą, krytyk soli swą krytykę konceptami, pieprzy drwinami, przyprawia sosem językowym, jakiegoby sobie ten sam krytyk w przyzwoitém towarzystwie nieraz nie pozwolił, puszcza się w kurs ploteczki, nierzadko i potwarze, — a wszystko, naturalnie, na rachunek krytykowanego autora. Im więcéj tych i tym podobnych przypraw uda się do oceny dorzucić, tém bardziéj krytyk jest zadowolony z siebie, wiedząc, że trafi to najlepiéj do gustu publiczności. To téż czytamy często takie nowelki *à propos* niby krytykowanego utworu napisane, i trzeba przyznać, że czasem dość zabawne i zręczne, — ale pytamy tylko, co z tego za korzyść?

Przedewszystkiém publiczność. Ta przyzwyczaja się do powierzchownego traktowania sztuki i literatury, niczego się nie ucząc, przyczém ogół mniéj inteligentny daje się powodować krytykowi i przyswaja sobie sąd mylny; inteligentniejsza znów część ogółu czyta i krytykę i utwór i bawi się, nie łącząc jednego z drugiém; ludzie zaś myślący samodzielnie widzą rozłam pomiędzy sądem swoim a nie popartym żadną argumentacyą zdaniem krytyki i krytykę lekceważą.

Ale najfatalniéj, rzecz prosta, musi się taki stan rzeczy odbić na samym autorze, cały ten bowiem flirt krytyka z publicznością odbywa się nie czyim innym, tylko jego kosztem. Że zaś wybrańcy muz, jak wiadomo, odznaczają się rozwiniętą wrażliwością, przeto nic dziwnego, że wyszykanowany, a choćby tylko zadraśnięty uciesznym konceptem autor, czuje się zaraz boleśnie dotkniętym. I dobrze jeszcze, jeżeli posiada tyle zimnéj krwi i doświadczenia, że krytyki owéj nie bierze za głos ogółu. W rzeczywistości jednak rzadko kiedy odróżniani bywają ci dwaj sędziowie, i wtedy występują najrozmaitsze pretensye skrytykowanego do Bogu ducha winnéj publiczności, mające za swe następstwo rozłam pomiędzy autorem i ogółem. Mylnie sądząc swych czytelników, autor zasklepia się w sobie, w społeczeństwie widzi swego wroga i, żując ulaną mu przez krytykę żółć, dochodzi do zupełnéj pogardy dla „tłumu". Siebie przeciwstawiając masie, całe nieporozumienie tłómaczy swoją wyższością i — oto jest gotowy materyał na indywidualistę. Pielęgnowanie zaś własnego ja, poparte w dodatku powabną sofistyką Nietzsche'go i Nietzscheanistów, jeżeli talentu nie złamie zupełnie, to w każdym razie pozbawić go może

tych pożywnych soków, jakie sztuka tylko z piersi własnego społeczeństwa ssać zwykła.

Zapewne, nie dzieje się tak zawsze, gdyż artysta albo rozporządza tak silnym zapasem energii i dobréj woli, że się zrazić nie da, albo téż z głosów krytyki, z przeproszeniem, kpi sobie. Jednakże przykłady takich Słowackich, Byronów, Heinych wskazują, że nawet najlepsze jednostki dadzą się zmanierować. A jako pamiątkę tego mamy sporą dozę goryczy, rozlaną w ich utworach.

W. Kl.



Jarosław Vrchlicki.

Z CYKLU POEZYI:

„FRESKI I GOBELINY”.

Gobelin Markizy

(Z księgi trzeciéj: „Hellas rokokowa“).

Kto wreszcie, mimo objazdów tysiąca,
Przebył wiodące do Cyter Sahary,
Nim w próg łożnicy wstąpił (pragnień końca),
Musiał odgarnąć ten gobelin stary;
Za nim dopiéro, krasą jaśniejąca,
Mogłaś, markizo, koić jego żary!
Czyż dziw, że słodkiém twém „tak“ upojony,
Nie widział treści, tkanéj śród zasłony:

Scena—chram Wenus w gruzach, o jutrzence
Przed ogniem stoi skrzydlaty chłopczyna,
Z kosza na plecach, zdobnego w róż wieńce,
Kędy serc ludzkich mrowi się drużyna
(Jedno drży z trwogi, drugie szlocha w męce,
To milczy, inne w rozpaczy przeklina),
Serce za sercem bierze, kawał licha,
I bez litości na rożen je wpycha!

Lecz za nim rożnem w koło raz otoczy,
Już sercom skrzydła urosły, gwar, zwada,
I nim chłopczyna za niemi poskoczy,
Frrr... lecą w lazur wolne ptaków stada!
Czemu, markizo, kiedy zwrócisz oczy
Na ten gobelin, łza z nich gorzka spada?
Ach, wiem, smutno ci, że serdecznych skrzydeł
Nie chwycić w pyłki pudru i bielideł.

A przecież serc ci dość ten chłopiec mały
Nachwytał w miłych uśmiechów twych siecie,
Szkoda, że, gdy już iść na rożen miały,
Dostawszy skrzydeł, rozpierzchły się w świecie.
Dziś — listów zżółkłych stos ci został cały,
Garść kotylionów, wstążek...—stare dziecię!—
I uśmiech cierpkiéj rezygnacyi: Jaka
Szkoda, że serca mają skrzydła ptaka!

Sybille Michała Anioła.

(Epilog książki).

Zmożony pracą i brzemieniem myśli,
A w sercu czując groty zwątpień setne,
W dłoń Buonarotti skrył czoło szlachetne,
Gdzie tyle zmarszczek bruzdy swoje kréśli.
Wtém z ognisk ducha, gdzie w wieczystéj waśni
Obrazy, myśli wieczną toczą wojnę,
Powstały przed nim pełne mocy, jaśni
Stare Sybille, wyniosłe, spokojne.
Głos ich olbrzymio przez duszę mu wiał,
Jako północnych wściekłych wichur szał.

Pierwsza.

Patrzę na liście spadłe z pnia stuleci,
Na martwych rodów popioły przez dym;
W koło zmrok, ciemność, tylko Piękno świeci,
Jak błędna gwiazdka, w labiryncie tym;

Zresztą, ruiny i groby, gdzie stąpię,
Które ta gwiazda w boskiém świetle kąpie.

Druga.

Patrzę na liście spadłe z pnia stuleci,
Na martwych rodów popioły przez dym;
Jak skrę, w ostatnich walk mrącą zamieci,
Żądzę Wielkości widzę w mroku tym:
Pragnąć być większym—to już odkupienie.
Cóż mgły, boleści, troski, znoje, cienie?

Trzecia

Patrzę na liście spadłe z pnia stuleci,
Na martwych rodów popioły przez dym;
Nagle współczucia łza z oka mi leci,
Siew Dobra widzę w martwym prochu tym;
On drga tam, błyska w jutrzenkowym świcie,
On z ruin, grobów stworzy nowe życie.

Czwarta.

Patrzę na liście spadłe z pnia stuleci,
Na martwych rodów popioły przez dym;
Nerw żywy drga tam w zgniłych tkanek sieci,
To żądza Prawdy wstrząsa nerwem tym;
Choć, nieśmiertelna, pali ludzką zgraję,
Lecz wiecznéj wody puhar jéj podaje.

Piąta.

Patrzę na liście spadłe z pnia stuleci,
Na martwych rodów popioły przez dym;
Popiół się wznosi, w dymach blask się nieci,
Ten proch serc żyje—Miłość widzę w nim!
W kościach grzmot ducha, w dołach ócz—nadzieje,
Gdzie Miłość włada, tam Śmierć nie istnieje.

Głos dobrzmiał, chwilę cisza była w sali —
Lecz nagle gwar wkrąg zerwał się ogromny,
Głos tych, co dotąd martwymi się zdali,
Głos wielki, silny, jak Losy niezłomny.

I brzmiał, jak orkan zwycięski, gdy leci:
Jesteśmy, żyjem i żyć będziem daléj,
Choć zguby, mgnienia nędzne myśmy dzieci,
Lecz w sercach naszych żar wieczny się pali,
Żar święty Dobra, Piękna i Wielkości,
Żar Prawdy, boski Mojżesza ów kierz,
Ogień Miłości, którą wszechświat gości,
Żar, co wciąż woła: „Pragnij, walcz i wierz!“
On tylko krzepi ludzkie pokolenia,
Nicość odwieczną na baśń starą zmienia.
Gdzie wy, Wielkości, Dobro, Piękno, lśnicie,
I Miłość z Prawdą, tam wiecznem jest życie!

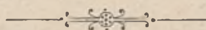
Radosnym szałem grzmiał hymn ten śród nocy.
Do pracy rzeźbiarz wstał znów pełen mocy.

Z czeskiego przełożył
Miriam.



BIEDRONIE.

POWIEŚĆ *).



IX.

Przed niedzielą skończył Jaś całą powieść, wchłonął ją w siebie, że aż zaczęła z niego promieniować. Rad był biedz do ludzi i opowiadać im o wielkich czynach i cudach na Jasnéj górze, o zwycięstwach, powrocie króla.

W niedzielę zerwał się, palony gorączką, pobiegł na cmentarz i zanim rozpoczęło się nabożeństwo, zaczął prawić i opowiadać o „Potopie" zebranéj gromadce. Słuchano go ciekawie w skupieniu ducha. Chłopak był mowny, ciskał płomieniami z oczu, a wyrazy płynęły mu z ust, jakby zboże siał pełną garścią.

Zadzwoniono, ludzie rozciekawieni, dziwując się powieści chłopca, poszli do kościoła.

— Najświętsza go nawiédza, to i cóż, że szepce mu do ucha i kładzie na niego uroki — mówiły kobiéty. — Piękny ci jak malowanie, mądry jak „jegomość", a dobry?!... Żeby ino Biedroń umiał go uszanować.

Jaś po udanéj próbie na cmentarzu rad poleciał po nieszporach do karczmy. Książki zabrał z sobą i tam zaczął ludziom opowiadać

---

[1]) Patrz „Ateneum" za maj r. b., str. 259.

przeczytane dziwy. Gdy mu zabrakło toku myśli, otwiérał książkę i czytał.

Gospodarze go słuchali, kobiéty z lubością wpatrywały się w niego, lecz parobcy drwiąc po cichu z proroka, niecierpliwili się. Gdy tylko skrzypki z daleka na dworze zagrały, karczmę wypełniły śmiechy i żarty, pełne wesołości.

— Muzyka, muzyka—szeptały dziewczęta młode, gospodynie za niemi. Zaczęto przytupywać nogami.

Drzwi się szeroko rozwarły, izba wypełniła się tłumem, basy zahuczały. Chłopak machnął ręką, zamilkł, posmutniał i wyszedł.

— Jaś, nie zostaniesz i choć ociupinkę nie pokręcisz się z nami—wołały za nim dziewczęta.

Odwrócił się, popatrzał na nie smutno, podziękował i poszedł przez zarośla i kręte ścieżki wprost do chaty Tyksiny.

Zosia w różowym gorsecie, białéj koszuli, koralach na szyi, a chusteczce na głowie wyglądała uroczo. Szczęśliwa, uśmiéchała się serdecznie. Modre jéj ślépka patrzały smętnie, lecz poczciwie.

Przy matce już nie śmieli się całować. Po ostatnich uściskach onieśmielili się nawet do siebie. Na widok Jasia po twarzy Zosi przeszły różowe płomyki i schowały się za haftowaną kryzę koszuli.

— Byłem w karczmie—odezwał się, siadając na ławie.

Matka i córka rozwarły oczy.

— Chciałem pogadać z ludźmi, opowiedziéć im o tych wielkich wojnach, co się działy, o sławnych wodzach... Jakoś samemu wiedziéć i nie miéć do kogo gęby otworzyć, smutno. W piersiach rozpiéra, człek radby się wygadać, wyspowiadać i chodzi jak zbłąkany.

— A nas to nie masz?—odezwała się nieśmiało Zosia.

— Co tam z babami o wojnach rozprawiać.

Machnął ręką niechętnie i zamyślony siedział, patrzał w przestrzeń.

Pochwycił dziewczynę, wziął ją na ręce i chodził z nią po izbie.

— Matusiu,—zwrócił się do Tyksiny—wyście to pierwsi przynieśli mi książkę ze dworu i niech wam Bóg da zdrowie. Przecie się wié, co było na świecie, człek nie żyje jak to bydlę, co się ino obziéra, aby zeźréć i legnąć.

— Dokazujecie, a tu lada chwila może wpaść, jak zeszłéj niedzieli, stary i narobi okrutnego piekła!...

Zosia zsunęła się z rąk Jasia, poskoczyła do okna, otworzyła je, wyjrzała.

— Do samych brzozowych krzaków nikogo—szepnęła.

— Zosiu, chodźmy w Czyżowski las, nikt nas nie zoczy, ugadamy się, odpoczniemy. Jakoś mi dziś z ojcem drzéć się nie glaźno. Pójdziesz?

— Idźcie od chaty w dół, na strumyku pod wierzbą, jest kładka, nikt was nie ujrzy—radziła.

— Chodźmy—szepnęła Zośka.

— Idźcie, idźcie — nalegała matka — bo o nieszczęście nie trudno.

Otworzyła drzwi, wyszła z izby, rzucała wzrokiem na wszystkie strony i zawołała:

— Żywéj duszy—lećcie!...

Jaś podał ramię Zosi i razem, jak zwykło państwo, zbiegali z góry.

— Przylepka chłopak—szeptała Tyksina.—A to ci moja dziewucha wyciągnęła *lumer* na loteryę, ale ci cierpnę, jak to się skończy. Za wielgie szczęście i la tego się boję. Pan Bóg skąpy w rozdawaniu szczęścia—i dlatego się boję.

Patrzała za niemi, mimo że pełna strachu, rozpromieniona. Chłopak i dziewczyna przytuleni do siebie, biegli, zieleń ich odcinała, słońce złociło.

— I cóżby to Panu Bogu szkodziło, dać tym dzieciom odrobinę szczęścia—co?... A coby staremu Biedroniowi szkodziło przytulić ich do siebie?... Dziewczynina nie bez to, że moja, ale cicha, potulna, sama dobroć. I cóżby Bogu na niebie, a ludziom na ziemi szkodzilo, dać im tę ociupinę szczęścia?!...

Machnęła rozpaczliwie ręką, otarła łzy cisnące się do oczu, odpychało ją od pustéj izby—poszła do Marcinowéj.

Chłopak i dziewczyna wpadli na dworską łąkę, wijącą się za biegiem strumyka, który ją przecinał, wśród ciemnych olch i białych brzóz, stojących na straży dwóch lasów, rozdzielonych łąką. Cicho było, sennie, rozkosznie, ani jeden listek na drzewie nie szeleściał, ptaszek się nie odezwał.

— Dobrze ci?—szepnął Jaś.

— Jak w niebie—odpowiedziała dziewczyna.

Przeniósł ją przez strumyk, obejrzeli się i wpadli w gąszcz.

— Jesteśmy na Czyżowskiém i tu nas nikt nie podejdzie, nie złapie, nie wystraszy. Tu nikogo nie potrzebujemy się bać, ani ojca, ani organisty. Tu ci nie przyjdą!...

Dęby, buki i brzozy splatały się razem, tworząc w górze zielone sklepienie, pod nogami złotawe podścielisko. Wielki, cichy, zaduma-

ny las i dwoje dzieci—szczęśliwych, rozradowanych ciszą, spokojem i samemi sobą...

— Tu się będziemy w święta i niedziele schodzić — zawołał Jaś. — W izbie dusza na ramieniu, nie bez to, żebym się bał, ale bez to, że nie lubię się strachać, obzierać, patrzéć, uszu nadstawiać...

Przytuleni, mknęli coraz głębiéj.

— Patrz — szepnęła Zosia — jakby umyślnie kto dla nas liście zgrabił.

Nie wielką kotlinę otaczały drzewa, trawa blado-zielona, mięka, rozścielała się pod ich stopami.

— Tu założymy obóz, tu będziemy odpoczywać.

— Ty będziesz opowiadał, a ja słuchać. Wiész, Jaś, że lubię, jak opowiadasz te ciekawe z książek historye. Czy to warto w karczmie?

— Widzisz, ty tu sama, a tam ludzi huk — patrzą, słuchają, dziwują się. Tylko szelma Żyd przeszkadza. On wié, że wkiedy tańcują, to wódka płynie... Jak osiędę na ojcowiznie, dobuduję wielką izbę, ludzie się zejdą, a ja wtedy będę im prawił i opowiadał. Wiész, Zosia, człek jak się czego dowié, to coś w nim gra, coś go bodzie, żeby się z tém przecie wygadał i po dzielił z drugimi...

— Jak osiędziesz na ojcowiznie i będziesz bogacz, to cię będzie stać na murowany dwór, jak mówi Kunda. A cóż dopiéro na nową izbę. Stawiaj, ile chcesz, bylebyś do karczmy nie chodził... La takiego panicza nie pięknie...

— Ej, ty, moja panienko!... Jak się pobierzemy, to przecie nie będzie nam źle na świecie, co?...

Poskoczył i pocałował ją w usta. Usiedli na wyniosłości otaczającéj kotlinę. Chłopiec oglądał się, udając, że patrzy okiem doświadczonego wodza.

— Tu—zaczął — możnaby obóz wygodnie założyć. Niedaleko woda i łąka dla koni! W téj kotlinie gotowalibyśmy jeść!...

Wstał, założył ręce za siebie i patrzał zamyślony.

Zosia oparła łokcie na kolanach, głowę na rękach i zasłuchana patrzała. Chłopiec pobudzony wzrokiem dziewczyny zapalił się i mówił z wzrastającą siłą...

Słońce przesunęło się ponad zielonėm sklepieniem, zapalając raptownie las czerwoną łuną.

Słońce zsunęło się za góry, czerwień gasła, ciemno się robiło.

— Wracajmy—szepnęła.

— I nie dasz pyska? nie pocałujesz? nie pogłaszczesz?...

— Tu nie! w izbie, gdzie chcesz, tu się boję, mój Jasieńku — lećmy...

— Boisz się, czego?...

— Wszystkiego, a siebie najwięcéj. Wracajmy, moje ty złoto, mój ty królewiczu!...

Nie czekając na odpowiedź, biegła naprzód, Jaś za nią.

— Kiej nie chcesz, to nie, tylo nie uciekaj przecie.

Dziewczyna zatrzymała się, podała mu rękę, szli jedno obok drugiego. Słyszeli, jak im serca biły, onieśmieleni drżeniem i niespokojnością własnych nerwów—milczeli.

Napróżno Biedroń szukał syna w całéj wsi, był w karczmie, bał się zaglądać do chaty Tyksiny, bał się go spotkać z Zośką. Nie dowierzał sobie i własnéj wściekłości.

Zadrwił sobie ze mnie i z organisty, wycałował dziewuchę i rzucił. Co ten łajdak sobie myśli, czego on chce odemnie, od świata i ludzi... Może on myśli—ścisnął kij, że zdawało się, iż ślady palców na nim zostaną. — Może on myśli — nie śmiał dokończyć. Za dużo byłoby nas dwóch na świecie—powiadał wolno i obejrzał się, czy kto nie słyszy. Wrócił do izby, stara siedziała przy oknie.

— Był w karczmie, prawił ludziom jakieś dziwy, głupstwa, ale gdy muzyka zagrała poleciał, przepadł.

Usiadł na ławie, zdjął kapelusz i sapał, obciérając zroszone czoło.

— Za to pasanie, drogo sobie każą płacić te psia krwie...

— Jeszcze nie wiész, a już się wściekasz...

— Słuchaj stara—przerwał—układałem se, że przeniosę chałupę po Maślance na grunt organisty, tam pobuduję i osadzę ich. Zostalibyśmy sami na własnych śmieciach u siebie. Nastka z chłopakiem dorabialiby się na swojém... A ten łajdak, co on robi, czego odemnie chce, co sobie myśli.

Zatrzymał się i zastanowił.

— Boże, Boże, daj mi opamiętanie—żaczął szeptać.

Biedrońka się zerwała, przybiegła do chłopa, tuląc go do siebie.

— Cicho, cicho, bo widocznie dyabeł cię opętał... Chłopaka masz, że ci zajzdrości cała wieś, dobry, cichy, inakszy jak drudzy.

— A właśnie nie chcę, żeby był inakszy. Niech będzie jak drudzy—niech hula, breweruje, ale niech ma rozum, niech wié czego chce, niech idzie za drugimi, niech pracuje...

— Cóż-to próżnuje?...

— Robi ino tyle, co mu się każe. Ale żeby dbał o ojcowiznę, zabiegał...

— Ty masz za niego głowę.

— A jak mnie nie stanie, co wtedy, co wtedy?!... Wtedy te szelmy przyjdą tu i rozsiędą się, a ciebie wygnają...

— Dasz mi wymowę, to i co mi zrobią?...

— Nie chcę, żeby przychodziły — zadławił się z wściekłości. — Lepiéj niech śmierć przyjdzie — dodał cicho, lecz zaraz rzucił się na kolana i wzniósł ręce w górę.

— Boże miłosierny, obraniaj-że mnie na stare lata od zatracenia wiecznego!...

— Ojcze, bój-że się Boga. Jak cię wściekłość opanuje, to i końca miary z nią nie ma. Siądź-że, spocznij, napij się miodu...

— Daj mi kwaśnego mléka, może mnie ochłodzi.

— Tybyś chciał, żeby chłopak był taki jak ty—ludziom na palce patrzał i radby im z gęby wydzierać.

— Cicho—krzyknął Biedroń—bo i ty przeciwko mnie. Zostałem jak ten palec sam na świecie.

— Chcesz być sam, bo własne dziecko odpychasz od siebie.

— Ucieka!...

— Boi cię się.

— Już mnie się nie boi, wyzywa mnie i patrzy z góry jak na swego parobka.

— Nie prawda.

— Prawda, kiedy ja mówię, słyszysz!...

— To go nie poniewieraj.

— Ja was oboje sponiewieram—wrzasnął.

Biedrońka zamilkła, czuła, że wściekłość starego gotowa na niéj się odbić—chciała odejść.

— Gdzie?—zawołał.

— Do obejścia, popatrzéć tu—haw.

— Czekaj—przysunął się do niéj i szeptem mówił: Umityguj go, niech on ze mną nie zaczyna, niech on mnie szanuje, niech mi ustępuje, niech się mnie boi, niech mnie słucha, bo albo mnie krew zaleje—albo!... W imię Ojca i Syna!... boję się...

— Człowieku, własne dziecko, własna krew — ludzie go kochają.

— Właśnie, że go kochają—szeptał.—On wszędzie pierwszy, on przedemną—on, ino on, zawdy on. Dlatego chcę go pobudować na pięciu morgach organiścianki — niech mi zejdzie z oczu. Matko, mityguj go!...

Głos mu drżał, ręce drżały, oczy świéciły złowrogo. Biedrońka załamała ręce.

— Dopust Boży, kara Boska sprowadziły taką zawziętość na własne dziecko...

— Mityguj go — powtórzył Biedroń, lecz pod wrażeniem kary Boskiéj, nie mógł usiedziéć—wyszedł.

Jaś wracał. Pod karczmą stali parobcy, ćmili papirusy, odpoczywając po tańcu.

— Był tu stary—rzekł jeden z nich do Jasia, szukał cię, wypytywał ludzi.

— I jakoś ręka okrutnie go świerzbiała—dodał drugi.

— Leć do Zośki i schowaj się, póki go nie odświerzbi.

Rozśmiali się dziko. I oni go nie lubili. Nie wdawał się z nimi, mimowoli imponował im: rozumem, bogactwem i miłością ludzką.

Jaś pomknął daléj, nie odzywając się do nich.

— Fizdrygant, niedojda, babski przylepka, zmarzlak!... No, ale jak mu stary lanie sprawi, rozgrzeje się.

Śmiechy doszły uszu chłopca—stanął.

— Wiem—szepnął — ręka starego świerzbi bez to, żem nie poszedł z nim do organistów. I co mu powiem?

Stał zamyślony.

— Co robić, co robić—powtarzał, ściskając książki.

I książki nasunęły mu myśl, żeby z niemi iść do dworu. Usłuchał.

— A jak panienka zażąda, żebym jéj opowiedział?... To opowiem i jak jeszcze!

Poskoczył uszczęśliwiony projektem.

— We dworze światło palą do późna.

Leciał ile mu sił starczyło, dopadł na ganek, panienka go ujrzała i zawołała do pokoju.

Przed północą w izbie u Biedroniów świéciło się. Jaś wszedł cicho, pocałował ojca i matkę w rękę, kładąc w czerwoną skórę oprawną książkę na stole.

— Byłem we dworze—rzekł. — Starsi państwo i panienka posadzili mnie za stołem obok siebie, częstowali winem, Bóg wié nie czém, a ekonom wtedy stał przy drzwiach. Wypytywali się o matkę i ojca. Panienka darowała mi tę oto książkę.

Biedroń zmiękł. Pochlebiało mu, że syn jego siedział z państwem za stołem, a ekonom, z którym wojnę prowadził, stał przy drzwiach.

— Mnie nie zaproszą—mruknął.

— Bo tatuś nie byli we dworze—tłómaczył Jaś.

— Chociażbym tam wlazł, nie posadziliby mnie za stołem.

— Dlaczego?

— Bo nie—krzyknął.—Znam ja ich i ty nie masz po co do nich łazić, lizać się i łasić.

— Dobrzy...

— Póki nic od nich nie chcesz. Ruszaj spać, jutro do roboty o świcie.

Chłopak odchodził powoli, lecz nie mógł wytrzymać i powiedział:

— Tamte były zwyczajnie pisane, a ta wierszem i nazywa się „Pan Tadeusz"—zamknął drzwi.

Starzy popatrzyli na siebie.

— Tyś się wściekał, że do Zośki lata, a ja ci mówię, że to chłopak inakszy.

— To nie mój syn—rzekł cicho Biedroń.

— Najprzód Boski—odpowiedziała kobiéta.

— Ale krew nie moja, natura nie moja.

— Ludzie mówią, że pono do twego ojca z urody podobny—odpowiedziała.

— A niech go!

Stary schwycił się za głowę i zaklął siarczyście.

Matce pochlebiało, że syn jéj siedział za stołem z panami, a ekonom stał przy drzwiach. Zaczynała go szanować, a kochała jeszcze więcéj. Ojciec zęby zaciskał i powtarzał w duchu:

— Nie moja krew, nie moja natura...

X.

Następnéj niedzieli w Czyżowskim lesie w téj saméj kotlinie wysłanéj zieloną trawą, na wzniesieniu siedziała Zosia, przed nią stał Jaś z otwartą książką i czytał:

. . . .

„Tymczasem przenoś moją duszę utęsknioną
„Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych,
„Szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnionych;
„Do tych pól malowanych zbożem rozmaitem,
„Wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem;
„Gdzie bursztynowy świerzop, gryka jak śnieg biała,
„Gdzie panieńskim rumieńcem dzięcielina pała.

„A wszystko przepasane, jakby wstęgą miedzą
„Zieloną, na niéj zrzadka ciche grusze siedzą.

Głos mu drżał, rzewność go opanowała, łzy w oczach świéciły. Dziewczyna wpatrywała się w chłopca na poły zdziwiona, na poły wystraszona, wytrzeszczając oczy, jak gdyby wzrokiem chciała przebić otaczające ją ciemności.

— Zosiu, czy ty miarkujesz—zapytał Jaś.

— Co nie mam miarkować—odpowiedziała cicho.

— Czy ty czujesz, Zosieczko, czy czujesz, jak to ślicznie napisane.

— Przecie znam pszenicę i żyto, dzięcielinę białą. Albo na naszych miedzach nie siedzą stare grusze!?...

Jaś usiadł obok dziewczyny, szepcąc na pamięć:

„A wszystko przepasane jakby wstęgą miedzą
„Zieloną, na niéj zrzadka ciche grusze siedzą.

Zaśmiał się wesoło upojeniem rozrzewnienia.

— Zośka, świat, przecie miły, byle miéć jakie takie ślépia i patrzéć na niego.

— Prawda — poświadczyła, lecz nie miała pojęcia, jakich to trzeba ślépi, żeby patrzéć na niego.

Jaś powtarzał zcicha:

„Wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem,
„Gdzie bursztynowy świerzop, gryka jak śnieg biała,
„Gdzie panieńskim rumieńcem dzięcielina pała.
„A wszystko przepasane, jakby wstęgą miedzą
„Zieloną, na niéj zrzadka ciche grusze siedzą...

— Trzeba miéć ślépia, żeby to widziéć, i coś w duszy, żeby czuć... Zośka, czy ty czujesz?... Ja od tygodnia inakszemi oczyma patrzę na naszą wioskę i jakoś ją lepiéj miłuję... I u nas gryka jak śnieg biała, i u nas dzięcielina panieńskim rumieńcem pała... I po twojéj gębusi nieraz mknie panieński rumieniec.

— Pleciesz—szepnęła Zosia.

— Plotę...—i usta swoje powoli zbliżał do małych, różowych ust dziewczyny.

— Pleciesz—powtórzyła figlarnie.

— Plotę—pytał chłopiec, przysuwając usta tak blisko, że uczuła gorący jego oddech.

— Pleciesz—szepnęła, lecz w téj chwili na twarz jéj raptownie buchnął szkarłat.

Zaśmiał się chłopiec.

— Moja ty, dzięcielino rumiana — pocałował ją ciepło, serdecznie i przytulił do siebie. Tamtemu było na imię Tadeusz, a mnie ino Jaś, ale jéj Zosia i tobie Zosia. I dlatego jeszcze milsza mi jesteś. Zosia, Zosieńka...

„Przypadkiem oczy podniósł i tuż na parkanie
„Stała młoda dziewczyna... Białe jéj ubranie
„Wysmukłą postać tylko aż do piersi kryje,
„Odsłaniając ramiona i łabędzią szyję...

— Zosiu, a ty odsłonisz mi ramiona i łabędzią szyję?...

— Cicho—ofuknęła go.

— Odsłonisz, dziewczyno moja! A wiész, że jabym cię jeszcze więcéj kochał, gdybyś ty to wszystko tak czuła, jak ja czuję. Moja złocista, czy ty czujesz?... Jestem sam, siérota, sam na Bożym świecie, ze mną książka. I nie mam z kim ani uciechy, ani radości podzielić. Ty jedna, mój gołąbeczku, patrzysz mi w oczy i słuchasz mnie. Wtedy mi cieplej jakoś, że nie czuję sieroctwa mego, że mi jakoś weseléj i raźniéj...

Zbliżył usta do ust Zosi i pocałował ją uczuciem wdzięczności, ona go głaskała, odgarniając z czoła jasną czuprynę.

— Jak zostaniesz moją—mówił daléj—to zawsze w święta będę ci czytał, musisz słuchać. Kupię sobie szafę za szkłem, taką jak we dworze, i każdą książkę tam schowam.

— A dużo ich będziesz miał?

— Tyle, na ile mnie stać będzie. Przecie mówicie, że będę bogacz. Dobrze, Zosiu.

— Dobrze—odpowiedziała wesoło.

Jaś znowu otworzył książkę i czytał:

„O roku ów! kto ciebie widział w naszym kraju!
„Ciebie lud zowie dotąd rokiem urodzaju,
„A żołnierz rokiem wojny; dotąd lubią starzy
„O tobie bajać, dotąd pieśń o tobie marzy.
„Zdawna byłeś niebieskim oznajmiony cudem
„I poprzedzony głuchą wieścią między ludem;
„Ogarnęło Litwinów serca z wiosny słońcem
„Jakieś dziwne przeczucie, jak przed świata końcem
„Jakieś oczekiwanie tęskne i radosne...

Spojrzał na dziewczynę i odczuł, że znudzona patrzy szklannemi oczyma.

— Zosiu, czujesz?

Pogłaskała go.

— Wiész, ty se czytaj, a ja trochę jagód uzbiéram. Gardziołko niemi odświéżysz.

Wstała, poskoczyła w las.

Chłopak patrzał za nią smutny. Wargi drżące ściskał, w sercu wzbierał mu żal. Zerwał się, książkę rzucił.

Zośka go nie rozumié, nikt go nie rozumié, nie odczuwa tego, co on czuje... Zrozumiał nareszcie, że jest siérotą — i że nigdy, nigdy niczém nie będzie, jeno zawsze, do końca życia siérotą, położy się w grób siérotą. Załamał ręce, żal i lęk go zbiérał przed życia całego samotnością. Stał zbolały, zapatrzony w przestrzeń. Myśli przelatywały mu przez mózg, jak wichry, nie miał siły zatrzymywać ich i układać.

— Jużeś się naczytał—wołała, biegnąc Zosia—patrz, com ci nazbiérała jagódek, borówek i malin.

Przypadła, objęła go w pół, posadziła na wyniosłości, usiadła mu na kolanach i palcami kładła do ust maliny.

— Moje chłopaczysko — mówiła — nie ma nigdy wytchnienia. Cały tydzień w polu, a w święto z książką. I przecie zdrów, mocny, ładny jak malowanie. Takiego chłopaka zazdrości mi cały świat. A czémże ja sobie na takiego zasłużyła—czém?... Może bez to, żem doglądała cię, kiej cię Najświętsza nawiedzała—pamiętasz? Dawno, dawno byłeś malutki, chudziutki, małom się za tobą nie zagubiła... przyszła Najświętsza i zrękowiła nas. Moje chłopczysko, prawda, że ty jesteś mój. Niech sobie starzy wydziwiają ile chcą, my trwajmy, to przecie przetrwamy.

Zarzuciła mu rękę na szyję, patrzała mu w oczy, tuliła się i kładła do ust jagody.

Chłopcu przesunęły się w myśli mrówki Telimeny.

— Zosiu — szepnął, udając wystraszonego — patrz, mrówki cię zjedzą, widzisz...

— Gdzie—zawołała dziewczyna—broń, łap...

Zaczęła nerwowo szukać, chłopiec jéj pomagał drżącemi rękoma.

. . . .

Późno wieczorem przytuleni do siebie, zamyśleni, milczący, wracali. Na rozłogu Zosia go pocałowała i skręciła do chaty, Jaś wolno, smutny, choć uśmiechnięty, wracał.

— Cóż tak późno—ofuknęła dziewczynę matka, gdy przestąpiła próg izby.

— To ino powiem matusi—mówiła szybko, gorączkowo, że Jaś mój na całe życie, że mnie nie porzuci, nie odstąpi, nie oszuka. Kocha ci mnie, jak nikogo na świecie, byle przetrwać, byle ino przetrwać.

Matka popatrzała jéj ostro w oczy, dziewczyna spłonęła.

— I czegóż się tak wpatrujecie—zawołała urażona.

— Czego, wiem ci ja czego. Ale pamiętaj sobie Zośka, że broń Boże nieszczęścia—o niczém nie chcę wiedzićć.

— O czém?

— Biedroń twardy jak żelazo, nawet czas nie może go zmódz. Musicie długo czekać, pamiętaj sobie Zośka.

Dziewczyna udając zagniéwaną, odwróciła się od matki.

— To to już tak—szeptała Tyksina—daj Boże szczęście... Nie daleko ty zajedziesz, kiej se tak poczynasz. Chłopak się prędko najé białego chleba i będzie go szukał gdzieindziéj. To to już tak, a ja głupia myślałam, że za rok, za dwa — inaczéj przecie samych nie puszczałabym do lasu.

Załamała ręce i zapłakała.

— Zośka, Zośka, jużeś tak rychło swój wianuszek straciła.

Zosia z płaczem rzuciła się matce w objęcia.

. . . .

Jaś przeskoczył niski płotek obejścia, na ujadające psy gwiznął i poszedł wprost do stodoły. Książkę wsunął za krokiew, rzucił się na siano i marząc o mrówkach i Zosi chciał zasnąć, lecz sumienie targało mu serce i odbiérało sen, aż je młodość zwyciężyła.

Nazajutrz na samém świtaniu wpadła do niego Kunda.

— Była tu wczoraj Nastka—mówiła szybko—siedziała, czekała. Starzy posłali za tobą parobka do dworu i mnie kazali cię szukać. Stary zaglądał do izby Tyksiny, wrócił wściekły, ściskał laskę w garści i cicho klął. Ale od téj cichości i tych przekleństw mrowie przechodziło. Ino się nie strachaj, mój Jasiu, wytrwaj już. Abo go krew zaleje, abo ustąpi.

— Niech będzie co chce — zawołał Jaś — ja jeno tyle wiem, że z tobą Kundo razem całe życie!...

— To ty dużo wiész, to ty wszystko wiész, mój paniczu księgami karmiony. Idę doić, zbiéraj się i przychodź — napijesz się, skrzepniesz.

Wybiegła, Jaś jeszcze chwilę wyciągał się na sianie, rad był przewrócić się na prawy bok i zasnąć, lecz się zerwał, poszedł do studni, umył — otrzeźwiał odrazu. Przed stajnią zobaczył się z ojcem,

chciał go pocałować w rękę, stary się szarpnął, spojrzeli sobie w oczy. Wzrok starego był straszny, lecz z ust nie wyrzucił ani jednego wyrazu — odszedł. Czy tak w nim wrzało, czy krew go dusiła?

Chłopak wytrzymał spojrzenie ojca ze spokojném męstwem, które mówi, że padnie, a nie ustąpi.

W izbie matka również zadąsana milczała, lecz Jaś oszołomiony „Panem Tadeuszem", pod wrażeniem piękności poezyi pochłaniającéj całe jego jestestwo, pod wrażeniem uścisków Zosi i gorących pocałunków, nie zwracał uwagi na starych. Roztargniony zjadł śniadanie, poskoczył do stodoły, wyjął książkę z za krokwi, schował ją za pazuchę i poszedł do pracy.

Stary przed południem wsunął się do izby, siadł, czapkę zsunął z czoła, podparł głowę i dumał.

— I cóż—spytała go cicho stara.

— Co się mamy z nim drzéć i szarpać, siły tyrać i rozzuchwalać go. Czekajmy, póki nie przyjdzie czas. Wtedy zaprowadzę go do jegomości, organista Nastkę, damy na zapowiedzi, za trzy tygodnie sprawię wesele i basta.

— Najlepiéj! po co swary, niepokoje, zabijatyki.

— Chłopak na pięciu morgach organiścianki w swojéj chacie, a my na całém! Matko, słyszysz?...

Zatarł ręce i roześmiał się.

— Na całém—powtórzyła za mężem—na całém, na całém. Nie będą nam patrzéć na ręce, deptać po piętach—zajzdrościć.

— Na całém — zawołał Biedroń — do końca, do samego końca. Nie damy źdźbła słomy i kwarty mléka.

— Nie damy!

Stara się zaśmiała. Niczego tak nie lubiła, jak nie dawać.

— Matko, ja się umiem przyczaić, kiedy potrzeba—zawołał Biedroń, zrywając się z ławy.

— Umiész!—przyświadczyła.

Stary twardą, popękaną dłonią pogłaskał pomarszczoną jéj twarz. Rozradowana ujęła go za rękę i pocałowała.

— To nasze, słyszysz?

— Słycham—szepnęła.

— Nie damy.

— Nie.

XI.

Wśród pracy i nadziei jednych, wyczekiwania drugich, mijały dnie, za niemi tygodnie. Jaś w niedziele i święta, nie postrzeżony przez starych, dostawał się do chaty Tyksiny, zabiérał Zosię, mknęli w las. Tam dopiéro żył, cieszył się, bawił i rozkoszował głośno. Deklamował całe ustępy „Pana Tadeusza", których się nauczył na pamięć. Młodość w nim wrzała, ideały dawnych czasów cisnęły się do mózgu, wytwarzając nowe obrazy, nowe myśli.

Dziewczyna patrzała na poetyczne uniesienia chłopca, jak na zbereżie młodości, lecz porwana jego wymową i energią, brała w nich udział i powoli zaczynała nawykać do opowiadań chłopca. Nie rozumiała go, lecz słuchała z przyjemnością jego głosu, patrzała na rozjaśnioną twarz i upojenia młodości.

„. . . . . . Już drżą drążki, tak lekkiemi ruchy,
„Jak gdyby zadzwoniło w strónę skrzydło muchy,
„Wydając ciche, ledwie słyszalne brzęczenia...

— Zosiu — przerwał — chciałbym mieć cymbały. Czuję, że w lotbym się nauczył grać. A nie, to se kupię skrzypki. Kunda mi da ze swoich uciułanych na skrzypki. Jak się umęczę czytaniem, będę grał, a jak graniem, to se poczytam.

— Jaś, bój się Boga, daj pokój muzyce. Jakby ino stary zobaczył u ciebie skrzypki, gotów cię zabić ze złości. Marcinowa mówią, że ojciec starego nic nie robił, ino grał i zaprzepaszczał ojcowiznę i dopiéro twój tatuś musieli ją odrabiać i ludziom wydzierać. Pono jak usłyszy muzykę, trzęsie się ze złości... Książkę łatwiéj schować, skrzypki same się drą, ino smyk przyłożyć. Ze skrzypkami nie zaczynaj, mój Jasieczku!...

— Nie, to nie. Jak będę na swojém, a ty moją, wtedy dopiéro kupię skrzypce. Sprowadzę je z samego Krakowa. Dopiéro będzie muzyka!

„. . . . . Skoczne dźwięki
„Radością oddychają, radością słuch poją;
„Dziewki chcą tańczyć, chłopcy w miejscu nie dostoją!...

Porwał Zosię w pół i wyśpiewując krakowiaka, tańczył z nią po murawie. Młodość w nim grała!...

— Radość mi serce rozrywa i każe się weselić i każe się śmiać do świata, do słonka, do uroków wszelakich. Przecie ja jestem do-

bry i nikomu nic złego ani robię, ani życzę, to i dlaczego nie mam się weselić?... Wiész, Zosia, co, uciekajmy do pasieki. Przecie jak będzie czas, wrócę i odbiorę swoje. Radbym lecieć w świat, do ludzi— coś wielkiego robić, czémś być. Jakaś mnie zmora niecierpliwości dławi.

— Kiej chcesz, uciekajmy—odpowiedziała.

— Będzie nam dobrze, zawsze razem, zawsze jedno wele drugiego, zawsze przy sobie... Zosieńko moja, w zielonéj sukience, ustrojona w równianki i kwieciste wieńce... Ja już nie mogę wyżyć bez téj zbytñicy (pokazał na książkę) i bez ciebie, Zosiu. Tak mi bez was cnie przez cały tydzień, że rady se dać nie mogę. Gdzie ino mogę, dnie karbuję kozikiem i liczę...

— Ha, kiej chcesz, uciekajmy i mnie się strasznie dłuży. Przecież ci nikt ojcowizny nie zabierze...

— Nikt, ale przed Kundą ani pary z ust... Wiész co, skoczę do dworu i ułożę się z panienką. Może mi da jeszcze jaką książczynę...

— Lecisz, aby ino się załgać po książkę.

— Zosiu, przysięgam ci, chcę uciekać i uciekniemy. Stary tak jakoś wpatruje się we mnie, jakby mnie chciał zdławić, matusia prawie że gęby nie otworzą. Cosik mnie od naszego obejście odrzuca; zimno tam i ponuro, jak w czyścu. Czegoś się boję, czegoś się stracham. Do pasieki, do pasieki!

Pochwycił Zosię w objęcia, tulił ją i całował. Nie broniła się już, nie miała sił, tylko szeptem powtarzała za nim:

— Do pasieki—tuląc się pieszczotliwie do chłopca.

Kochała go i oddała mu się bez pamięci, z rozkoszą upojenia, wiary w niego, z rozkoszą poddania się.

— Do pasieki—powtarzali, biegnąc przez las. Za niemi kładło się czerwone słońce, purpura słaniała się do nóg, obejmowała ich. Na niebie biła łuna, obléwała krwią liście drzew, czerwieniła łany zbóż i wodę strumyka.

— Jeszcze takiego nieba nie widziałam—szepnęła dziewczyna— lęk mnie zbiéra i boję się czegoś.

Chłopak w milczeniu przeniósł ją przez strumyk, szli razem przez zakrwawioną łąkę... Stawał co chwila, oglądał się i powtarzał cicho.

— Dziwy, dziwy... Jaki ten świat piękny, byle ino odrobinę pokoju, odrobinę dobréj woli, odrobinę szczęścia... Do pasieki — zawołał.

Dziewczynina wystraszona drgnęła, tuląc się do niego powtórzyła jak echo:

— Do pasieki!...

— Na Podole! Tam pono kraj miodem i mlekiem płynie...

— Któż ci to mówił?

— Książka!... Gdy książka jest, ludzi nie potrzeba. Na Podole, moja złota rybko, tam dopiéro będziesz po pasiece hulać. Uciekajmy choćby dziś, choćby jutro.

— Jutro—powtórzyła Zosia.

— Którędy stąd najbliżéj do dworu?—zapytał.

— Nie wiész? ścieżka przez Madejowe pole.

— Prawda!... zabaczyłem. No, Zośko, pocałuj mnie raz, drugi, trzeci, a teraz uściśnij mocno, mocno. Ot, tak — i leć do domu, zbiéraj łachy, wiąż węzełki i w drogę—marsz..

Dziewczynina tuliła się do niego i puścić nie chciała.

— Cóż-to, ostatni się raz widzimy? Przecie do pasieki sam nie ucieknę?...

— Czegoś się stracham—szepnęła z żalem w głosie.

— Ja nie, byle ino ruszyć w drogę.

Wyrwał się i poleciał, Zosia stała smutna i patrzała za nim, powtarzając:

— Byle ino odrobinę spokoju, to szczęście samo przyjdzie. Zdaje mi się, że jakaś zmora pochwyciła mi w garść serce i dusi.

Chłopak dopadł do dworskiéj bramy, stanął i rozglądał się. Cisza i spokój uderzyły go. Przestraszył się, tęsknica siadła mu na serce, nie śmiał się ruszyć z miejsca.

Z kuchni wybiegła z konewką dworka. Zaczepił ją, dziewczyna wyszczerzając do niego zęby opowiada mu, że młodsza pani—tak nazwała panienkę — wyjechała z panem gdziesik do kąpieli, a starsi państwo ją odprowadzili. Nikogusieńko w całym dworze nie ma.

— A kiedy panienka wróci—spytał Jaś.

— Najwcześniéj za cztery tygodnie, ma tu wpaść na jeden lub dwa dni i wracać do swego gospodarstwa.

Jaś się zamyślił i posmutniał.

— I czegóż wytrzészczasz ślépia—spytała dziewczyna, czy chcesz żebym się w nich przeglądała?...

— Nikogo nie ma? nikogo? — powtórzył z żalem, że aż zadziwił dziewczynę.

— A cóżto, czy jakie nieszczęście?

— Oj nie—odpowiedział i poszedł —obok niego szła dziewczyna,

— Cnie ci się bez młodszéj pani?

— A cnie—powiedział.

— Patrzajcie, jaki mi pan.

Jaś popatrzał na dziewczynę i zaśmiał się. Zaśmiali się razem.

— Wiész co, ty jesteś okrutnie głupia.

— A niechta, alem smyśna dziewucha i już.

Śpiewając, zbiegła na dół do studni, chłopiec smutny zgnębiony, ścieżkami szedł pod górę na wieś. Wyjazdu panienki nie spodziéwał się i nie przeczuł. Był to dla niego cios. Tak pragnął uciec, tak się cieszył nadzieją ucieczki, tak mu obmierzło życie w domu ze starymi, tak tęsknił za Zosią, że miejsca sobie znaléść nie mógł.

Dopadł do Madejowéj ścieżki i pognał nią wprost do chaty Tyksiny. W zbrzozowych krzakach zdawało mu się, że ktoś idzie za nim, usłyszał chód. Stanął, spojrzał.

— Majaczy mi się z tego żalu — zawołał i pognał całym pędem daléj.

Okno w chacie Tyksiny zastał otwarte, stanął w nim i ręką przyzwał dziewczynę do siebie. Wybiegła, objął ją w pół, pocałował i ze smutkiem, tłoczącém mu serce, powiedział o wyjeździe panienki.

— I cóż poczniemy—spytał, łamiąc ręce.

— Zaczekamy, póki nie powróci.

— Abo mi to wolno długo czekać?

Wspięła się na palce, pociągnęła głowę chłopca ku sobie i szeptała mu do ucha, póki się nie rozpłakała głośno i serdecznie.

— Zosiu—zawołał—a ja ci jestem okrutnie rad i taki kontentny, jakby mnie kto na sto koni wsadził. Jutro polecę do dwora i przyobiecam dwie szóstki chłopakowi z kredensu, jeśli mi da znać, gdy panienka wróci. Uciekniemy, choćby na koniec świata!...

Biedroń, przyczajony w krzakach, słyszał całą rozmowę — kij w ręku ściskał, zęby zaciął i nie ruszał się z miejsca. Wrzał cały lecz się nie ruszał. Bał się walki z synem, bał się własnéj wściekłości.

Utulona dziewczyna przysięgami chłopca, wróciła do chaty, Jaś pognał do domu.

Stary szedł za nim wolno, w głowie mu huczało, ręka drżała, nogi ociężały, że ledwo je ciągnął pod górę.

W izbie się świéciło. Biedrońka czekała na męża. Blady, zmęczony, wszedł, zbliżył się do żony i szeptem opowiedział podsłuchaną rozmowę.

— Źle—powtarzała—źle,—ciężko go będzie od téj szelmy odciągnąć. Umiała sobie poradzić.

— Czego dwór miesza się do mego chłopaka, do moich spraw — co? La czego te psiakrwie chcą mi go zabrać!?...

— Chłopak uczciwy, dobry, ma rozum, będą ciągnąć i ssać go ile się da...

— Niech ucieka łajdak i niech go moje oczy więcéj nie widzą!— krzyknął.

— A jak go zabraknie, to ciężko ci będzie.

— Ale nie damy, wszystko la nas zostanie—mówił cicho.

— A po naszéj śmierci?

— Po naszéj śmierci łajdaczkom odda naszą krwawicę, — to lepiéj niech przepadnie!...

— Chłopak przylepka i bez niego już się nie ostanę, nie upamiętam. Przecie to moja krew.

— A on dba o nas?...

— Nie ciągnęliśmy go jakoś do siebie.

— Za to ciągnęły go te szelmy. Niech leci na złamanie karku!

Stara milczała, lecz czuła, że gdyby chłopak poleciał, leciałaby za nim. Niech robi, co chce, byle został przy niéj,—z nią!

— Ciężko—szepnęła—ty rodzicem nie umiész być.

— A ty go tulisz, głaszczesz i cóż z tego?

Zamilkli — stary rzucił się na łóżko i zasnął twardym snem spracowanéj starości.

— Będzie źle — rozmyślała matka — stary nie ustąpi, chłopak na swojém zechce postawić. Będzie źle, ciarki po mnie chodzą na samą myśl, że ojciec z synem wezmą się za łby. Boże...

Padła na kolana, zaczęła się modlić... zasnęła.

Raniutko Jaś wyjechał do lasu po gałęzie. Wpadł do stajni, ucałował serdecznie Kundę, w izbie pożegnał się z matką, siadł na wóz, ojciec wtyle usadowił się na wiązce siana — ruszyli, zatrzymując się przed organistówką. Stary kazał chłopcu jechać i układać na wozie gałęzie. Jaś popędził w nadziei, że gdy mu się uda szybko wóz nałożyć, odpocznie i poczyta sobie książkę.

Wjechał do lasu, zawrócił i stanął nad paryą, z któréj miał wynosić gałęzie. Tylne koła, aby się wóz nie stoczył, pozakładał kawałkami drzewa, sam zeszedł na dół.

Czy to, że koń się szarpnął, czy też, że drzewo, podłożone pod koła, było zacienkie, wóz się stoczył na dół, dyszel poszedł w górę, koń się zawiesił na naszelniku, harkał straszliwie—dusił się...

Chłopiec wystraszony pochwycił siekiérę, przyskoczył i drżącemi ze strachu rękoma ciął naszelnik. Twarda skóra odbiła raz, siekiéra się poślizneła, tnąc skórę konia.

Krew bluznęła, harczenie robiło się straszne, chłopak zbladł, siekiéra wypadła mu z rąk, zamroczyło go, upadł, zataczając się pod płytko rozlany strumień wody.

Upłynęło chwil kilka. Nadszedł ojciec — jednym rzutem oka ocenił niebezpieczeństwo. Wściekłość go opanowała, cały zapas duszonego gniéwu zawrzał w nim, — przyskoczył, zamierzył się i ciął zemdlonego laską w głowę.

Dębowy kij zatrzeszczał, jęknęło coś w powietrzu—zamierzył się drugi raz, ręka mu zdrętwiała, woda strumyka zaczęła się farbować. Poskoczył do konia, kozikiem przeciął naszelnik, rana nie była wielka. Zwrócił się do syna, trącił go nogą, chłopak się nie ruszył. Pochylił się, szklane oczy chłopca patrzały na niego strasznie. Ujął go za rękę, była zimna, puścił, padła jak kłoda. Ukląkł, podźwignął go, zimne ciało leciało mu z rąk.

Zimny pot wystąpił mu na pomarszczoną twarz, dusiło go. Strach nim trząsł, w głowie szumiało. Wydrapał się z paryi —uciekł. Wpadł na podwórze, stara się go przestraszyła.

— Gdzie syn?—spytała?

Nic nie odpowiedział, wytrzészczając straszliwie oczy.

— Gdzis Jaś?—zawołała.

Na krzyk matki wybiegła Kunda, popatrzała na starego i wielkim głosem wrzasnęła:

— Zabił go!

Wypadła i lecąc przez wieś, wołała:

— Zabił, zabił mi dziecko—ratujcie!...

Ludzie jak szaleni wybiegli na gościniec.

— Zabił—wołała oszalała z rozpaczy Kunda—zabił mi Jasia.

— Gdzie? gdzie?—pytali, lecąc za nią.

— Boleść mnie moja zagna i pokaże...

Pędziła naprzód, ludzie za nią. Trafiła odrazu. Wóz, para koni, obok niego martwy chłopiec. Woda strumienia zmywała mu z rany skrzepłą krew. Chłopak, zdawałoby się, że śpi, gdyby nie zamarłe oczy. Kunda z krzykiem rzuciła się na niego, zaczęła go całować cucić, chuchać mu w usta — napróżno. Uklękła i zapłakała serdecznie, — kobiety za nią. Zrobił się lament, rozdziérający serca. Gospodarze przytomniejsi zamknęli chłopcu oczy i oświadczyli, że musi tak leżéć, póki nie zjedzie komisya.

— Nie musi — wrzasnęła Kunda. — Wszyscy widzą, że ma rozbitą czaszkę, tak go kijem dębowym w nią zdzielił. Nie pozwolę, żeby mi dziecko leżało, jak pies w wodzie.

Pochwyciła go na ręce i wyniosła na murawę.

— Wóz wyciągnąć z paryi, konie wyprowadzić, gałązkami wysłać śmiertelne łoże — rozkazywała.

Ludzie jéj słuchali, kobiéty łamały gałązki leszczyny i młodą brzezinę, wyścielając nią wóz. Kunda z Felą, ująwszy się za ramiona, podsunęły ręce pod chłopca i podźwignęły go. Jedna z kobiét trzymała mu głowę, drugie ujęły go wpół, wydobywając się powoli z paryi.

Zwłoki ułożono na wozie, Fela pochwycił lejce i bat, konie ruszyły. Wóz otoczyły kobiéty, Kunda, trzymając się szczebla, ciągniona, szła przy głowach Jasia i zawodziła tak boleśnie, że aż się serca ludzkie krajały.

Cała wieś wysypała się na gościniec. Otoczono wóz — złorzecząc staremu, przeklinając go, grożąc mu, wtoczyli się na dziedziniec...

Skrył się do komory, mogli go byli rozszarpać. Chłopiec był ulubieńcem wsi, jéj głową, sercem, chlubą... Stary wyzyskiwacz i sknera ludzi gnębił i ssał... Kobiéty uważały chłopca za błogosławionego, którego Najświętsza nawiédza i przez niego śle na wioskę łaskę swą i chroni ją od pożogi i głodu.

— Zbój ten nie mógł ścierpiéć świętego dziecka przy sobie — przyświadczały rozwścieklone.

Z izby wybiegła matka z wyciągniętemi rękoma.

— Precz, zbóje — krzyknęła Kunda — nie dotykajcie mi dziecka.

— Precz, zbóje — wołały za Kundą kobiéty.

Stara dopadła do wozu, zobaczyła otwartą ranę na czaszce chłopca, krzyknęła i uciekła.

Goniły ją straszne przekleństwa kobiét.

— Otwiérajcie stodołę — rozkazywała Kunda — wysłać w rogu sianem; dziewczęta niechaj lecą po mak i bławaty, chłopcy naznoście gałązek leszczyny i wikla. Wystrojemy mu śmiertelne łoże, tak pięknie, że jak Najświętsza zobaczy, rozraduje się... Niechaj która z kobiét skoczy do izby po czystą koszulę, wstążkę, płótniankę, nowe buty i krakuskę. W krakusce było mu ślicznie. Gospodarze zaniesiecie mi go delikatnie do stodoły. Nie dam go tym zbójom do izby...

Organista zajrzał na dziedziniec i w chwili, gdy ludzie przenosili Jasia, wpadł do starego do komory i zamknął się z nim.

Długo radzili, tymczasem dziewczęta poznosiły pęki maków, korali i bławatu. Zaczęły je wić i żałośnie zawodzić.

Kunda, zapracowana, nie miała czasu na rozpacz i żal. Umyła go, ubrała, zadziergnęła w koszulę czerwoną wstążeczkę, przepasała go paskiem, płótniankę na trzy haftki zapięła, krakuskę pochyliła na bakier tak samo jak ją pochylał Jaś, do rąk wsunęła mu krzyżyk, oderwany od różańca, a pod splecione ręce wsunęła „Pana Tadeusza”.

— Umiłowałeś książkę, że może i bez nią młodziuśkie życie straciłeś. Niech idzie z tobą na tamten świat — nią się wykażesz przed Najświętszą i tam se w pokoju czytać będziesz. Stary zbój nie będzie na ciebie podjudzał...

Zapłakała rzewnie, że aż serca dziewczyn ścisnęły się, rzuciła się na ciało, całując je po twarzy i rękach.

Dziewczęta skończyły wieńce, Kunda otoczyła niemi chłopca. W maki, korale ustroiła mu głowę. Czerwień pod blaskiem słońca padając na bladą twarzyczkę, oróżowiła ją...

— Patrzajcie, łuna od niego bije! Święty! — krzyknęła i padła na kolana, za nią dziewczęta.

— Dawajcie bławaty. Z bławatów porobię girlandy. Moje ty złotko, mój ty królewiczu, królujesz teraz w niebie.

Łzy nie dały jéj mówić, wargi drżały, serce pękało.

— Obyś ty mnie zabrał do siebie i przytulił. Ale ty pewno każesz mi się jeszcze poniewiérać po świecie, abym na Zośkę miała baczenie...

Otoczony zielenią, przybrany w kwiaty — zdawało się, że śpi i uśmiécha się.

Zadzwoniono na południe, lud, klnąc zbója szmerem, rozszedł się do domów. Kunda usiadła w nogach chłopca, gałązką zganiała muchy i płakała. Żal ją i boleść rozbiérał, że mówić nie mogła, broda latała, strugi łez po zmarszczonéj twarzy płynęły.

Wieczorem—zjechała komisya, sędzia i doktór, ludzie zaczęli się cisnąć, Biedroń nie wychodził z izby. Wójt trzymał porządek. Zbliżył się doktór.

— Zabił go i już—zawołała Kunda.—Patrz, jaka rana.

Zdjęła krakuskę z głowy chłopca i pochyliła ją delikatnie ku sobie.

— Tarmosić chłopca nie dam. A gdybyście go krajać chcieli, to wam ślépia wydrapię!...

— Precz!—krzyknął wójt.

— Ty sam precz! — wrzasnęła. — Zbój posmarował ci łapy śrybrem i wołasz precz.

Wójt podniósł rękę. Zasłoniły ją kobiéty, pokazując pięście.

— Poślę po żandarma—groził.

Tymczasem doktór zmierzył ranę, zajrzał do środka i rzekł do sędziego:

— Czaszka pęknięta,—krew zalała mózg.

— Jak go zdzielił z całych sił dębową lagą w głowę, jakże nie miał mu jéj rozwalić?—powiedziała Kunda.

— Widziałaś?—krzyknął wójt.

— Jakbym tam była! Cóżto, nie znam tego zbója, co własne dziecko rad był zamordować, żeby mu ino nic nie dać—i zamordował...

— Nie ma naocznego świadka?—zapytał sędzia.

— Chłopca wyprowadził do lasu po to, aby świadkami były nieme drzewa—odparła Kunda.

Wójt rad był ją zdusić, lecz się bał, mruczał tylko i ślépiami błyskał. Lud przyświadczał Kundzie i szemrał głośno.

— La bogaczów inna sprawiedliwość, la biédaków inna.

Komisya z wójtem odeszła do izby — Kunda nałożyła chłopcu krakuskę, poprawiła wieńce i girlandy, stojąc na straży.

Jednym wozem komisya, drugim wójt z organistą i Biedroń pojechali w stronę lasu. Kundzisko, szarpane boleścią i głodem, chociaż nic do ust wziąć nie mogła—ułożyła się, jak pies u nóg chłopca — zasnęła.

Wieczorem Zośka wróciła z zarobku z sąsiedniéj wsi. W izbie zastała matkę spłakaną i ponuro patrzącą Marcinową. Przypadła do nich wystraszona.

— Cóż—bójcie się Boga—gadajcie...

— Siérotko ty moja—zajęczała matka.

— Jak? co?—pytała szeptem,—nogi pod nią zadygotały—mówcież na Boga.

Matka zaczęła zawodzić i lamentować.

— Co!?—krzyknęła przeraźliwie dziewczyna.

— Biedroń zabił Jasia—rzekła sucho i twardo Marcinowa.

Dziewczyna stała długo jakby piorunem rażona, patrząc osłupiałym wzrokiem na świat. Krzyknęła dziko, przeraźliwie i uciekła z izby. Kobiéty wypadły za nią, lecz dziewczynę pędziła rozpacz, mignęła im przed oczyma i zniknęła w krzakach.

— Dziecko! — krzyczała lecąc Tyksina — moje jedyne dziecko! Ratujcie mi dziecko... Gdzie dziecko moje!?...

Marcinowa silniejsza rzuciła się w krzaki.

— Ja cię znajdę — szeptała — i nie oddam śmierci, żebym paść miała.

Dziewczyna, nieprzytomna, leciała bez pamięci i czucia. Księżyc wyjrzał z za chmur, kładł swe promienie na ziemię, srebrzył łąki, brzozowe gaje, krył się i znowu wypływał, świécił, uśmiéchał się, i daléj płynął cicho, spokojnie, jak gdyby ziemia była rajem... Spokój, cisza, łagodny blask księżyca oprzytomniły i rozwściekliły dziewczynę. Zacisnęła pięści i stanęła. Groziła całemu światu. Za gniéwem wkradał się do serca żal za utraconém szczęściem i żal za chłopcem, za którego życie by oddała. I znowu ją rozpacz wzięła, dławiła w gardle, szarpała sercem, coś ją gnało — poleciała. I znowu z po za chmur na jasne niebo wypłynął księżyc, oświécił wzgórza, białe chaty i rzucił garść srebra na śmigłą wieżyczkę kościoła. Dziewczyninę żal i boleść zwyciężyły, objęły w posiadanie... Dygocąc z żalu, drapała się pod górę bez tchu i upamiętania.

— Co mi po życiu bez niego, co mi po całym świecie, bez niego.

Stanęła, spojrzała na księżyc, szepcząc:

— Nie chcę żyć, nie chcę, nie, nie...

I znowu drapała się pod górę z gwałtownością gorączki. Dopadła na cmentarz. Mogiły, drzémiące białe brzozy wydobyły nowe z piersi dziewczyny boleści...

— Tu spocznie moje chłopczysko i ja obok niego, z nim—przytulimy się na całą wieczność, jakeśmy się tulili za życia.

Pochwyciła długie cienkie warkocze brzeziny, skręcając z nich długą witkę. Robota szła szybko, kręcona nić wyciągała się ku górze.

— Nie chcę — szeptała — nie chcę bez niego jednéj godziny, jednéj minuty, nie chcę, nie chcę... A wijże się prędko, boję się, żebyś się nie urwała... Najświętszą, nie trza było nas zganiać do kupy, teraz musisz mnie z nim przyjąć do siebie i pobłogosławić...

Wić wyciągnęła się w górę, należało nawiązać węzeł, pętlicę zrobić. Ręce jéj drżały, dygotała całém ciałem, szczęki dzwoniły zębami.

W powietrzu zadzwoniło żałośnie.

— A gdzieżeś, gdzieżeś, moja dziecino — gdzie?... Starą matkę siérotą zostawisz i jak psa porzucisz? Samą — na całe życie samą — a to mi lepiéj kamiéń uwiąż do szyi i do wody rzuć. Dziecino moja, a gdzieżeś ty, gdzie?...

Głos drżał, pełen bólu jęk. Jęk ten pochwycił serce dziewczyny, zesłabła, ręce jéj opadły, wypuściła wić, zsunęła się na ziemię, zamroczyło ją, niebieskie jasności objęły, potém ciemnica — przewróciła się.

— A co, nie mówiłam, że na cmentarzu ją szukać. Tyksina, do mnie haw, tu!—wołała ostrym tonem Marcinowa—siadaj przy dziecku, ja skoczę po konie. Tylko mi jéj nie budź... Może jéj duszyczka wyleciała do duszy Jasiowéj, niechże się nacieszą sobą.

W téj saméj chwili do stodoły Biedronia, gdzie leżał Jaś, weszli wójt, organista i kościelny, pochwycili śpiącą Kundę, zatkali jéj ręką usta, zaciągnęli do stajni, wepchnęli, drzwi zamknęli na kłódkę.

Kunda pomstowała, dobijając się straszliwie, tłukła pięściami do drzwi. Organista pokpiwał z niéj, wójt i kościelny śmieli się.

Z zapaloną latarką wysunął się z izby Biedroń, żona szła za nim, płacząc cicho.

Zniesiono z wozu trumnę, organista odrzucił zieleń i girlandy, wieniec sciągnął chłopcu z głowy, krzyżyk schował, książkę cisnął na boisko, krakuskę mu zdjęto, położono go w trumnie, przykryto wiekiem, złożono na wóz—odjechali.

Biedronie szli za wozem milczący, ponurzy. Starego sumienie jadło, starą lęk ogarniał i żal za jedynakiem. Bała się każdego szelestu, każdego skrzypnięcia wozu.

Na ustawionym katafalku w kośnicy złożono trumnę. Stary kazał sobie otworzyć kościół, padł krzyżem przed wielkim ołtarzem, stara uklękła przy nim, kościelny zdrzemnął się w ławce.

W godzinę późniéj zbudził ich, wyprowadził, kościół zamknął. Dwa cienie snuły się drogą.

— Zabiłem go—powtarzał stary—zabiłem własną krew, zabiłem krwawicę całego życia, a teraz mnie wezmą, skują na resztę starych lat.

Zaczął się targać za włosy.

— Cicho, cicho — szeptała żona.—Komisya napisała, że chłopak zleciał z paryi na kamienie i został. Organista pokazał, jak i którędy. Nie bój się nie wezmą cię.

— Widzę go wciąż — mówił stary — patrzy ci się na mnie litościwie i pyta się: Tatuś, bez coście mnie zabili? Życie się do mnie śmiało, a tyś wziął i zabił mnie na wieczność... Oj, ty zbóju — krzyknął, stanął i wylękniony, obejrzał się.

— Chodź, chodź—prosiła się stara.

— Taką jakąś zemstą zionąłem, a to przecie mój syn... I zostałem ci sam z krwawicą moją i nie mam komu jéj dać... Jakoś czegoś nie cierpiałem go—i zawsze coś mi szeptało: bij, bij...

— Nawykłeś, kiedy chłopak był jeszcze mały, prać i sprałeś na śmierć...

— Chłopak mi stoi przed oczyma, taki bledziuśki, taki miłosierny — i co teraz zrobię!?... Gdzie pójdę, gdzie się obrócę, stoi, patrzy i pyta: Tatusiu, bez coście mnie zabili?...

Stary zapłakał.

— I co mi po krwawicy i po ciężkim znoju całego życia?

— To ta szelma Kunda dziecko nam odciągnęła — skarżyła się stara.

— Pójdę i zabiję ją, a potém niech mnie rozćwiertują — zawołał, ściskając nerwowo pięście.

— Jeszcze czego, żeby cię zabijano za marne życie téj szelmy. Ledwo cię organista wydobył z jednego nieszczęścia, chcesz léźć w drugie. Chłopaka pochowa się jak pana, a po spowiedzi zlézie ci z oczu... Przecie to moje dziecko i kochałam go więcéj, niż ty. Serce matczyne, to nie chłopskie, okrutnie mnie żalem ściska.

Wybuchnęła płaczem.

— Siérotyśmy na starość—mówił ponuro stary.

— Prać, tylo prać — szeptała matka. — Takeś się rwał do skóry chłopca, jak pies do ściérwa.

Serdeczne łkanie i potoki łez zdławiły jéj głos.

— Te łajdaczki, dziadówki, bez nie znienawidziłem syna. Gdyby nie one, żyłby dziś...

Skarżył się stary, zwalając z siebie winę, mimo to chłopiec z okrwawioną czaszką wlepiał w niego smutne swe oczy.

— Krwawico moja, i cóż mi z ciebie — powtarzał szeptem, zamykając oczy przed widziadłem.

Weszli do izby, było im zimno, pusto. Pierwszy raz odczuli samotność i odosobnienie.

— Teraz dopiéro ludzie będą na nas szczuć i pomstować. Chłopaka, bez to, że święta Panienka nawiedzała go w chorobie, mają za świętego, a tu własny ojciec...

— Cicho— szepnął stary — czy chcesz, żebym poszedł do stodoły i powiesił się. Pierwszemu, co zacznie pyskować, pięścią zamknę gębę...

— Wszyscy, cała wieś pyskuje, wojuj ze wszystkimi. Czy to krzywda ludzka na nas się mści?...

Starego coś wstrząsnęło, zsunął się na ławę.

— Daj miodu—odezwał się.

Stara z komory wyniosła kupioną dla organisty i Nastki flaszkę. Wypił odrazu trzy czwarte, resztę podał żonie.

— Napij się, bo ci powieki do oczu nie przywrą.

Położyli się, lecz powieki nie chciały do oczu im przywrzéć. Jaś wciąż litościwie wlepiał niebieskie oczy w starego i patrzał.

O wschodzie słońca dziéwka otworzyła stajnię, zastała Kundę siedzącą w kucki. Zerwała się, zarzuciła chustkę na siebie, pobiegła do stodoły, pozbiérała rozrzucone girlandy, wieniec, książkę i nie oglądając się, poszła do wsi szukać dziewcząt różańcowego bractwa, do którego sama należała, i z niemi udała się do kośnicy.

— Same go na ręcznikach zaniesiemy do świętéj ziemi, a teraz pomóżcie mi wieko zdjąć.

Dziewczęta z łatwością oderwały założone wieko, Kunda ubrała chłopca w wieńce i girlandy, książkę schowała mu za koszulę.

— Nosiłeś ją zawdy za pazuchą, zanieśże ją i do Najświętszéj i pokaż jéj, za co cię stary uśmiercił. A niech ci ją organista wyciągnie, dam ja mu.

Odwróciła się do kościelnego:

Tylko mi go tknij, kwiatki wyrzuć—wieko zawrzyj, to cię spalę!

— A co mam tykać, a co mnie do tego—ja kościoła pilnuję...

— Powiédz organiście—że ja go nauczę...

Pocałowała chłopca w usta i w ręce.

— A pożal się przed Najświętszą mojéj doli—i dla Zośki uproś jakie miłosierdzie. Ona cię miłowała nie dla twego bogactwa, ino, żeś był dobry i przychlebny...

Uklękła i odśpiéwała:

Dobranoc, kwiecie różany,
Dobranoc, Jezu kochany,
Dobranoc!

Dziewczęta chciały odmówić „Zdrowaś Marya" za dusze zmarłych.

— Nie potrzebuje waszych „Zdrowasiek" — rzekła Kunda. — on sam se rozmawia z Najświętszą, ile zechce. Módlcie się do niego, niech i za wami przemówi.

Kościelny chwycił się za głowę, lecz ze strachu, aby go Kunda nie spaliła — milczał. Dziewczęta, patrząc w bladą twarzyczkę Jasia, szeptały swe żale i prośby...

Kunda poszła do Feli, najęła konie — wóz wjechał w obejście Biedroniów.

Wyniosła skrzynkę, pierzynę, zawiązaną w płachtę, stare buty i kożuch podarty.

— To wszystko, czegom się dorobiła... Bądź zdrowa — odezwała się do dziéwki — przyniesiecie mi po pogrzebie z całego roku zasługi. Powiédz staremu, żebym po nie sama nie przychodziła, bo gdy przyjdę, będzie źle.

Dziéwka pocałowała ją w rękę. Kunda siadła na wóz tuż przy Feli.

Gdy przejeżdżali obok chaty, wstała, wyciągnęła rękę i spokojna jak wyrocznia, strasznym zawołała głosem:

— Własnego dziecka nie mogliście uchować, musieliście go, zbóje, zabić—przeklinam was!...

Biedronie, żeby nie słyszéć przekleństwa, nie widziéć Kundy, pozatykali uszy rękoma i odwrócili się. Wóz odjechał, cicho się zrobiło na dziedzińcu — starzy długo bali się oderwać rąk od uszów i obejrzéć się.

W obejściu zapanowała ponura cisza. Stary siedział w izbie, stara włóczyła się wśród zabudowań jak cień. Patrzała nie widzący, słuchała nie słyszący.

Zadzwoniono we wszystkie dzwony, organista wpadł do Biedroniów i zabrał ich do kościoła na śpiéwaną wotywę za duszę syna.

Kunda wysiadła przed chatą Tyksiny.

— Macie mnie — rzekła. — Straciłam syna — zalała się łzami — przyjeżdżam do córki. Nie przywożę bogactwa, ale za to twarde ręce i łeb na karku. Nie damy się. Gdzie Zośka?

Tyksina otworzyła, płacząc głośno, drzwi komory. Na łóżku leżała blada, zimna, sztywna dziewczyna.

— Nie wiem, czy z niéj już dusza uleciała. Takąśmy ją zabrali z cmentarza, taką jest dziś. Com się jéj nie naprosiła, aby spojrzała, przemówiła — nic... Ledwo jéj mocą rozwarłam zęby i wlałam ociupinkę mléka.

— Niech śpi —odrzekła Kunda, przykładając ucho do ust dziewczyny.—Zbudzisz ty się na czas, siéroto moja, zbudzisz...

Tyksina zaczęła szeptać.

— Tak — zawołała — tak—powtórzyła Kunda.—tém ci lepiéj, że będzie miéć pociechę, a my przecie na starość nie zostaniemy same.

Zwróciła się do Zosi.

— A niechże cię Bóg błogosławi — pogłaskała ją po bladéj twarzyczce i pocałowała. — Śpijże, siéroto moja, i nie bój się, ja cię obronię.

Tyksina, rada, że Kunda wieść tę tak radośnie przyjęła, otarła zapaską oczy, odetchnęła. Kunda się rozpakowywała i rozgaszczała.

— Trzeba kupić drugiego prosiaka i drugą krowę. Mam uciułanych trochę,—a u starego zbója dwadzieścia papiérków.

Wyjęła ze skrzynki mały tobołek, owinięty gałgankami. Ciężki był, samo srebro.

Zaczęły liczyć i wyliczyły pięćdziesiąt dwie sztuki.

Twarz Tyksiny rozjaśniła się.

— To na krowę — rzekła Kunda — a na prosiaka u starego. Na dwie fury koniczyny zapracujemy do zimy. Darmo u was chleba jeść nie będę i przydam się...

Tyksina objęła ją za szyję, pocałowały się... Usiadły obok siebie i układając rulony srebra, radziły o przyszłości. Tyksina z Kundą miały latać na zarobek, a dziewczyna wele domu, aby się, broń Boże, nie utrzęsła, bo o nieszczęście nie trudno...

— Moje chłopczysko — wołała Kunda — wczoraj się śmiało do mnie, a dziś...

Zalały się łzami serdecznego żalu.

— Od dziś za tydzień jarmark w Wielopolu, polecimy. Bydło tam tanie. Jeżeliby dziewczyna nie domagała, zostawimy przy niéj Marcinową, jeżeli będzie zdrowa, to ją zabierzemy.

Nowe horyzonty otwiérały się przed niemi: nowych walk, pracy i nadziei — nie było czasu na rozpacz. Wybuchała wielka, rwała serca, lecz krótko trwała.

Dzwony się rozlały, wpadając przez otwarte okna do izby. Głos ich zatrząsł nanowo sercami kobiét. Kunda zarzuciła chustkę świąteczną na ramiona i wybiegła. Tyksina została przy Zośce.

Pogrzeb odbywał się wspaniale, światła huk, chorągwie wszystkie, jegomość w kapie, organista, kościelny, chłopcy w komżach i czerwonych pelerynach. Bito we wszystkie dzwony, sześć dziewcząt na zmianę niosło na ręcznikach trumnę. Kunda, dziewczęta i dzieci ze wsi sypały przed trumną z koszyków kwiaty...

Organista pokazał proboszczowi te ramoty i zberezie. Proboszcz się rozgniéwał i obruszył.

— Nie bój się jegomość — zawołała Kunda — wystarczy kwiecia i na pogrzeb jegomościa... Nie zabraniaj nam uczcić Jasia, a choć umarł bez spowiedzi, to i tak grzéchy zmył serdeczną krwią, co mu ją zbój wytoczył.

Jegomość nie lubiał słuchać o swoim pogrzebie, a na wspomnienie zbója przestraszył się i zamilkł.

Kwiaty sypały się przed trumną, chorągwie, poruszane wiatrem, furczały, światło przy białym dniu migotało czerwono. Srebrne galony kapy jegomości kąpały się w słońcu, powietrze drżało od dzwonów, śpiéw się unosił...

Kunda obciérała łzy. Płacz kobiét głuszyły dzwony i tłumił śpiéw.

Biedroń z żoną szli tuż za księdzem, staremu serce drętwiało, lecz mimowolnie oczy latały po jarzącém świetle, chorągwiach i kapie jegomości, a umysł obliczał ile mu każą zapłacić, na ile go organista zedrze. Biedrońka rada była pompie, lecz drżała ze strachu na myśl wielkich wydatków i skąpstwa starego...

— Ten stary zbój myśli se, że pana Boga sutością pogrzebu przekupi—szeptały kobiéty.

Orszak wszedł na cmentarz. Za niewiele chwil została świéża żółta mogiła, na znak, że uleciało w wieczność jedno młode życie. Na cmentarzu zrobiło się pusto, cicho, sennie. Stare brzozy, ruszane wiatrem, powiéwały długiemi warkoczami, nucąc cichą, smutną pieśń zapomnienia...

Wszystko przeminie...

Mijały dni, Zośka się ocudziła, Kunda ją uściskała, rada, że chłopiec jéj nie zeszedł marnie z tego świata, bo zostawi po sobie zastępcę...

— Będziemy go chować razem we troje i pieścić i całować. To będzie nasz jedyny i wara komukolwiek do niego... Wara Biedroniom!... Nie damy go...

Podniecona nadzieją, pieściła biédaczkę, jak tę, która jéj rozkosz i możliwe na ziemi szczęście przyniesie.

Zosia odczuła opiekę i miłość, strachy od niéj odeszły.

— Będziesz miéć syna, bo musi być syn — wołała Kunda — jego syn, — rozumiész. Cała wieś rozraduje się tą wieścią, wszystkie dziewczęta będą ci zazdrościć, wszystkie kobiéty błogosławić, a ja będę cię na rękach nosiła.

Mrugnęła znacząco na Tyksinę.

— Dziękuję ci, moja Zosiu—rzekła matka—że przecie siérotami nie zostaniemy...

— I nam na całe życie radość dasz — dokończyła Kunda.— A teraz se pamiętaj, na bok wszelakie lamenta. Musisz dbać o siebie i pilnować się jak oka w głowie. Może Najświętszéj było tęskno za Jasiem i zabrała go. Za dobry był i za przykładny na tym świecie, a na pocieszenie zostawia ci drugiego Jasia. Bo i jemu będzie Jaś...

Zosia z żalu po Jasiu zalała się łzami.

— Nie płaczże, bo chłopak będzie się ino mazał i buczał... Najświętsza wié, co robi...

. . . .

Przyjechała panienka, Kunda poleciała do niéj uskarżyć się, pożalić, naradzić. Z powrotem przyciągnęła za sobą roczną cielicę, za którą żyd na drodze dawał jéj trzydzieści papiérków... Kupiona krowa, dwa duże prosiaki w chléwku i młoda cielica, złagodziły smutki i żale...

Dużo było pracy i dużo do myślenia. Cielicę postanowiły zatrzymać i choćby się zapożyczyć, odchować ją na walną krowę.

— Jaś ją będzie pasał, nasz Jaś—wołała Kunda.

Wieść o darowiznie jałowicy i poważnym stanie Zośki rozniosła się po wsi, wypełniając serca kobiét radością, a usta ich błogosławieństwami.

— Przecie chłopczysko nie zeszło marnie, Kunda dziecko odchowa. Ho, ho! ona go swoim rozumem i pracą wykieruje...

Kunda stawała się rozumem i wyrocznią wsi.

(Dok. nast.). *Sewer.*



TEORYA KREDYTU.

I.

Istnieje obecnie bardzo rozpowszechniony a szkodliwy zwyczaj podporządkowywania teoryi praktyce, wynikły zapewne z tego, że ogół nie rozumié dokładnie znaczenia tych wyrazów. Praktyka znaczy „to co jest"—teorya zaś „to, co być powinno", a ponieważ jedna musi ulegać drugiéj, określenie powyższe wystarcza zupełnie, aby rozstrzygnąć kwestyę na korzyść teoryi. Siła intelektualna i siła brutalna od wieków toczą z sobą ciągłą i zaciętą walkę, a antagonizm pomiędzy teoryą i praktyką jest właśnie jednym z jéj współczesnych objawów. W danéj chwili daje się spostrzegać bardzo widoczna a wzrastająca skłonność do obniżania znaczenia teoryi na korzyść praktyki, któréj ogół przypisuje znacznie więcéj rzeczywistéj wartości i pozytywnych rezultatów. Teoretyk bywa równoznacznikiem marzyciela i utopisty, a w najlepszym razie nieszkodliwego dziwaka, kiedy mania praktyczności przenika do wszystkich powiérzchownych umysłów; to téż słyszymy ciągle o praktyczném wychowaniu, praktyczném wykształceniu, praktycznych kierunkach i t. d. Prawdopodobnie ludzie, używający tych określeń, chcą przez nie coś powiedzieć, nie ulega jednak wątpliwości, że nic nie mówią.

W rzeczywistości niepodobna oddzielić teoryi od praktyki, tak jak nie można oddzielić głowy od reszty ciała i kazać samym rękom pracować, lub samym nogom chodzić. Teoryę składają zasady postępowania, otrzymane przez doświadczenie i rozumowanie, do których

praktyka ślepo i bezwarunkowo powinna się stosować; ani wychowanie, ani wykształcenie czysto praktycznem być nie może, gdyż nie może i nie powinno przerabiać ludzi na maszyny, działające automatycznie, lecz winno się starać o to, aby w dziecku obadwa pierwiastki, kierujący i działający, normalnie się rozwijały. Jaką jest teorya, taką powinna być i praktyka; teorya musi być zawsze panią, rządzącą samowładnie, praktyka zaś tylko uległą i posłuszną jéj niewolnicą; wszędzie, gdzie praktyka jest w niezgodzie z teoryą, dzieje się źle.

„Co innego teorya, co innego praktyka" — oto pusty frazes, nacechowany lekceważeniem dla teoryi, który niemal codziennie słyszéć się daje. John Stuart Mill w swéj autobiografii wspomina, że za nierozsądne to zdanie, wypowiedziane kiedyś w młodości bez zastanowienia, odebrał od ojca tak surowe napomnienie, że je pamiętał całe życie. Potrzeba, aby ludzie wiedzieli, co mówią, i rozumieli wyrażenia, których używają.

II.

Mało jest zjawisk ekonomicznych, któremiby się więcéj zajmowano, aniżeli kredytem, mówią i piszą o nim wszędzie, interesuje on wszystkie warstwy społeczeństwa, a pomimo to, może nawet właśnie dlatego, mało jest zjawisk ekonomicznych, któreby przez ogół równie źle rozumiane i fałszywiéj oceniane były. Zdarza się, że nawet ci, którzy często mają do czynienia z kredytem i bliżéj są z nim obeznani, nie zdają sobie sprawy z jego istoty i przypisują mu cudowne własności, których bynajmniéj nie posiada. Doświadczenie pod postacią bankructw, krachów i ruin majątkowych otwiéra od czasu do czasu ludziom oczy na rzeczywistość, ucząc, że wartość kredytu jedynie względną być może; pomimo to, dla ludzi wyobraźni lub powierzchownego sądu, kredyt pozostaje zawsze jedném z owych magicznych słów, posiadających czarodziejską władzę, które służą za materyał do budowy zamków na lodzie.

Sądzono dawniéj, a nawet niektórzy ekonomiści, jak Macleod i Chevalier, podzielali błędne to zapatrywanie, jakoby kredyt był sam przez się bogactwem i powiększał sumę bogactw danego kraju. Opiérano się na złudzeniu, które i obecnie wielu w błąd wprowadza, że dowody kredytowe posiadają wartość wszelkich innych bogactw, gdyż bywają przedmiotem handlu i podlegają prawu popytu i podaży. Papiéry publiczne, akcye, obligacye, kupony, wszystko to posiada wartość zamienną, a handlujący tym towarem robią czasem bardzo zysko-

wne operacye finansowe; stąd uwielbienie dla kredytu i przesadzone pochwały na jego cześć, słyszéć się one dają i dziś jeszcze, pomimo, że nauka dawno odrzuciła teoryę kredytu-bogactwa, wyznaczając natomiast kredytowi w rzędzie zjawisk ekonomicznych skromniejsze miejsce, nie odmawiając mu ani znaczenia, ani utylitarnych własności, lecz redukując je tylko do rzeczywistych rozmiarów.

Kredyt nie posiadał nigdy i nie posiada żadnéj z zasadniczych cech bogactwa. Jakkolwiek papiéry i dowody kredytowe mogą być przedmiotem handlu i zarówno, jak wszystkie inne towary, podlegają na giełdach zwyżce lub zniżce, nie mają one jednak ani samoistnéj użyteczności, ani téż indywidualnéj własności. Są one wyobrażeniem, znakiem, cieniem rzeczywistych bogactw, muszą się opiérać na realnych podstawach bogactw już istniejących i nie sę niczém więcéj, jak tylko odbiciem, przedstawieniem tych bogactw na papiérze, wyrażonych w piéniądzach, służących za miarę ich wartości. Najlepszym dowodem, że papiéry kredytowe same przez się nic nie znaczą, jest to, że mogłyby uledz zniszczeniu, nie pociągając za sobą żadnéj ilościowéj ani jakościowéj zmiany w bogactwach społecznych, kiedy po zniszczeniu prawdziwych bogactw, wszelkie dowody kredytowe, które się na nich opiérały, stają się kawałkiem papiéru bez wartości. Jednèm słowem kredyt nie posiada konkretnego, fizycznego istnienia, nie odpowiada sam przez się żadnéj ludzkiéj potrzebie i dlatego nie jest bogactwem, należy on do zjawisk prawno-ekonomicznych czysto moralnéj natury, a pomimo względnéj swéj wartości może oddawać niezmiernie ważne usługi społeczne.

Po tych kilku negatywnych określeniach kredytu, poszukajmy określenia pozytywnego, któreby nas mogło zadowolnić. Określeń kredytu jest bardzo wiele, prawie każdy ekonomista posiada swoje własne; najprostsze a zarazem najściślejsze ze wszystkich, jakie są nam znane, należy do John St. Milll'a. Kredyt podług niego jest „pozwoleniem korzystania z cudzego kapitału, a w tych kilku słowach mieszczą się wszystkie zasadnicze cechy kredytu. Widzimy w nich mianowicie, że kredyt nic nie stwarza, nie powiększa istniejących bogactw, nie posiada żadnego obiektywnego znaczenia, a jest tylko prawem posługiwania się bogactwami, należącemi do innych; przenosi on kapitały z jednych rąk do drugich i nic więcéj. Użytek, jaki zaciągający pożyczkę robi z otrzymanego kapitału, warunki, pod jakiemi kapitał bywa wypożyczany, są to kwestye, które w teoryi należy oddzielić od kredytu, chcąc dobrze zrozumiéć, na czém się on zasadza. Uczyniwszy to, spostrzega się natychmiast, że kredyt zasadza się na zjawiskach czysto moralnéj natury, za jego pomocą kapitały, nie zmieniając właściciela,

zmieniają ręce, które niemi kierowały, przechodzą w inne, nie opiérając się na żadnych widocznych podstawach, co pozwoliło Adamowi Smithowi nazwać kredyt „drogą w powietrzu”.

Jakkolwiek sam nie jest bogactwem, kredyt jednak może przyczynić się do wytwarzania bogactw, wpływając na podwyższenie stopnia produkcyjności pracy. Dodatni jego wpływ na tém polega, że działa, jak gdyby przysparzał kapitału, nie pozwalając mu leżéć bezczynnie, lecz zużytkowując go racyonalnie. Nie zawsze jednak tak bywa; aby dosięgnąć tego celu, trzeba, aby kapitał był umiejętniéj użyty przez zaciągającego pożyczkę, aniżeli przez właściciela. Zdarzają się ludzie, nie chcący, lub nie umiejący kierować należącym do nich kapitałem, pozostawiają część jego odłogiem, lub niszczą nieprodukcyjnie, ubożąc siebie i swe społeczeństwo; kredyt, nie naruszając prawa własności, skłania ich do powierzania kapitałów w obce ręce, które będą mogły wyciągnąć z nich znacznie większe korzyści ekonomiczne, a które, pozbawione narzędzi do pracy, musiałyby bez kredytu pracować mniéj produkcyjnie, tracąc wiele swych sił bezskutecznie. Widząc to, powiedziano, że kredyt odkrywa nowe, nieznane pola działania, w istocie jednak tak nie jest, gdyż jedynie wzrost kapitału i nowe zwycięstwa nad naturą pola takie odkrywać mogą. Kredyt powiększa także natężenie, intensywność pracy ludzkiéj, dostarczając rękom narzędzi, pomnażając wielokrotnie ostateczne rezultaty i wzbogacając społeczeństwa. Nie należy jednak zapominać, że wszystkie owe narzędzia i warsztaty musiały już być przedtém wyprodukowane. Czém jest krew w organizmie zwierzęcym, tém jest kapitał w społeczeństwie, kredyt zaś jest siécią kanałów, doprowadzających ową krew do anemicznych w znaczeniu ekonomiczném organów społeczeństwa, kapitał pobudza je do działania, potęguje energię do pracy i pomaga lub pozwala żyć wielu jednostkom.

Główną podstawą, a jak niektórzy utrzymują istotą kredytu, jest zaufanie, które skłania posiadaczy kapitałów do powierzania ich obcym rękom. Wypożyczający musi przypuszczać, że nie zostanie oszukany, że procent będzie mu wypłacany regularnie, a kapitał, zwrócony po pewnym czasie, inaczéj z pewnością nie narażałby się na utratę swéj własności i wolałby nie rozstawać się z kapitałem, zadawalniając się mniejszym dochodem, a nawet rezygnując z niego zupełnie. To téż wypożyczający opiéra zwykle swe zaufanie na podstawach pewnych lub na takich, które za pewne uważa; podstawami temi są osoba i majątek zaciągającego pożyczkę, czyli moralna i materyalna jego wartość.

Materyalna wartość człowieka łatwo daje się określić, zasadza się ona na posiadanym przez niego majątku; w Stanach Zjednoczonych weszło już w zwyczaj oceniać w potocznéj mowie ludzi na dolary; przy pomocy form prawnych wartość ta służy czasem za dostateczną podstawę do kredytu. Inaczéj bywa, gdy chodzi o moralną wartość człowieka, trudniéj jest ująć ją w ścisłą formułę, gdyż nie przez wszystkich jednakowo rozumianą bywa, a większość przypisuje wartości moralnéj zupełnie inne znaczenie, niż to, które posiada ona w rzeczywistości, gdy ma stać się jedną z podstaw kredytu.

Moralnością danéj jednostki, w najszerszém tego słowa znaczeniu, jest stopień umiejętności przystosowywania się jéj do warunków życia społecznego, bywa ona w znacznéj części odziedziczaną, tak jak i instynkt zachowawczy, który tém jest w życiu fizycznêm, czém zmysł moralny w życiu społeczném. Nie same jednak pierwiastki dziedziczności wchodzą w skład instynktu zachowawczego i zmysłu moralnego; gdyby tak było, nie ulegałyby one żadnym zmianom, a udoskonalenie gatunków nie mogłoby miéć miejsca. Wiadomo, że zewnętrzne wpływy, działając wciąż na człowieka, wywołują tém samém reakcye, przybiérające formę przystosowywania się do warunków fizycznych i społecznych. Każda generacya zbiéra nowy zapas owych reakcyi, aby go przekazać następnéj, a reakcye te, przybrawszy postać odruchów, składają owe zjawiska, mające na celu zachowanie gatunku, a które my dzielimy na dwie grupy — instynktu zachowawczego i zmysłu moralnego, zależnie od natury tych zjawisk.

Prawa społeczne równie są stałe i bezwzględne, jak i prawa fizyczne, a warunki społeczne nie mniejsze mają znaczenie od warunków klimatu lub higieny; im kto lepiéj rozumié zasadnicze cechy natury ludzkiéj, im dokładniéj zdaje sobie sprawę z budowy społecznéj, która się na nich opiéra, tém łatwiéj dostrzeże węzły, które łączą jednostki, z tém większą umiejętnością będzie się przystosowywał do warunków społecznych, czyli tém wyższą będzie moralna jego wartość. Znając mechanizm zjawisk społecznych i mogąc w pewnych granicach przewidziéć bieg wypadków, może on ochronić siebie i otoczenie swe od wielu cierpień, a im częściéj mu się to udaje, tém będzie lepszy. Wraz z podziałem zjawisk społecznych na grupy musi iść w parze podział umiejętności przystosowywania się do praw, rządzących temi zjawiskami, a wartość moralna przybiéra coraz bardziéj ograniczone rozmiary; w danym razie mamy do czynienia z umiejętnością przystosowania się do zjawiska ekonomicznego, zwanego kredytem, musimy więc szukać cnót ekonomicznych.

Z dwóch podstaw kredytu, wartości materyalnéj i moralnéj zaciągającego pożyczkę, druga zasługuje na większą uwagę i ważniejszą odgrywa rolę; jakkolwiek zaufanie do czyjegoś stanu majątkowego słusznie oddziaływa sprzyjająco na jego kredyt, będąc do pewnego stopnie gwarancyą wypłacalności, osoba jego niemniéj zawsze winna być brana pod uwagę, gdyż, jak uczy doświadczenie, sama pewność materyalna nigdy wystarczająca nie jest. Wiadomo, z jaką łatwością znaczne nawet fortuny topnieją z powodu niedbalstwa lub nieumiejętnego zarządu swych właścicieli, trafiają się téż równie często udane bankructwa, pozwalające wierzycielom odzyskać zaledwie małą część wypożyczonego kapitału, oraz najrozmaitsze odmiany kradzieży, w które obfituje pomysłowość niesumiennych dłużnikow. To téż moralna wartość zaciągającego pożyczkę przedstawia nierównie pewniejsze dla kredytu oparcie, aniżeli wszelkie hipoteki; wiadomo, że najtroskliwsza opieka prawa nie jest w stanie ustrzedz od strat, jakie mogą wyniknąć z nieumiejętnego posługiwania się kredytem, lub z nieuczciwych kombinacyi, którym tak często kredyt służy za pretekst.

Panuje powszechnie przekonanie, że zwykła uczciwość, czyli nieprzywłaszczanie sobie cudzéj własności wystarcza w zupełności, aby uczynić człowieka zdolnym i dostatecznie przygotowanym do umiejętnego zużytkowania powierzanych mu kapitałów. Błędne to zapatrywanie naraziło w ostatnich czasach kraj nasz na nieobliczone straty; zakréślając, niezbędnéj w kredycie moralnéj wartości dłużnika, tak ciasne granice, zapomniano, że aby dobrze rządzić, czy to swoim czy cudzym majątkiem, nie dość jest być uczciwym i miéć dobre chęci, lecz trzeba umiéć kierować kapitałem, trzeba znać warunki ekonomiczne swego społeczeństwa, oraz umiéć panować nad swemi wydatkami; w przeciwnym razie, pomimo najlepszych zamiarów zaciągającego pożyczkę, nikomu kredyt nie przyniesie korzyści, lecz sprowadzi dla jednostek i społeczeństw najzgubniejsze skutki, niszcząc bezpowrotnie bogactwa nagromadzone pracą i oszczędność poprzednich pokoleń.

Nie trudno przekonać się, że kredyt materyalny, tak zwany „rzeczowy", w gruncie rzeczy na tych samych co i kredyt osobisty opiéra się podstawach, należy tylko rozeznać składowe jego pierwiastki; pewność, jaką przedstawia dla wierzyciela majątek dłużnika, nigdy bezwzględną nie jest, sama ona wystarczającą być nie może; bogactwa, któremi rozporządza jakiś dziki władca afrykański, z pewnością nie zdołałyby skłonić bankierów europejskich do udzielenia mu pożyczki, pomimo, że bogactwa te mogą posiadać bardzo wysoką wartość zamienną. Na czém więc polega pewność kredytu czysto rzeczowego, jeżeli sam posiadany majątek nie jest w stanie wzbudzić potrzebnego zaufa-

nia? Zależy ona od warunków społecznych innéj kategoryi, niż te, któreśmy dotąd rozpatrywali, a kraje cywilizowane tak przywykły do nich oddawna, że jakkolwiek nie przestają się z niemi liczyć, nie zwracają jednak uwagi na ich obecność.

Pominąwszy wartość osobistą, spotykamy zaraz warunki „bezpieczeństwa prawnego”, posiadają one dla kredytu pierwszorzędne znaczenie. Na nic się nie przyda wierzycielowi do odzyskania swéj należności chociażby największy majątek dłużnika, jeżeli nie będzie miał środków do zużytkowania i wprowadzenia w życie praw, jakie posiada, jeżeli władze publiczne nie udzielą mu potrzebnéj opieki. Znajdujemy więc jako pierwiastki kredytu rzeczowego cały szereg nowych zjawisk ściśle z nim związanych, a są niemi instytucye i formy prawne, pomoc i energia władzy wykonawczéj, sprawiedliwość i bezstronność władzy sądowniczéj i t. d. Wymownym dowodem, że warunki te są niezbędne i niczém się zastąpić nie dają, jest brak kredytu i wysoka stopa procentowa w krajach, gdzie instytucye i władze publiczne nie wzbudzają dostatecznego zaufania i gdzie wierzyciel napotyka trudności przy dochodzeniu swoich praw. Kredyt państwowy także tam tylko swobodnie rozwijać się może, gdzie sfery rządzące posiadają zupełne zaufanie kapitalistów i gdzie finanse umiejętnie są kierowane. W kredycie publicznym najsilniejszym pierwiastkiem jest zaufanie do formy rządu i do wartości osobistéj ludzi stojących u jego steru, państwo zaciągające pożyczkę może zawiesić wypłaty, jak i osoba prywatna i nie być w stanie uczynić zadość przyjętym zobowiązaniom; w Grecyi mamy w téj chwili przykład podobnego stanu rzeczy, a i innym państwom Europy południowéj grozi bankructwo. Nowożytne państwa nie posiadają prawie wcale własnych dóbr, a dochody otrzymywane niegdyś z tego źródła są dziś nieznaczne, jedyną téż materyalną podstawą kredytu publicznego jest majątek obywateli; część ich dochodów pod postacią podatków bywa corocznie obracana na operacye długu publicznego. Otóż operacye te mogą być mniéj lub więcéj szczęśliwe, a zależą od uczciwości i umiejętności odnośnych urzędników; to téż wahania, jakim podlegają na giełdach kursa papiérów państwowych, bywają często dokładném odbiciem zmian, jakie zachodzą w zaufaniu kapitalistów do przedstawicieli danego państwa i do jego finansowego położenia. Zaufania jako pierwiastka kredytu nic nie jest w stanie zastąpić, wszelkie wysiłki czynione w tym kierunku musiały pozostać bez rezultatów; za dowód tego może służyć zupełna bezskuteczność trwającéj od wieków walki z lichwą, która pomimo przeróżnych sztucznych i legalnych przeszkód, nie przestaje się rozwijać w sprzyjających dla siebie warunkach.

Lichwą nazywamy branie odsetek mniéj lub więcéj przewyższających zwykłą stopę procentową danego kraju i danéj epoki, jest więc ona zbyt drogim kredytem, jest jego patologicznym objawem, rujnuje dłużnika i dlatego bywa potępianą przez kościół, prawodawstwo i opinię publiczną; pomimo to istnieje jednak ciągle i ani nagany władzy duchownéj, ani surowe kary władzy świeckiéj, nie zdołały jéj dotąd wytępić. Aby zrozumiéć ową zadziwiającą żywotność lichwy, należy zdać sobie sprawę z warunków, wśród których się rozwija i z przyczyn, którym winna swe istnienie.

Pomimo że pozornie lichwa wydaje się być anormalném zjawiskiem ekonomiczném, jest ona w istocie objawem naturalnym i koniecznym. Bywają ludzie szukający kredytu, czyli używalności cudzego kapitału, pomimo że nie posiadają zupełnie warunków wymaganych zwykle od zaciągającego pożyczkę i nie przedstawiają żadnéj moralnéj ani materyalnéj wartości. Łatwo zrozumiéć, że nie mogą oni znaléść kredytu na zwykłych normalnych warunkach u kapitalistów nie filantropów, żądających pewnéj lokacyi; udają się téż do takich, którzy, prowadząc więcéj ryzykowne operacye finansowe, zmuszeni są tém samém wymagać od swych kapitałów wyższéj stopy procentowéj. I ci jednak, jeżeli wypożyczają na wysoki lecz nie lichwiarski procent, zażądają od zaciągającego pożyczkę jakiéjś gwarancyi zwrotu, im mniéj będzie on przedstawiał szans wypłacalności, tém wyższe muszą być procenta, jakich od niego żądać będą, gdy zaś nikt rozsądny i uczciwy nie zgodzi się na powierzenie mu swego kapitału, zamiast poprzestać na tém, uda się on prawdopodnie do lichwiarzy, czyli kapitalistów nie uczciwych, którzy, chcąc sobie zapewnić prędki zwrot udzielonéj pożyczki, zażądają bardzo wysokiego procentu, a widząc, że zaciągający pożyczkę znajduje się na ich łasce i niełasce, nie będą przebiérać w środkach wyzysku. Na lichwę legalnéj rady być nie może, stopa procentowa zawsze i wszędzie podnosić się będzie automatycznie wraz z ryzykiem, na jakie kapitały będą narażane; walka z lichwą sięga czasów starożytnych, od Arystotelesa aż do Montesquieu filozofowie potępiali branie jakichkolwiek odsetek, nazywając je lichwą, gdyż, jak mówili, „piéniądz nie może miéć dzieci". Kościół podzielał to zapatrywanie aż do naszych czasów. Dziś nikt już nie wątpi w słuszność i sprawiedliwość brania odsetek od wypożyczonych piéniędzy, gdyż kapitał „może miéć dzieci"; nauka zamknęła lichwę w ciaśniejsze koło, przyznaje, że jestto plaga społeczna, pasożyt ekonomiczny, lecz radzi jéj nie dotykać środkami prawnemi. Dopóki ludzie, nie posiadający żadnych warunków i praw do kredytu będą go

poszukiwać, dopóty będą się znajdywać nieuczciwi kapitaliści gotowi do wyzysku; żadne też prawa przeciw lichwie nie są w stanie dodać zaufania uczciwemu kapitaliście i skłonić go do lokowania pieniędzy na zwykły procent u ludzi nie przedstawiających żadnéj podstawy do kredytu, doświadczenie zaś uczy, że prawa przeciw lichwie nie zmniejszają liczby ofiar, lecz utrudniając lichwiarzom ich operacye i narażając na ciężką odpowiedzialność sądową, wprost przeciwny wywierają skutek, gdyż powiększając ryzyko lichwiarzy skłaniają ich do środków ostrożności, które zwiększają koszta pożyczki ponoszone przez dłużnika. Dlatego współczesna nauka uznała legalne środki zaradcze przeciw lichwie za bezsilne i szkodliwe, gdyż nietylko nie osiągają zamierzonego celu, lecz zwracają się przeciw tym, którzy z nich korzystać mają.

Wiadomo każdemu, że istnieją ludzie nie umiejący się obchodzić z własnym swym majątkiem, którym brak wszelkich zasad etyki ekonomicznéj, a o których mówimy, że nie mają zmysłu administracyjnego; znają oni i pojmują tylko konsumpcyę nieprodukcyjną i nie dostrzegają związku, jaki zachodzi pomiędzy zjawiskami ekonomicznemi a losem jednostek, rodzin i społeczeństw. Pomimo to, ludzie tacy bywają często obdarzani wysokiemi przymiotami umysłu i serca i mogą oddawać bardzo cenne usługi na innych polach działalności społecznéj. Jedno pole ekonomiczne powinno im być zamknięte, gdyż nie posiadają potrzebnych c n ó t do ekonomicznego życia, narażają oni społeczeństwa swe na niepowetowane szkody, a rodziny spychają bezwiednie w otchłanie nędzy i upadku. Moralne ich rozwinięcie jest niezupełne, brak w umysłowéj ich budowie kilku najgłówniejszych filarów, a ułomność ta czyni ich niezdolnymi do przystosowania się do warunków życia i skazuje na zagładę, ilekroć są pozostawieni własnym siłom. Dla nich posiadanie majątku nie jest dobrodziejstwem, jego strata bywa zwykle kwestyą czasu, po niéj zaś następuje walka o byt codzienny, stokroć trudniejsza i straszniejsza dla tych, którzy nie przywykli do niéj od młodości.

W rękach takich ludzi kredyt staje się zabójczém narzędziem, które popycha do zguby i przyśpiesza ostateczny upadek. Nie umiejąc się liczyć z warunkami ekonomicznego bytu, z góry skazani są na zagładę, im szersze zaś bywa pole ich działania, tém większe robią oni szkody w bogactwie społeczném. Kredyt, podtrzymując i przedłużając sztucznie majątkowe ich istnienie kosztem łatwowiernych, zwiększa rozmiary ostatecznéj ruiny, a będąc prawie zawsze kredytem konsumcyi, nie zaś produkcyi, staje się dla społeczeństwa prze-

ciętą arteryą ekonomiczną, przez którą bogactwa krajowe upływają i giną bezpowrotnie.

III.

Wszystkie spostrzeżenia i uwagi co do natury i skutków kredytu prowadą do jednego i tego samego wniosku, mianowicie, że posiada on jedynie wartość względną, że sam przez się nie może być uważany ani za dodatnie, ani za ujemne zjawisko ekonomiczne, lecz zależy całkowicie od jednostki, która z niego ma korzystać; dlatego też dążenie do „bezwzględnego" rozpowszechniania kredytu należy uważać za jeden z bardziéj szkodliwych przesądów ekonomicznych. Nie odmawiamy kredytowi znaczenia i dodatniego wpływu, wiemy, że wiele przedsięwzięć, wymagających wielkich kapitałów, jedynie dzięki kredytowi mogło się pomyślnie rozwinąć, nikt jednak nie może obliczyć ujemnych jego skutków, nikt nie wié, ile złego nadużycia kredytu wyrządziły społeczeństwom, ile kapitału pochłonął kredyt konsumcyi. Złe strony kredytu pozostają ukryte dla powierzchownego badacza i ukazują się dopiéro przy dokładnéj analizie zjawisk ekonomicznych; błędnie przypisują mu cały wzrost bogactw, oraz rozwój przemysłu naszego wieku, inne czynniki zajmują pierwsze miejsca w szeregu przyczyn nowożytnego postępu ekonomicznego, są niemi wolność pracy, ulepszenia techniczne i środki komunikacyi; one to stworzyły owe „cuda przemysłu", za które niesłusznie kredyt zbiéra laury.

Jak są ludzie nie umiejący posługiwać się kredytem, tak téż bywają i społeczeństwa nie przygotowane na jego przyjęcie; niweczy on wtedy prace poprzednich pokoleń, sieje spustoszenie wokoło, a wysysając zewsząd siły żywotne, osłabia kraj ekonomicznie. Zwłaszcza dziennikarze przyczyniają się do rozszerzania wśród publiczności błędnych o kredycie pojęć; przywykli oni uważać go za zjawisko ekonomiczne bezwzględnéj wartości, słyszymy też bez ustanku nawoływania o kredyt pod rozmaitemi postaciami i dla rozmaitych kategoryi ludzi, bez względu na osobistą wartość jednostek, jak gdyby uczciwość i zdolności administracyjne były przywilejem téj lub owéj kasty tego lub owego rzemiosła. Jeżeli zaś nadużycie kredytu przybierze rozmiary klęski publiczéj, jak to ma miejsce w Niemczech i w Stanach Zjednoczonych, a miało miejsce u nas przed kilkoma laty, nikt nie przypisuje winy kredytowi, każdy szuka innych winowajców,

a zdarza się, że ludzie szukający lekarstwa na złe znajdują je w kredycie... Dopóki jednostki nie będą posiadały niezbędnych warunków do rozumnego używania powierzonych im kapitałów, dopóty społeczeństwa nie będą przygotowane do korzystania z kredytu; nie należy doń nawoływać, ani téż go sztucznie wytwarzać, nie ma on nic wspólnego z filantropią, gdy znajdzie właściwy grunt i silne podstawy moralne, rozwinie się bez obcéj pomocy i wtedy tylko dodatni jego wpływ może zajaśniéć w całéj pełni.

W. Domański.



RZECZPOSPOLITA BABIŃSKA.[1]

IV.

Gdy Jakób Pszonka umarł, nastąpiło w Babinie bezkrólewie, a właściwie bezburgrabie. Trwało ono blisko lat 13-cie, to jest od roku 1622 do końca 1634, zanim Adam, syn Jakóba, objął rządy w Babinie. Przez ten czas, jak widzimy z zapisek, sprawował rządy w Babinie Wacław Zamojski, marszałek babiński, zięć zmarłego Jakóba. Mamy z tych czasów tylko 15 zapisek, jedną z r. 1622, pięć z r. 1625, dwie z 1627 i siedm z r. 1629. Małe to co do ilości i jakości żniwo na lat przeszło dwanaście!

Aleksander Myszkowski, żonaty z Pszonkówną, a więc szwagier Zamojskiego, miał w swych dobrach tak wielkie dęby, „że jednym żołędziem trzy wieprze nakarmił”, a kiedy był w Niemczech, to pił u mnichów wino z tak wielkiéj beczki, że klucznik z kluczami w niéj utonął: kiedy dopito beczki, znaleziono tylko klucze i kości — za to opowiadanie dał mu szwagier dwa urzędy: ekonoma i piwniczego. Mikołaj Stradomski, drugi szwagier Zamojskiego, płynąc Wisłą na szkucie, wjechał w stado łososi tak, że ich kilkadziesiąt w szkutę wskoczyło; „dla lepszéj wiary” przysłał ich kilka swemu szwagrowi. Ks. Zamojski, dominikanin, „a synowiec mój” (dowód, że sam Wacław Zamojski Rejestr prowadził) był na bankiecie, na którym podano 70 sałat, „a każda inaksza”. Jan Wydżga, poseł na sejm walny war-

---

[1]) Patrz zeszyt majowy r. b., str. 290.

szawski, „będąc na ekspedycyi chocimskiej", miał kucharza, który złapał w locie turecką kulę działową, a cisnąwszy ją na obóz turecki trzy namioty obalił, — za co został „starszym nad cekauzem babińskim". Trzeci szwagier Zamojskiego, Oktawian Samborzecki, został miodowarem.

Ale największym facetusem okazał się ks. Jakób Piasecki, archidyakon lubelski, bo aż pięć naraz facecyi opowiadał. Najprzód, w Karyntyi ułowiono takiego pstrąga, że go zaledwo 12 wołów siecią wyciągnęło, a z jednego jego dzwona „całą beczkę nasolono". Na bankiecie u kardynała Burgiezego (Borghese) w Rzymie, widział jak popieczone gołębięta uciekły z misy „do gołębnika do maciorów, aby ich pokarmili". U tegoż kardynała jadł kołacz, który 500 piekarek piekło; tak był tłusty, że gdy go niesiono na stół 20 fasek masła z niego napłynęło, a w odrobinach na stole zostało „fik 5", a „rozenków" 10 kamieni. Wreszcie ks. archidyakon jadł w Styryi muszkatelki, które w ustach zmieniały się w cukier lodowaty, a w Wenecyi karczochy, z któremi spożył 20 fasek masła i dwa kamienie pieprzu i soli. Dzięki „Aktom babińskim" ks. archidyakon przedstawia się niezbyt ciekawie, gdyż wszystkie jego anegdoty obracają się w ciasném kółku żałroctwa. *Summus piscator*, kuchmistrz, wielki ortulian, kredencerz i kołacznik, oto 5 urzędów jakie otrzymał, choć byłby wystarczył mu jeden: smakosza lub żarłoka babińskiego, a właściwie, stosując się do idei rzeczpospolitéj: propagatora postów, lub umartwiacza ciała.

Jak widzimy, przez te lat 12-cie cicho było w Babinie, a odwiedzali go głównie zięciowie Pszonki i krewni Zamojskiego. Na pochwałę tych zięciów zapisać należy, iż prawdopodobnie żyli ze sobą w zgodzie, kiedy do siebie jeździli i w dobrym humorze czas ze sobą spędzali.

Tymczasem Adam Pszonka, syn Jakóba, uczył się w Wenecyi i Bononii. Skończywszy lat 24 powrócił do kraju i brał udział w elekcyi Władyslawa IV (1632), poczém niezadługo objął rządy w Babinie. Od r. 1634 „Rejestr urzędników" systematycznie już pod jego okiem jest prowadzony [1]).

---

[1]) Ponieważ Adam Pszonka miał siostry i ciotki, przeto dla p. Windakiewicza jestto już dostateczne, aby go oddać pod ich „wpływ wyłączny". Zapomina p. W., że Adam miał szwagrów i pedagogów. Ustawiczne obcowanie z kobiétami, twierdzi daléj pan W., zmiękczyło naturalnie i wydelikaciło jego nerwy. Biédny pan Adam został niewieściuchem i nerwowym. A przecież Niesiecki nazywa go mężem rycerskim, na wojnach przeciw Szwedom i Moskwie wsławionym. Jak zaś pił, jak bawił się po męsku, dowiemy się późniéj. Zanotujemy także, iż

Adam Pszonka zostawszy *iure successionis* burgrabią babińskim, czuł się w obowiązku od czasu do czasu podsycać humor Babińczyków własnemi opowiadaniami. Doszedł sposobu, jakim Archimedes popalił na morzu okręty—oto za pomocą soczewki z lodu, położywszy ją ku słońcu. Obiecywał też, że jak tylko Wenecya przeniesie się wraz z morzem do rzeczpospolitéj babińskiéj („jako już pewne nowiny tego"), zastosuje swój wynalazek, gdyby, uchowaj Boże, nieprzyjaciel z okrętami przypłynął. Za ten dowcip sam sobie nadał „za zgodą urzędników babińskich" urząd matematyka. A musiało być w tym dniu wesoło w Babinie, bo gospodarz do pomocy w częstowaniu gości zaprosił p. Marka Zwiartowskiego, który tak dokumentnie obowiązki swe spełniał, iż „*ante omnes* gospodarza i burgrabię babińskiego upoił". Innym razem opowiadał p. Adam, już wówczas chorąży chełmski, swoje wspomnienia z Bolonii, a między innemi, że widział w tém mieście skoczka, który wyskakiwał z trzeciego piętra, a „trzy razy koziołka na powietrzu wywróciwszy znowu tamże oknem wskakiwał". Chorążemu chełmskiemu dano trzeci urząd: referendarza, a „Wielebny w Panu Chrystusie ociec Stephan Przybilo", doktór świętéj teologii, ofiarował się skakać tak samo, byle mu za to rzeczpospolita 100,000 talentów dała. Zgodzono się, a tymczasem „Wielebnemu Ojcu konferowano urząd skoczka babińskiego".

Już za czasów Jakóba, tak i za czasów Adama najliczniéj obsadzone były urzędy łowczych, koniuszych, kuchmistrzów, ekonomów i t. d. Musiano wówczas zwłaszcza wiele polować w Babinie, gdyż anegdot o psach, a przedewszystkiém o chartach jest najwięcéj. Zgodnie z tradycyą bawiono się też i to nie na żarty kielichem. Humor rzeczpospolitéj, pomimo zmiany czasów i ludzi, był zawsze tego samego co poprzednio rodzaju. Na pochwałę babińczyków zapisać należy, iż otwarcie już nazywali się łgarzami. Nazwę tę często w aktach spotykamy. P. Paweł Unieszewski np. zdobywszy sobie urząd *contemplatora* babińskiego, podpisał się pod własną anegdotą, lecz dodał przez skromność: „ale pan Franciszek Wysocki, większy łgarz!"

Przypatrzmy się więc bliżéj temu łgarstwu, czy też, jak kto woli, temu humorowi.

Wojciech Myszkowski widział u Radziwiłłowéj, wojewodziny wileńskiéj, charcicę, która porodziła za jednym razem „troje charciąt, troje ogarząt i troje bardzo cudnych wyżląt". Został łowczym. Mi-

---

on pierwszy w rodzinie starał się o zaszczyty ziemskie: po Zamojskim został w roku 1646 chorążym chełmskim, a po 20 latach podkomorzym lubelskim.

kołaj Stogniew, porucznik chorągwi J. K. M., opowiadał, że biskup poznański Opaliński kazał drewka do komina malować, aby ogień był piękniejszy, a on, sam Stogniew, miał taką „klaczę”, która urodziwszy źrebię, gdy jéj zdechło, klęcząc nad niém płakała.

Ilością anegdot odznaczał się Jacek Konstanty z Michałowa Michałowski, starosta krzepicki, a w Babinie kuchmistrz, magister arsenału, karocier, szczwacz i kalwakator. Szczwał raz zająca, który miał ośm nóg; co cztery zmordował, to na drugich czterech biegł daléj. Inna jego anegdota potrąca o Talmud. Gdy Mesyasz nadejdzie, Żydzi będą mieli cztery potrawy: pierwszą z wołu szuroboru, który jest tak wielki, że jaskółka z jednego jego rogu na drugi rok leci, drugą z ryby lewiatana, która całą ziemię okrąża, a kiedy Pan Bóg igrając z nią po obiedzie, nie zachowuje ostrożności i ogonem jéj o ziemię trąci, następuje trzęsienie ziemi; trzecia potrawa będzie z kury stojącéj po kostki w Czerwoném morzu, gdzie jest tak głęboko, iż wrzucona siekiera leci na dno przez siedm tygodni, siedm dni i tyleż godzin; czwarta wreszcie potrawa będzie z czapli tak wielkiéj, że gdy raz jajo z gniazda wyrzuciła zatopiło ono siedm miast i wiele wsi [1]). Zwracamy uwagę, iż takie samo jajo mieliśmy już za czasów Jakóba Pszonki w opowiadaniu ks. Ziemianina. Nie wiadomo, kto podał do aktów wiadomość o kaczkach, które się rodzą z owoców spadających z drzew do morza, a szkoda, bo może to antenatki kaczki dziennikarskiéj. Jan z Michałowa Michałowski został jubilerem, bo widział w Dreznie dyamenty, które na każdy rok trzeciego urodzą. „Przy teiże kompany” Jakób z Poniatowa Poniatowski, podstarości lubelski, powiedział: „iż pewne awizy słyszał, że Niderlandzi usadzili się na to Wenecje osuszyc” [2]). Pan Celudziński widział, jak u Jędrzeja Potockiego (późniejszego kasztelana kamienieckiego) podczas nieurodzaju na owies („płacono tego roku korzec po 4 talary”), psy sałatą z octem i oliwą „y z kysłością”

---

[1]) Porównaj Achacego Kmity: „Talmud albo wiara żydowska“ (1610). Jest tam również wół Surobur „w Arabiey pustej, który z 1,000 gór na każdy dzień trawę zjada, a jaskółka mu od rogu do rogu leci 12 dni.“ Jest i czapla Soloch.

[2]) Prof. Tarnowski zapisuje nazwisko Poniatowskiego, jako „odpowiedź“ tym, którzy w wieku XVIII-ym powątpiewali o szlachectwie i starożytności rodziny Poniatowskich. Odpowiedź nie jest żadną odpowiedzią, bo Jakób Poniatowski był z innéj rodziny, pieczętował się nie Ciołkiem, lecz Junoszą (Niesiecki zapisuje go pod r. 1635). Zresztą odpowiedź wogóle zbyteczna, bo i o Ciołkach Poniatowskich pisał już sporo Niesiecki. Stanisława P., ojca króla, nazywano tylko ekonomczukiem, bo pochodził z biednéj rodziny, a nawet podejrzywano go że „przypytał“ się do Ciołków.

karmiono. Obiecano kanonizować tegoż pana Celuzińskiego za to, że on jastrzębia co utonął, położywszy między poduszki, do życia powrócił. W dwa lata późniéj przypomniano sobie o téj kanonizacyi, kiedy Celuziński znowu opowiadał, że ożywił karasie, które leżały na wozach już kilka tygodni „i nie piękny zapach już był od nich". Tego rodzaju anegdot o przywróceniu życia ptakom i zwierzętom znajduje się jeszcze więcéj w aktach babińskich.

Hieronim Lasocki, „szczególny kompan rzeczpospolitéj", widział na Pokuciu kiełbasę z dwudziestu kilku wieprzów nadzianą; właściciel, nie mogąc jéj spieniężyć na miejscu, do obozu niemieckiego „ten salssetan na targ posłał". „Octorobem" babińskim został Paweł Blinowski, który przedni ocet winny robił w ten sposób: warzył w nim stal aż „on oczet wyprze", późniéj gdy octu potrzebował, stal tę rozpalał, wkładał do zwykłéj wody i miał ocet gotowy. Po tym przepisie, nie obojętnym dla p. Ćwierciakiewiczowéj, występuje ks. Walenty Turobojski, oficyał lubelski, późniéj kanonik krakowski, z wielorybem, na którym zamek wielki zbudowany był z armatą; przyznano mu urząd architekta. Stanisław Wronowski, medyk babiński „z tey miary", że gorączkę leczył rzucaniem w rzekę „zwłaszcza koło Gromnic", a febrę wsadzeniem chorego do gorącego pieca. Szymon Stawski znał w Wielkopolsce księdza, zwanego Kłonicą, który wziąwszy za dyszel pół woza z parą kół kowanych, przecisnął go przez kościół, a konie żołnierskie wyganiał ze swych łąk przez płot je przerzucając. Poddany Pawła Słotowskiego wyorał raz żywego karasia na miejscu, gdzie był staw przed trzema laty. Wojciech Sierakowski opowiadał o pewnym zakonie na Węgrzech, w którym każdemu zakonnikowi dają „na porcyę" 12 garncy wina, „ale choćby najbardziéj prosił, chcąc więcéj wypić, tedy mu nie dadzą". „Spodobał się bardzo ten pobożny zakon rzczpospolitéj babińskiéj i życząc go tu mieć, czyni Jego Mości fundatorem tego zakonu."

Andrzéj Sokołowski miał w służbie moskwicina Olewę Obduła Pardiowicza, który zjadł na jeden raz po kolei: szczupaka łokiętnika (na łokieć długiego) surowego, siedm żywych piskorzów, kiełbasę surową, sztukę niemałą „potaszu" i żywą srokę; na lekarstwo zjadł kilka łyżek tabaki, a na pragnienie wypił kusz niemały ługu i wiadro słonéj wody na strawienie. Dominikan ks. Anatanazy Grodowski za młodszych lat swoich leżąc na boku „przeciskał talarem wieżę gnieźnieńską". Jerzy Uliński radził kaszlącym zjeść śledzia surowego, wypić pół garnca małmazyi, a potém wypocić się. U Piotra Szyszkowskiego, kasztelana wojnickiego, tak kaczki na jeziorach łowiono: naprzód dawano ponętę, potém ją w pęcherz grochu włożywszy pusz-

czano na wodę, poczém dopiéro osoba łysa wchodziła do wody „i kaczki miasto grochu łysego w głowę robiąc" wszystkie przez niego schwytane zostawały. Stanisław Krasowski dość szeroko opowiadał o tak wielkiéj beczce „w niemiecki ziemi za Rąnem", że wjechał szpontem do niéj w parokonnéj kolasie, poczém „chcąc więcéj kompanią swoją ucieszyć" kazał „rurami" miedzianemi wody do téj beczki napuścić i wszyscy się wykąpali: a było takich beczek w jednéj piwnicy 12-cie [1]).

15-go czerwca 1646 roku sporo gości zjechało się do Babina. Rejestr powiększył się o siedm zapisek, pomiędzy któremi trzy były rymowane. Janowi Piaseczyńskiemu, późniejszemu kasztelanowi chełmskiemu [2]), cztery pszczoły tyle miodu robiły w pasiece, że dziesięciu „drozników" nie zdołało miodu wynosić; więc p. Andrzéj Przerembski potwierdził istnienie tych pszczół i dodał, że jedna z nich czterem wilkom się obroniła. Ks. Ludwik Zagórski, kanonik chełmski, często skowronki wędą łowił, a w sąsiedztwie p. Fabiana Milewskiego była sosna nad stawem, z którój spadł niedźwiedź podbierający się do barci i upadkiem swym zabił 50 kop karpi. Stanisław Jełowicki opisywał wierszem tak wysoki budynek, że cieśla, pobijając jego dach „za obłoki zawadził bindasem stalowym", który wytrącony z jego rąk leciał na dół, ale nim doleciał do ziemi, już toporzysko zgniło. Drugim poetą z dnia tego był ks. Wojciech Brzeski, kanonik płocki. Był on tego zdania, że:

Nie wadzi czasem, zjachawszy z Lublina,
Co uciesznego przynieść do Babina,

— a więc opowiedział rymem powszechnie znaną anegdotę o Litwinie, któremu w drodze, gdy usnął, zjadły wilki konia; jeden z wilków wszedł między hołoble „pośród chomąta", więc gdy się Litwin ocknął, zaciął „wilczaka" i tak dojechał do wioski przez resztę wilków goniony. Trzeci wreszcie poeta nie podpisał się, ale taki wiersz na cześć Babina ułożył:

---

1) W „Perygrynacyi Dziadowskiéj", wyd. 1614, „Maciek z Chodawki, syn Kurpetowy", wszedł do beczki dziurą, czop wyjąwszy. Wogóle Maciek mógłby zostać najpierwszym senatorem w Babinie, bo sadził się na koncepty często lepsze od babińskich.

2) Piaszczyńskiemu temu, kiedy był w niewoli kozackiéj, zmarła żona, Poniatowska z domu. Piaseczyńscy wydobyli się silnie na wiérzch za Wazów. Archiwum ich rodzinne było przed kilkudziesięciu laty w Lipowcu — o czém redagowana przez J. Bartoszewicza „Kronika wiadomości krajowych i zagranicznych", 1857, N. 180.

Kto twe akta opisze zacnych Pszonków domie,
Może pierwszą koronę odnieść w Helikonie.
Twoja ludzkość, ochota i chęć niezwyczajna,
A komuż jest w tych krajach z twych przyjaciół tajna?
Lecz i obcym w tym domu tego się dostaje,
Że ją w sercu odnosi w swoje dalsze kraje.
Niechże da Bóg fortunę i pomyślne rzeczy,
Ciebie i dom twój mając na swéj świętéj pieczy.

W miesiąc potém znów było kilku gości w Babinie, bo aż siedm zapisek zostawili. Najwięcéj dowodził p. Jan Chrząstowski, który był „w poimaniu w Tatarzech" i z téj niewoli tatarskiéj wspomnienia opowiadał. Chodził w koszulach „pokrzywianych", z których każda dwa lata trwała. Pewien Tatar zdarł skórę z piersi jednéj białogłowy i dał ją pewnemu więźniowi na chodaki „z tą kondycyą", że gdy ją zedrze, będzie mógł do kraju powrócić. Chodaki jednak były tak mocne, że biédny więzień nie miał nadziei być wolnym; dopiéro go nauczono sekretu, który się nie da tu powtórzyć. I następne opowiadanie p. Chrząstowskiego ze względu na przyzwoitość opuścić potrzeba. Po raz pierwszy występują tu w aktach babińskich na większą skalę „sekreta białogłowskie", które w kilka lat późniéj dość już szeroko są opowiadane.

Stanisław Sikorski w nocy po ciemku lub przy świécy łojowéj, dowiadywał się z kompasów, która jest godzina. Franciszek Mniszek, kasztelan sądecki, widział pannę, którą gdy szpilkę połknęła, wsadzono na bardzo chromego konia, kazawszy jéj przedtém dużo chleba zjeść i piwa wypić; w ten sposób szpilka pannie nie szkodziła, a panu kasztelanowi dopomogła do zostania protomedykiem babińskim.

Nadeszły ciężkie dla kraju czasy. Umarł Władysław IV-ty, zanim go dobiegły wieści o wybuchu kozackim. Jan Kazimierz wziął po nim w spadku koronę, żonę i walkę z Chmielnickim. Po klęsce korsuńskiéj następuje sromota pilawiecka i obrona oblężonego Zbaraża. Nie były to chwile odpowiednie do żartów, nawet w Babinie. A więc przez cały rok 1648-my i 1649-ty nie rozbrzmiewa śmiéch w jego fantastycznie pomalowanéj sali, a przynajmniéj, jeżeli rozbrzmiewał, wstydzono się może pomnażać akta nowemi zapiskami.

W roku 1650-ym przenieśli Babińczycy swą stolicę do Giełczwi, drugiéj posiadłości Pszonki w Krasnostawskiém, o kilka mil na południe. Może być, iż ta Giełczew była pewniejszą w czasach wojennych, gdy kozackie oddziały posuwały się aż pod Lublin. Dość,

że fakt tych przenosin *„sub tempus luctuosae et feralis rebellionis ac incursionis Barbarorum”* mamy zanotowany w księdze aktów pod dniem 4-ym czerwca 1650-go roku. W tych najsmutniejszych czasach zapisaną została najpiękniejsza karta aktów babińskich. Jest nią wiersz Andrzeja Morsztyna, jednego z najzdolniejszych polskich rymotwórców. Dziś laury opadły nieco z wieńca jego poetyckiéj sławy, odkąd dowiedziono, że mało sam tworzył, a więcéj przyswajał z obcych poetów, a zwłaszcza z Marina [1]), ale w każdym razie pisarz ten, lubo mało oryginalny, dla saméj piękności swego języka i formy będzie zawsze zajmował wysokie stanowisko w literaturze. Jak dziś literatom, a zwłaszcza poetom podsuwają albumy, prosząc o autografy, tak Pszonka podsunął „Regestr” Morsztynowi. Grzeczny poeta chwyciwszy za pióro napisał:

Na wiersz Orpheów i na wdzięczne strony
Zbiegało ptastwo i zwierz zgromadzony,
Dzikie niedzwiedzie i przebiegłe liszki,
Ale w tym domu szklanki i kieliszki
Tańcują zaraz jako im zagrają,
I ścigają się chociaż nóg nie mają
I jako prędko zarzną w gęśle krzywe,
Szkło się pomyka jakby było żywe.
A to i do mnie skoczył kubek wina,
Za co zostałem poetą z Babina.
A że nie dosyć na jednym urzędzie
Za to. żem pilno chronił przy obiedzie
Kielicha, który stary jak te księgi,
Godzien pochwały, bo spory i tęgi,
Wielki burgrabia uczynił mnie szklarzem...

Do „szklarzem” był rym łatwy: „łgarzem”, ale nie chciał go użyć poeta, a więc dopisał prozą: „proszę, niech mi wolno będzie nie kończyć tey iedney cadenciey” — ale widocznie zaprotestowano silnie przeciw temu, bo dodał na marginesie, „kiedy się to nie zda, więc tak kończę” i dopisał:

A że w strych piję, zostaję strycharzem.

Andrzej z Raciborska Morsztyn,
stolnik sendomirski y deputat
woiewodztwa sendomirskiego mpp.

Pod całym tym ustępem napisał ktoś „Trzy przywileje!” — zapewne więc chciano Morsztynowi dać urzędy: szklarza, łgarza i strycha-

---

[1]) Mamy na myśli świéżo wydaną przez p. Edwarda Porębowicza pracę o Morsztynie.

rza. Nie natém koniec. Był jeszcze dnia tego w Babinie Jan Orzęcki, rejent kancelaryi trybunalskiéj, Ignacy Jan Kitnowski, deputat chełmski, i Franciszek Wysocki, cześnik sochaczowski. Więc p. Kitnowski napisał czterowiersz:

Nie dopisał Jego Mość cadentiej wiersza...
Nie dziw! bo się bał, aby jego pierwsza
Nie była notowana w Babinie ta zmaza,
Że gospodarza sklarza, siebie czynił łgarza.

Po nim zaprotestował ktoś przeciw nazwaniu Morsztyna łgarzem

Sam pan dobry, choć łzarzem go tu mianowano,
Pije dobrze, niesłusznie mu ten tytuł dano —

poczém znowu p. Kitnowski drugi następujący czterowiersz wpisał do R e j e s t r u:

Słyszałem ja to dawno o sławnym Babinie,
Ktoby chciał być w tych księgach, kielich go nie minie,
Kielich który wypiwszy, głowa w koło chodzi
Ochota w sławę idzie, wina zbytek szkodzi —

i dodał: „dziś dosyć, jutro ostatek!”

Ochota była wielka, musiano pić *honeste*, bo zaraz z następujących zapisek dowiadujemy się, że poważny rejent kancelaryi trybunalskiéj, p. Jan Orzęcki, po pólkach tańcował, za co został pułkownikiem, p. Cześnik sochaczewski w stodole na słomie *vertebat capros*, koziołki wywracał, a deputat chełmski po zachodzie słońca „pod kompasem siedział i godzina która miała być upatrował”, za co został matematykiem. Zapisano też ku wiecznéj pamięci „wielką ochotę znacznych gości, a najwyższych Trybunału koronnego sędziów”, a gospodarz, „uniżenie czołem bijąc, konferował Morsztynowi strycharstwo babińskie, iż Jegomość już po części sfatygowanym będąc, strychem sobie kazał naléwać i dobrze strychował”.

Każdy wybitniejszy poeta ma zwykle naśladowców, a przynajmniéj zachęca innych do rymowania,— skąd też po bytności Morsztyna w Giełczwi i powrocie Pszonki do Babina przez pewien czas R e j e s t r gęsto rymami był wypełniany.

Pierwszym rymotwórcą z kolei był Jerzy z Tęczyna Ossoliński, starosta lubelski, obecny na chrzcinach w Babinie 29 stycznia 1651 r. Był to może jego wiersz pierwszy i ostatni zarazem, bo wkrótce potém król Jan Kazimierz stanął w Lublinie, zwołując pospolite ruszenie (20 kwietnia 1651 r.), a Ossoliński, przyłączywszy się do zbrojnych hufców, poszedł pod Beresteczko i padł na jego polach, „kiedy w oczach

króla z wielkiem sercem nacierał" (Rudawski i Niesiecki,—Helcel w księdze Pam. Michałowskiego mylnie nazywa go Adamem).

Aż nie miło po tém wspomnieniu zapisywać dowcip p. Łukasza Wysockiego, na tychże chrzcinach hucznym zapewne śmiéchem przyjęty. Ale trudno go opuścić, bo nie należy do najgorszych. P. Wysocki, będąc pod Gdańskiem, widział takiego puszkarza, który na wieży gdańskiéj spostrzegłszy komara, „wyrychtował" do niego działo tak, że „komarowi od postrzału obiedwie oczy wypadły, a sam komar żywo uleciał".

Późniéj znowu idą wiersze. Jest ich aż pięć, ale wszystkie bardzo słabe i niedowcipne.

W następnym roku, w roku nieszczęsnego Batowa, Jerzy Lemka, doktór medycyny [1]) i to, jak dowiadujemy się późniéj, doktór Jego królewskiéj Mości, wpisał do Rejestru następujące „axiomata" jakiegoś Włocha, nadwornego doktora króla „Franceska":

Quando sol est in leonis,
Non bibas vinum potentis
Comedebis cum agrestis
Et faemina nihil.

„*Item* tenże powiedzial, doktór Włoch, widząc dwóch młodych mnichów, prossacych jalmuzny od Jego Mosci Pana Lowczego koronnego, w te słowa: „*Ego istos monachos juuencos tanquam diabolos odi quando veniunt ad meum vxor*". *Cui dixit* Jego Mosc Pan Lowczy koronny: „*Domine Doctor tuum vxor est vetus*". On odpowiedział: „*Vetus gunta facillius concipit ignem, quam noua*". Za co rzeczpospolita Babińska Jego Mosci Panu Lemce, doctorowi Iego Krolewskiej Mości conferuie referendarstwo babińskie".

Niepowściągliwość języka doktora Lemki udzieliła się i p. Janowi Orzęckiemu, który, wracając prosto z nabożeństwa i zapisawszy się w kościele do bractwa, widocznie „w kontemplacyi po nabożeństwie" prowadził téj kwestyi rozmowę z jakimś doktorem teologii, iż gdyby nie była do Regestru wpisaną po łacinie, aktów babińskich ówczesna płeć piękna odczytywać by nie mogła.

Znowu wiersze i znowu rzeczpospolita przenosi się do Giełczwi w drugiéj połowie 1652 r., a to z powodu panującéj zarazy.

---

[1]) Prof. Tarnowski zapisuje to „literackie imię", gdyż Jerzy Lemka był autorem książki „Traktacik i dyskurs o Rzpltej". Siarczyński jednak odróżnia dwóch Jerzych: prawnika i lekarza, z których pierwszy naturalnie był autorem „Traktaciku".

W czasie między 29 września 1652, a 14 czerwca 1654 roku wpisano tylko trzy utwory rymowane, a właściwie dwa, gdyż jeden z wierszy polskich przetłómaczono na łacinę. Może być, że w tym czasie burgrabia babiński był, według wyrażenia Kochanowskiego, „przypasany do miecza". Wiersz w dwóch językach podany stanowczo zamknął akta babińskie przed ciekawością białogłowską. Odtąd już nie jedna tylko p. Komorowska, ta, co to „nie wytrwała", aby nie miała widzieć ksiąg babińskich, musiała zostać „pacyentką babińską.

Z roku 1654, w którym znów rzeczpospolita we właściwéj obradowała stolicy, jest kilka zapisek. P. Hermolaus Tyrawski opowiadał, w jaki sposób Krzysztof Stadnicki wyleczył z herezyi żonę swoją, Niedrwicką z domu, a więc krewną Pszonków, bo założyciel Babina, Stanisław, był żonaty z Niedrwicką. Kazał bardzo wysoki sérnik wybudować, w którym séry suszono, bo je „jadał rad". Raz poprosił żony, aby poszła „na on sérnik i sér obrała jaki dobry". Gdy weszła i zamknęła drzwi za sobą, kazał słomy nakłaść około sérnika i zapalił ją na cztery węgły, przysiągłszy przez złożenie palców na krzyż, że żonę spali, jeżeli nie odrzeknie się błędów heretyckich. Ona, widząc, że to „nie żart", zgodziła się na żądanie męża, ale chcąc niewieścim zwyczajem mieć ostatnie słowo, powiedziała, że „sama miała tę wolę", że mąż ją tylko „uprzedził", że tedy nie z przymusu, ale ze swéj dobréj woli to uczyni". Mniéj energiczny, ale za to wcale dowcipny, był p. Zbigniew Wąsowicz, który oświadczył, że jeżeli się ożeni, a żona będzie chorowała, albo się gniéwała, tedy każe jéj zagrać i w taniec z nią pójdzie, a ozdrowieje. P. Hermolaus został apostołem, a p. Zbigniew medykiem.

Zajechał do Babina i rycerz zbarażski, p. Józef Nyrski. Ten raz zobaczył komara na dębie, lewą nogą się skrobiącego, zastrzelił go, a komar, spadając, wszystkie gałęzie na dębie otłukł. P. Nyrski skórą jego obił bryczkę, a uwędzoném z niego mięsem żywił się wraz z czeladzią podczas oblężenia. Aleksander Regulski taką receptę zapisywał na żołądek: „*Accipe* z paiąka sadła, z much oleiu, komorowego szpiku, szczupakowego swistu, młynskiego szumu, kowalskiego puku, dzwonowego głosu, wielkonocney radości, rakowey krwie. To pomieszawszy, zawiązać w chustki, osuszyć w cieple. Wziąwszy sklenice wenecką, samotrzec wilczem ogonem vtłucz, po tym w garnuszku woskowym zagrzac, zeby dobrze zawrzało. . Wypic to duszkiem. Potyw siecią zaiacą starą vwinawszy się, na polu polozyć y tak długo sie pocic, asz bedzie pot kolana lizał. Co iesli nie pomoze, iezli nie do nieba, pewnie do djabła poidzie".

Nadszedł nieszczęsny rok 1655, rok „potopu”. W aktach babińskich jest tylko jedna z tego roku zapiska pod dniem 27 czerwca.

W parę tygodni późniéj Karol Gustaw stanął w Szczecinie, Wittemberg za poradą zdrajcy Radziejowskiego rozpoczął rokowania z magnatami wielkopolskimi. Po zdradzie Opalińskiego i Grudzińskiego pod Ujściem, nastąpiła kiejdańska zdrada Janusza Radziwiłła. Za Litwą Mazowsze, za Mazowszem Małopolska poddała się Karolowi Gustawowi. W końcu września król szwedzki zajął Kazimierz pod Krakowem i zaczął zdobywać stolicę, bronioną przez Czarnieckiego. Kiedy się poddała na zaszczytnych bardzo warunkach, zebrana w Krakowie garstka posłów z województwa krakowskiego, sandomierskiego, kijowskiego, ruskiego, wołyńskiego, lubelskiego i bełskiego, aktem z dnia 21 października „szczerze i święcie” przyrzekła w imieniu tych województw odstąpić króla Jana Kazimierza, a pozostać „wierną i posłuszną J. Kr. Mości szwedzkiéj, jako prawemu swemu królowi”.

Na akcie tym znajdował się własnoręczny podpis Adama Pszonki, burgrabi babińskiego [1]). Dziwna rzecz, że na ten fakt nie zwrócił uwagi żaden z historyków Babina. Prawda, że wielbicielom humorystycznéj rzeczypospolitéj byłoby nieco trudno pogodzić ten fakt z jéj „doniosłém społecznem i cywilizacyjném znaczeniem”, z jéj „wpływem dodatnim na młodzież i na inteligencyę krajową”.

Na miesiąc przed podpisaniem tego aktu „wierności” widział zapewne Babin u siebie, a jeśli nie u siebie, to w sąsiedztwie, oddziały Chmielnickiego, we wrześniu bowiem zajął on Lublin przy pomocy moskiewskiéj, zniszczywszy go i zmusiwszy magistrat lubelski do wykonania przysięgi na wierność Moskwie.

Król wygnaniec siedział w Głogowie. Wśród nieszczęść zabłysło światełko od Jasnéj Góry, broniącéj się Wrzeszczowiczowi i Millerowi; Częstochowa podniosła serca, odżywiła nadzieję, przywołała szlachtę do opamiętania. Obudziło się jéj sumienie i dnia 29 grudnia zawiązała w Tyszowcach konfederacyę i „węzeł powszechny” *(vinculum universale)* tak wojska, jak i innych obywateli królestwa, dla obrony przed szwedzkim najazdem [2]).

Obudziło się, tak przynajmniéj przypuszczać należy, i sumienie Adama Pszonki. Przez dwa lata, 1656 i 1657, zawiesiła swe czynności rzeczpospolita Babińska. Snać burgrabia jéj przystąpił do „węzła

---

[1]) Rudawski.

[2]) Jeszcze przed konfederacyą tyszowiecką zebrała się w Sączu d. 21 Grudnia szlachta województwa krakowskiego i pierwsza uchwaliła zrzucić orężem jarzmo szwedzkie (Księga pam. Michałowskiego 782), ale rozgłos Tyszowca zakrył na kartach dziejów ten objaw dodatni.

powszechnego" i osobę swoją poświęcił rycerskim rozprawom, o czém bez podania daty wspomina Niesiecki.

W następującym roku 1658 raz tylko wpisano i to w jednym dniu dwa koncepty do księgi babińskiéj i to nie w Babinie, ale w Giełczwi. Rok 1659 znowu nie powiększył aktów ani o jedną zapiskę.

Dopiéro od października 1660 roku pomnaża się mniéj więcéj regularnie „Regestr" urzędników, ale już przyrost ich znacznie słabszy aż do końca rzeczpospolitéj w roku 1670. Przez te 10 lat przybyło wszystkiego 65 zapisek.

Konstanty Tomicki, ożeniwszy się z Agnieszką Myszkowską, siostrzenicą Adama Pszonki, dla pozyskania urzędów zdobył się na pięć bardzo niezabawnych dykteryjek. P. Brant, obersztar, idący do obozu pod Cudnów, wsławiony za chwilę zwycięstwem nad Moskwą, wymyślił dla swych ludzi młyn do mielenia krup, nie dający się przyzwoicie opisać. Ale nie wstrzymał się od opisu tego młyna i to wierszem p. Remian Kiełczewski, który zarazem zrymował dodatkowo uzupełnienie tego konceptu wyszłe od facetusa nad facetusami, p. Tomasza Zaporskiego.

W roku 1661-ym znowu czasowo przebywał Pszonka w Giełczwi, ale na krótko. Powróciwszy do Babina, zapisywał daléj koncepty swoich gości, ale prawie wszystkie powtarzały się. Snać pan burgrabia słabą miał pamięć, kiedy tego nie dostrzegał.

Z roku 1662 jest tylko wiersz rymujący anegdotę już poprzednio zapisaną.

W roku następnym króluje w Babinie znany nam Tomasz Zaporski, ciągle bowiem spotykamy się z jego nazwiskiem, nawet pod wierszami. Ale wesołość jego wciąż w jedném obraca się kółku; i dziś wprawdzie taka wesołość uchodzi w ściśle męskiém towarzystwie, i to przy kieliszku, ale jéj się nie zapisuje. Nie trzeba jednak sądzić, aby p. Zaporski był wyjątkiem. Tego rodzaju humor miał i p. Rzeczyński i p. Orzęcki i p. Jaślikowski, a późniéj nawet ks. Karol Waśniowski, archidyakon i oficyał lubelski.

P. Stefan Zamojski, siostrzeniec Pszonki, późniejszy kasztelan lwowski, opowiadał w r. 1661 bardzo niezgrabną dykteryjkę, którą w dwa lata późniéj wpisał do aktów wierszem téj saméj, co dykteryjka wartości. Ks. Piotr Dobielowicz nie tęgo téż ruszył konceptem, opowiadając, iż ma taką kapustę włoską, któréj na jednym głębiu jest głów czterdzieści tak wielkich, „jako misa największa być może".

Dziwnie odbija słabiuchny pod względem formy, a całkiem nieodpowiedni swą treścią w aktach babińskich, sześciowiersz Domicela

Czarnieckiego, zakonnika. Mówi on, że „korona już blisko do upadłéj goniła”, a Pan Bóg ją dźwignął przez dobrych obywateli, pomiędzy którymi Pszonkę uważa za „pierwszego”. Ta wzmianka o rzeczach poważnych dziwnie odbija, powtarzam, wśród błazeństw wszelkiego rodzaju, tém więcéj jeżeli sobie przypomnimy podpis Pszonki, pod aktem wierności Karolowi Gustawowi, ale jest potwierdzeniem, iż burgrabia babiński opamiętał się i nie pozostał głuchym na głos obowiązku, lecz stanął w szeregach za kraj walczących.

Raz p. Poniatowski uciekł z Babina, pozostawiwszy swoją małżonkę, a więc p. Szczęsny Szaniawski kazał p. Poniatowskiéj spełniać kielichy w miejsce męża; dekret ten rzeczpospolita akceptowała i rozszerzyła go na wszystkich małżonków, „którzy żon swoich odbiegają i kompanię wydają”.

409-ta zapiska stanowi „Comput Towarzystwa woyska Litewskiego nowego zaciągu, będącego na consistentiey w powiecie y starostwie Upickiem”. Koncept to nie babiński, spotykany dość często w licznych zbiorach noszących utartą nazwą: *Silva rerum*. I Babin zresztą do niego się nie przyznaje, tylko przyjmuje do ksiąg swoich. Jestto dosyć dowcipne zestawienie nazwisk litewskich. Naprzód idą zakończenia na *a*, a więc: Ometa, Szuksta, Pukszta, Puciata, Kluciata... Wereszczaka, Durniaka, Sołonina, Botwina, Szczuka, Sielawa, Podbipięta, Wścieklica, Widlica i t. d. Późniéj idą alfabetycznie nazwiska kończące się na *b*, *c*, *d* i t. d. aż do *z*. Prócz tego, podane są także w humorystyczném zestawieniu nazwiska miejscowości, jak np. Kwatery na wojsko: Rumszyszki, Purwiszki, Psikuszki, Dzikuszki, Kukuciszki, Sołtaniszki i t. d.

Czas już ukończyć przegląd „Aktów babińskich”. Wybraliśmy z nich prawie wszystko, co było dowcipniejszego, co odnosiło się do osobistości wybitnych w społeczeństwie, lub wreszcie co naiwnością swoją charakteryzowało dowcip babiński. Wypada teraz zastanowić się, jak na podstawie tych aktów wygląda rzeczpospolita, o ile uzasadnione są szumne pochwały udzielane jéj do dnia dzisiejszego przez niektórych badaczy i przez powtarzających paciérz za panią matką, czy wreszcie, pomijając wartość dowcipów Babina, można go uważać za ów salon towarzyski, który zgromadził w swych ścianach, jeżeli już nie całą polską inteligencyę, to przynajmiéj pewien jéj odłam i to znaczny.

(D. n.) *Kazimierz Bartoszewicz.*

Co to jest solipsyzm?

Ks. Władysław Michał Dębicki. „Wielkie bankructwo umysłowe, rzecz o nowoczesnym skrajnym sceptycyzmie naukowo-filozoficznym". Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1895, str. 128.

Ostrzeżony tytułem dziełka, pospolity czytelnik mógłby mniemać, że w „Wielkiém bankructwie umysłowém" przedsięwziętą została raz jeszcze krucyata przeciwko odwiecznym wrogom wiary,—materyalistom i pozytywistom, przeciwko Moleschottom, Büchnerom, Darwinom, Comteom i Spencerom, którzy we wszechświecie, rozbitym na atomy, zatopili nieśmiertelnego ducha ludzkiego, materyalny pierwiastek istnienia, — tę podstawę wszelkiéj religijności. Atoli okazuje się, że wyprawa tym razem skierowana została w inną zupełnie stronę, że ks. Wł. M. Dębicki postanowił pokonać ten kierunek umiejętności nowożytnéj, który od Kartezyusza i Kanta do Milla i Helmholtza przyznawał rzeczywistość i pewność istnienia w pierwszym rzędzie i nawet bodaj czy nie jedynie monadzie duchowéj, — świadomości, jaźni ludzkiéj, na któréj podniesieniu i uświęceniu chrystyanizm ugruntował swe panowanie na ziemi. Cóż się to stało? skąd poszło cudackie to przemienienie? Jest ono nadzwyczajném, niesłychaném. Autor pokilkakroć wspomina w swéj książce o obłędzie, pomieszaniu zmysłów, szpitalu waryatów... Dla Boga! mogłożby to być? Bywa wszystko na świecie, bywa. Ks. Dębicki stanowczo, formalnie twierdzi, że spirytualiści i idealiści, broniący realnego bytu myśli, sprowadzający materyę do roli czegoś wobec ducha podrzędnego i niepewnego,—są „solipsystami", naiwnemi dziećmi, bezmyślnie powtarza-

jącemi oklepaną frazeologię", „wyrafinowanymi amatorami mistyfikacyi i drwin z publiczności", „urlopnikami z domu obłąkanych", uprawiającymi kantowską „figę nihilizmu poznania" (str. 98).

Straszne to, naprawdę wstrętne.

W sposób więcéj parlamentarny, ale za to z gruntu i we wszystkich swych częściach najzupełniéj nieprawdziwy, doszczętnie na fałsz powykręcany, autor tak się o tym solipsyzmie wyraża w inném miejscu: „Twierdzenie Berkeley'ów, Hume'ów, Kant'ów, Helmholtz'ów, Huxley'ów, Mill'ów, Taine'ów, zasadza się na tém, że wszystko w świecie jest wytworem méj jaźni, że po za moim umysłem nie istnieją ludzie, nie istnieją miasta, drzewa, rzeki, oceany i góry, że byt tego wszystkiego zależnym jest niewolniczo od bytu méj świadomości, że gdy wpadnę w omdlenie, albo sen głęboki, cały świat istniéć przestaje..." (str. 120). Niestety, nawet z cytat, które ks. Dębicki podaje w formie pokiereszowanéj, posiekanéj, pourywanéj, pomieszanéj na wzór jakiéjś sałaty panamskiéj, widać dość jeszcze dokładnie, że żadna podobna niedorzeczność nie postała i nie powstała w głowie ani Taine'a, ani Mill'a, ani Huxley'a, ani Helmholtz'a, ani Kant'a, ani Hume'a, ani Berkeley'a. Myśliciele ci utrzymywali tyle tylko, że „świadomość nasza sama jedna może być odpowiednim punktem wyjścia dla filozoficznego rozmyślania", że ona wyłącznie jest dla nas pewnością bezpośrednią, że wszystko inne dostaje się do niéj za pośrednictwem zmysłów, które mogą być złudne i wreszcie, że „gdyby nie istniała świadomość, nicbyśmy nie wiedzieli o świecie materyalnym" (str. 87). Rozrabiając i roztrząsając najogólniejszy postulat idealistów krańcowych, że „bez naszéj jaźni świat zewnętrzny nie istniałby wcale..." dla nas, oczywiście, ks. D. stale i uparcie odrzuca niezbędne to objaśnienie „dla nas" i zamiast jedynego a koniecznego tłómaczenia z Kantem, że *my* o świecie i jego rzeczach mamy tylko nasze pojęcia, nasze wyobrażenia i uczucia, że po za te fakta naszego umysłu przekroczyć nie możemy, że po za pojęciami ludzkiemi świat zewnętrzny, czyli rzeczywistość niezależna, rzecz sama w sobie, noumenon filozofów greckich, istnieje wprawdzie, ale jego istota zostaje dla nas zupełną tajemnicą (str. 50),— autor nasz nie waha się wmawiać w idealistów, że są solipsystami, że przypuszczają jedynie i wyłącznie istnienie jaźni, podmiotu myśli, — która jakoby sama stwarzała swój przedmiot, swoje otoczenie, swoją „możliwość wrażeń". Szykanując bez najmniejszego powodu idealistów, ks. D. narzuca im od siebie twierdzenia, którychby się czwartoklasista powstydził. „A więc, kiedy jechać, to już sanno — pisze. A więc przedemną nie było nic: nie było gwiazd i planet, nie było ani Greków ani Rzymian,

ani rewolucyi francuskiéj! Wszystko to czekało na moje narodziny, albo raczéj na pajęczą robotę mego umysłu, — wszystko to *ja* stworzyłem! Ja zbudowałem koleje żelazne, piramidy, katedry, pagody i meczety, ja jestem autorem Iliady, Eneidy, Boskiéj i Nieboskiéj komedyi; ja skomponowałem wszystkie opery Mozarta i Rossiniego, jam wyrzeźbił i wymalował wszystkie arcydzieła plastyczne, ja poczyniłem wszystkie bez wyjątku odkrycia naukowe!...” (str. 120).

Kalécząc i przerabiając w powyższy sposób autorów, wyprawiając na téj podstawie saturnalie niepodobne do zakwalifikowania, ks. Dębicki wymyśla solipsystom od szubrawców i lży ich za to, że w ostatnich czasach zaczęli wracać do Kanta; sam zaś nie stawia żadnéj teoryi, nie daje żadnego rozwiązania, na seryo doradza cofnąć się aż do scholastyki i filozofii św. Tomasza z Akwinu, wreszcie wspomina nawet o potrzebie zastosowania przy nawracaniu iluzyonistów „argumentacyi boćkowskiéj”, któréj jeżeli sam nie używa, to tylko dlatego, że się ona sprzeciwia „miłości bliźniego” (str. 105)... To powiedziawszy, a raczéj to uczyniwszy, autor woła w końcu, jakby na urągowisko, z rzeczy najświętszych: Bóg mi świadkiem, że „nie jestem oszczercą”, ponieważ jednak tak dużo nagadałem się o tym przedmiocie, przeto „mam prawo wymagać, aby me zdanie uważane było za prawdę rzetelną”... (str. 121).

Nie wiadomo już teraz, co o tém myśléć i z jakiego tu tonu mówić.

Większéj ujmy polskiemu słowu nikt chyba w piśmiennictwie naszém nie wyrządził dotąd. A jest ona tém głębszą, tém dotkliwszą, że pochodzi od osoby — o ile słyszéć się daje — ze wszech miar godnéj szacunku i sympatyi; uwłacza zaś kwestyi poważnéj, specyalnéj, ściśle naukowéj, z żadnego tytułu niczemu i nikomu nie włażącéj w drogę i nikogo —. zdawałoby się — nie zaczepiającéj. Cóż to komukolwiek szkodzi, że psychologowie-idealiści nie podzielają gminnych wyobrażeń o materyi, określając ją, według najzwięźlejszéj formuły J. S. Milla, jako „możliwość wrażeń”. Najpierw, nie trzeba przypuszczać, żeby pozorna bezbarwność téj definicyi, była w istocie ubogą. Gdyby kto w ekonomii politycznéj nazwał gotówkę lub nawet kapitał w ogólności możliwością dostarczania dóbr wszelkich, omówienie nie wydałoby się czczém lub złudném, zasobniéj przeto i pełniéj jeszcze wyglądać powinna materya, pojęta jako pewnego rodzaju dostawca nieobjętego morza wrażeń ludzkich. Nadto, nie godzi się złorzeczyć umiejętnościom lub gniewać się na nie za to, że dają tyle tylko, ile dać są w stanie. W pomienionéj „możliwości” idealistycznéj ukrywa się istotnie wątpliwość pewna. Jeżeli światło słońca,

rumieniec róży, uśmiéch kochanki, pocałunek matki, są tylko pewnemi odmianami jednéj i téj saméj możliwości wrażeń, wrażenia zaś nasze, jak wszyscy wiemy, są ulotne, chwiejne, przemijające, to powstaje obawa, azali spirytualistyczna definicya materyi i jéj przejawów nieskończonych nie pogrąża wszechbytu w otchłań jakichś mar sennych, nie zdziéra z przyrody majestatu rzeczywistości wieczno-trwałéj? Może to być, ale jakaż na to rada, jeżeli tak jest i tak się dzieje w tajnikach ziemskiego naszego istnienia?

Zresztą, po co tu wykręty lub połajanki, skoro można samemu dokładniéj w materyi się rozejrzéć. Oto przed nami książka ks. Dębickiego *in natura*. Składa się ona z papiéru, który możeśmy widzieli jak się robi i ze znaczków na nim odciśniętych w sposób, który niekiedy słyszéć się daje nawet z ulicy; znaczki owe powstały z masy czarnéj, posiadającéj specyalny, dobrze każdemu znany zapach, a z pomocą pewnych metalicznych sześcianków niemile obracających się nam w palcach, ilekroć przy kaszcie drukarskiéj pozostajemy kilkanaście godzin zrzędu. Owóż, odbierzmy naszéj jaźni wiązkę tych doświadczeń zmysłowych, prostych i stokroć większą ilość doświadczeń pośrednich, odległych i złożonych, kojarzących się z tamtemi mniéj więcéj szczelnie, usuńmy całą tę bezdeń „możliwości wrażeń"— co pozostanie z książki? Nie pozostanie nic zgoła... Nic i dla nikogo? Ma się rozumiéć, że dla nikogo, jeżeli nikt żadnéj z tych możliwości nie doznał i nie doznawał. A jak się sprawa ma z drukowaną rozprawą ks. Dębickiego, tak samo téż dzieje się i z planetą naszą — lub z setkami planet, które ludzkość po tysiącach lat wśród przestworzy nieskończoności być może odkryje i wyśledzi: nie mając o nich i od nich, wprost lub pośrednio, najlżejszéj możliwości wrażeń, nie wiemy wcale, czy były, są lub będą kiedykolwiek. Co zaś do pytania o bezwzględném tych światów istnieniu lub nieistnieniu, jest ono dla nas i w danym wypadku dla wiedzy — pustém, bezcelowém, beztreściowém, nic zgoła nie mówiącém, nikogo nie obchodzącém. Zabawka to dla fantazyi, nie zaś temat dla rozpraw o wierze i jéj zaręczynach z wiedzą.

A właśnie z absolutnéj téj niemożności stawiania jakichkolwiek naukowych zagadnień co do materyi bezwzględnie dla nas niemożliwéj, ks. Dębicki zbudował cały system zarzutów i oskarżeń, brzmiących od początku do końca książki jak następuje: „Pan Kant nigdy nie oglądał mostu na Wiśle pod Warszawą, więc dowodzi, że mostu tego nie ma i nie było nigdy..." „Pan Mill raczył odwiedzić Rzym, więc wykazuje, że odwiedziny jego stworzyły wieczne miasto i stolicę apostolską"... I włożywszy sromotny ten ciężar na barki

idealizmu, sceptycyzmu, „solipsyzmu”, autor taki w ostatku wyrok feruje: „Racyonalizm prowadzi do najpotworniejszych, jakie tylko pomyśléć można niedorzeczności, zabija naukę, wystawia jéj pracowników na pośmiewisko, odstręcza od rozmyślań i badań, — słowem, rozum zjada i niweczy rozum, jest rozumu „całopaleniem” (str. 120).

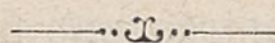
Co za szaleństwo! — zwłaszcza, gdy wygłoszone w stylu ujmującym, popularnym, dobroduszuym, a z najzupełniejszą wiarą w samego siebie i w głupotę ludzką. Głupotę tę autor wymierzył przytém ściśle i zawczasu. Na str. 10-éj „Wielkiego bankructwa” czytamy: „Ziemia, na któréj żyć nam wypadło, jest tylko ziarnkiem piasku w oceanie wszechświata, my zaś, ludzie, jesteśmy zaledwie pyłkami lub raczéj mikrobami przyczepionemi do tego ziarnka, a więc zakres naszego poznania musi być proporcyonalnym do zajmowanego przez nas stanowiska”... Śliczną jest, ani słowa, ta mikrobowa proporcya rozumu i wiedzy, zastrzeżona na rzecz przyszłości! Szkoda tylko, że sama podstawa wymiaru, ma charakter całkiem kacerski. W jednéj z nowelek starego Jana Pawła Rychtera, dbający o utrzymanie swéj powagi małżonek dosłownie niemal wykłada swéj połowicy owe zasady skruchy i pokory, jakie dziś słyszymy od ks. Dębickiego. — „Spójrz — powiada do niéj w noc pogodną i miesięczną — spójrz na te miryady światów: jakże wobec tych ogromów marną, lichą i maluczką jest ta nasza ludzkość!...” „Ależ, przepraszam cię — odpowié kobiéta z wiarą — nie tak znowu chyba lichą i marną, skoro dla niéj sam Bóg zstąpił na ziemię...”

Dobrzeby się to stało, gdyby w dalszych wydaniach „Wielkiego bankructwa umysłowego” autor rozważył nieco tę replikę niewieścią.

I. T. Hodi.



DROGI ŻELAZNE WĄZKOTOROWE.[1])



I.

Obiegający całą środkową i zachodnią Europę zwykły tor kolejowy szerokości 143.5 cm. przyjęty został na kontynencie za wzorem Anglii, gdzie tor ten wynoszący na miarę miejscową cztery stopy i $8^1/_2$ cali angielskich powstał w sposób ściśle zwyczajowy. W kraju słynnym zarówno z przemysłu i wynalazków, jak i zakorzenionéj tradycyi, od niepamiętnych czasów wszelkie wehikuły budowano na osiach pięciostopowéj długości z takiém rozstawieniem kół, że przestrzeń między wewnętrznemi brzegami obręczy wynosiła 4 stopy $8^1/_2$ cala. Kiedy w celu ułatwienia komunikacyi Anglicy powzięli pomysł zaopatrzenia dróg w szyny żelazne, po których przewóz mógłby odbywać się ze znaczném zaoszczędzeniem siły sprzężaju, — wówczas z konieczności, ażeby z szyn szeroki ogół mógł korzystać, należało zastosować szyny do powszechnie przyjętéj osi wozów i budowy kół. Z biegiem czasu zaczęto budować specyalne wozy do kursowania po szynach, używając i nadal koni do

[1]) Por. między innemi: Unruh, „Die Kleinbahnen"; Birk, „Über Schmal-Spurbahnen"; Ziffer, „Über die schmalspurigen steiermärkischen Landesbahnen", Verein deutscher Eisenbahn-Vervaltungen „Grundzüge für den Bau und die Betriebseinrichtungen der Localeisenbahnen"; Gleim, „Die Kleinbahnen" (Schmollers Jahrbuch, 1894); Martin, „Du régime des chemins de fer secondaires"; Zak. „O saskich drogach żelaznych wązkotorowych" (po rusku).

pociągu. Dzięki temu, powstał jednakowy w całym kraju tabor ruchomy, przedstawiający poważną wartość pieniężną. O porzuceniu tego taboru jako nieużytecznego, z chwilą, gdy wynaleziony został parowóz, w praktycznéj Anglii mowy być nie mogło, tém bardziéj, że zastosowanie pary do lokomocyi nie odrazu zyskało sobie ogólne zaufanie. Zresztą szerokość, o jakiéj mowa, nie przedstawiała szczególnych trudności dla konstrukcyi parowozu; przeciwnie, podobnie jak i dla wagonów okazala się najzupełniéj wystarczającą.

Więc pierwsze parowozy budowane były na osiach dawnych wymiarów; zaczém poszło, że szerokość toru 143.5 cm. ostatecznie ustaliła się, z Anglii przeszła na ląd stały; a i późniejsze znakomite udoskonalenia w budowie kolei żelaznych nie zdołały jéj zasadniczo zmodyfikować. Jednak sami Anglicy nie uważali bynajmniéj szerokości téj za konieczną i jedynie możliwą z punktu widzenia techniki kolejowéj i rozpoczęli próby stawiania kolei o szerszym i węższym torze. Do pierwszych zaliczyć można dawną „Great Eastern-Railway", mającą szerokości 213 cm., — długości 480 kilometrów, przebudowaną w r. 1892-im z fenomenalną szybkością, bo w trzy dni, kosztem miliona funtów szterlingów, na zwykło-torową. Do drugich, które tutaj, jak to z tytułu wnosić można, szczególniéj nas obchodzić mogą, należy przedewszystkiém zbudowana jeszcze w roku 1842-im w księstwie Walii, tak zwana kolej „Festiniog" o 61 centymetrowym torze. Mała ta kolejka, któréj tor zastosować należało do górzystego położenia miejscowości, ograniczając do *minimum* koszt robót ziemnych, przekopów i tuneli, słusznie uważaną jest za pierwowzór kolei wązkotorowych; świetne rezultaty, osiągnięte przy jéj budowie pod względem taniości i ułatwionego prowadzenia trasy, zwróciły na nią uwagę Europy. Około r. 1850-go przybywa kilka podobnych kolejek w Belgii, Szkocyi i Alzacyi. W r. 1860-ym Holandya idzie za przykładem sąsiadów z za kanału, a w kilka lat późniéj Szwecya i Bawarya przyjmują nowy system. Jednocześnie powstają koleje wązkotorowe za inicyatywą Anglików w Indyach wschodnich, Ameryce i Polinezyi, gdzie nowe linie dochodzą do znacznéj długości 400, 600, a nawet 800 kilometrów, i grają rolę wielkich arteryi komunikacyjnych, jak to ma miejsce np. z głośną koleją doliny Indusu.

W obecnéj chwili prawie wszystkie państwa europejskie posiadają w swych granicach koleje wązkotorowe, sprzyjają ich rozwojowi i w drodze prawodawczéj normują ich organizacyę. Oczywiście, nie wszędzie jednakowo kolejki te przyjęły się. W Belgii stosunek

ich do ogólnéj długości dróg żelaznych wynosi 16.4%, w Holandyi 14.3%, we Włoszech 14%, we Francyi 7.2%, w Niemczech tylko 3%. Najmniejszém uznaniem koleje wązkotorowe przez czas długi cieszyły się w Prusach. Ogromny napływ gotowizny do skarbu po wojnie francusko-pruskiéj, obracany po większéj części na roboty publiczne, sprawił, że wszystkie koleje żelazne, całkiem nawet podrzędne, budowane były przez państwo o torze zwykłym, bez względu na wielkie nakłady, jakie koleje te pociągały, stosunkowo do swéj użyteczności. System powyższy wprowadzony w życie i popierany za ministeryum Maybacha, traci obecnie zwolenników. Kraj, a zwłaszcza Prusy Wschodnie potrzebują, ze względu na swe stosunki ekonomiczne, tak znacznéj ilości nowych dróg żelaznych, że zbudowanie dróg tych o torze normalnym podjęte być nie może z powodów natury finansowéj. Niedawno wyznaczona w izbie deputowanych komisya przyszła do wniosku, że dla uzupełnienia dzisiejszéj sieci kolejowéj, zachodzi w Prusach potrzeba wybudowania 17,000 kilometrów nowych linii bocznych, na które, trzymając się zasady szerokiego toru, wydatkować-by należało $2^1/_2$ miliarda marek. Coraz więcéj przeto głosów odzywa się na korzyść budowy dróg wązkotorowych, a prawo z 28 lipca 1892 r. otwiéra szerokie w tym kierunku pole dla inicyatywy ze strony gmin i powiatów, oraz dla prywatnéj przedsiębiorczości.

Zwrot opinii w Prusach i przykład „Festiniog rail-way” maluje poniekąd doniosłość i znaczenie dróg wązkotorowych wobec dróg zwykłych. Znaczenie to polega na tém przedewszystkiém, że, dzięki taniości budowy, kolejki owe dostępne są dla miejscowości, nie mających ani odpowiednich warunków ekonomicznych, ani odpowiednich zasobów na to, ażeby liczyć mogły na przeprowadzenie specyalnéj dla swych potrzeb linii szerokotorowéj. Wprawdzie w dzisiejszéj polityce kolejowéj zaprzestano traktować koleje żelezne, jako przedsiębiorstwa, oparte na rachubie zysku, czyli możliwie wysokiego oprocentowania wyłożonego kapitału; koleje zaliczone są do urządzeń, mających na widoku dobro ogólne; a pożytek jaki dają lub dać mogą, ocenia się przedewszystkiém z punktu widzenia ich usług państwowo-społecznych. Nie mniéj jednak kwestya kosztu danéj linii w większości wypadków jest rzeczą decydującą o jéj budowie. Państwo może nie szczędzić środków przy stawianiu kolei, mających doniosłość szerszego charakteru, np. nakazanych przez względy strategiczne, lub wywołanych potrzebami handlu; może nie cofnąć się w podobnych razach przed znacznym nakładem, chociażby o pieniężnych rezultatach mowy być nie mo-

gło, bo zyski innego rodzaju nakłady pokryją. Lecz po za temi wyjątkowemi pobudkami, na których nieliczne zaledwie miejscowości wygrać mogą, przy zamiarze budowy kolei w zwykłych warunkach, pierwszym punktem do rozwagi jest stosunek kosztu budowy do ruchu, jaki na danéj kolei spodziéwanym być może.

Ruch nie może być znaczny tam, gdzie jest on wyłącznie miejscowy. Dlatego system kolei wązkotorowych ma zastosowanie głównie na liniach, przeznaczonych do zaspokojenia potrzeb ruchu miejscowego. Dlatego téż drogi tak zwane dojazdowe, t. j. łączące pewne punkty ze stacyami większych kolei żelaznych są dziś budowane przeważnie o torze wązkim. Drogi te mają charakter czysto lokalny. Wiadomo, że wielkie linie, dążące do zaprowadzenia szybkiéj, taniéj i dogodnéj komunikacyi między dalekiemi krańcami państwa lub miastami różnych krajów, biegną w kierunku możliwie prostym, omijając po drodze nietylko mniejsze, lecz częstokroć i większe środowiska pracy wytwórczéj, leżące w bok od linii. Wzdłuż wielkiéj kolei formuje się pas, na kilka mil szeroki, w którym odbywa się stale ciążenie pojedyńczych miejscowości ku najbliższéj stacyi kolejowéj, jako rynku większego zbytu. Kolejka wązkotorowa, przecinająca pas taki, w kierunku poprzecznym, wiąże owe opodal leżące punkty z siecią kolei żelaznych, tworząc niby mały dopływ do biegnącéj w bliskości wielkiéj arteryi komunikacyjnéj.

Wogóle koleje wązkotorowe mają za zadanie sprzyjać ekonomicznemu rozwojowi danéj miejscowości, zasilać jéj zasoby przez powoływanie do życia, dzięki taniéj komunikacyi, przedsiębiorstw nowych i ułatwienie egzystencyi przedsiębiorstwom istniejącym. Są one dźwignią przemysłu i czynnym sprzymierzeńcem handlu krajowego. Kolejki przychodzą również z doraźną pomocą rolnictwu, obniżając bowiem koszta transportu, podnoszą ceny ziemiopłodów na miejscu produkcyi. Te cele jednak wymagają od kolejek całkiem odrębnego stanowiska i współdziałania, w porównaniu z temi, do jakich przywykły wielkie drogi żelazne. Te ostatnie mają w ręku broń monopolu, która pozwala im zająć stanowisko wyczekujące: kto potrzebuje usług drogi żelaznéj, chcąc nie chcąc, musi zwrócić się do niéj, dostarczyć na stacyę ładunek i wykonać wszystko, czego od niego wymagają, albowiem transport końmi na dalekie odległości jest dzisiaj zawsze znacznie kosztowniejszy od transportu kolejowego.

Przeciwnie, w granicach odległości nieznacznych, jakie spotykamy na małych kolejkach, szczególniéj dojazdowych, konkuren-

cya z prostym furmanem, posiadającym wóz i parę koni, jest istotnie groźną i nakazuje przedsiębrać środki, któreby ją zwalczyć mogły. Chcąc wyjść z walki zwycięsko, kolejka, oprócz dogodności, jakie daje koléj żelazna wogóle, starać się powinna nadto o udogodnienia, które nastręcza przewóz końmi. A więc kolejka powinna przechodzić tak blisko miejsc produkcyi i podaży, ażeby ładunki mogły być zabierane wprost na wagony. Jeżeli bowiem każdy transport musi być uprzednio końmi dowieziony do stacyi, koszta dowozu i przeładowania mogą sprawić, że towary wysyłane będą końmi aż na miejsce zbytu, ewentualnie na najbliższą stacyę wielkiéj kolei żelaznéj, nie uciekając się w zupełności do usług kolejki wązkotorowéj. Że ruch towarowy na téj ostatniéj będzie wówczas zawodny, dowodzić nie trzeba. Podobnież dla zabezpieczenia ruchu osobowego, należy koleje dojazdowe kierować przez centrum zaludnionych miejscowości, wsi i osad. Względy te sprawiają, że w przeciwieństwie do zwykłych dróg żelaznych, drogi dojazdowe wiją się wężykowato wśród okolicy, nie pomijając najdrobniejszych ognisk działalności ludzkiéj, zaczepiając w jedném miejscu o podwórze fabryki, w inném o młyn, tartak lub cegielnię, zbaczając tu do wioski, choćby z kilku domostw złożonéj, owdzie do folwarku kilkuwłókowéj choćby posiadłości, przerzynając w jednym punkcie las, w innym kopalnie żwiru, kamieni lub marglu, zbliżając się co jakiś czas to do zarybionego jeziora lub stawu, to do ogrodu warzywnego lub sadu, słowem, wynajdując na własną rękę ładunek i pasażerów i ułatwiając potrzebującym korzystanie ze swych usług. Oczywiście, że w owych skrętach i zboczeniach jest pewna miara, że zbytnie przedłużanie linii powoduje straty na kosztach przewozu. W wielu przeto razach bardziéj oddalone punkty otrzymują połączenie za pomocą odnóg. W bogatych, ożywionych okolicach istnieją kolejki, usiane wprost bocznicami i formujące dzięki temu własną rozgałęzioną siatkę kolejową.

Wogóle udatnie obrany kierunek linii stanowi wiele o powodzeniu przedsiębiorstwa. Jest on również nie obojętny dla okolicznych mieszkańców, którzy na takiém lub inném przeprowadzeniu trasy poszczególnie tracić lub zyskiwać mogą. Prawo niemieckie o drogach żelaznych bocznych z 28 lipca 1892 r. zdaje się bardzo skutecznie zaradzać nierozwadze w téj mierze, lub rozmyślnemu szkodzeniu jednym, a uprzywilejowaniu innych jednostek. Stanowi ono, że plany budowy w ciągu dni 14-tu wywieszone być winny we właściwych gminach na widok publiczny. Każdy interesowany ma prawo przeciw projektom czynić zarzuty, które następnie przy

współdziałaniu oponenta, przedsiębiorcy oraz zaproszonych biegłych, w odpowiednich zarządach gminnych są roztrząsane.

Obok właściwości budowy drugim rysem wyróżniającym koleje wązkotorowe jest prostsza ich eksploatacya. Wiadomo, jaki ciężki, złożony i kosztowny mechanizm porusza administracyę wielkich dróg żelaznych, jak liczną służbę zatrudnia zarząd drogi, wiele czasu, kosztów i pracy pochłaniają czynności czysto biurowe, korespondencye, statystyki, sprawozdania, raporty i t. p. Tego wielkiego aparatu nie widzimy na kolejach wązkotorowych; zarząd ich odznacza się względną prostotą, mniejszym personelem osobowym, jest bardziéj ruchliwy, doraźny, mniéj ścisły, pedantyczny; różnorodne czynności powierzane na kolejach zwykłych oddzielnym urzędnikom lub nawet oddzielnym sekcyom, grupują się tutaj częstokroć w jednych rękach, służba drogowa i pociągowa ma odrębną organizacyę; rachunkowość i kontrola są oparte na innych podstawach.

Całość zbliża się raczéj do urządzeń, praktykowanych na pocztach lub w tramwajach, aniżeli do systemu administracyi kolejowéj.

Dwie te zasadnicze różnice: odrębna budowa i prostsza gospodarka wpływają na odmienne ukształtowanie strony finansowéj dróg wązkotorowych. Mamy tu do czynienia ze skromnemi budżetami, i w tym właśnie punkcie tkwi praktyczna doniosłość kolejek, jako czynnika rozwoju i ekonomicznego postępu okolic, pozbawionych dotychczas komunikacyi kolejowéj.

Jaśniejszy promień światła na cel, istotę i odrębność dróg wązkotorowych rzuci podana poniżéj garstka szczegółów i uwag o ich budowie, eksploatacyi i finansach.

II.

Koleje wązkotorowe budowane są o torze pojedyńczym, co wypływa poniekąd z idei dróg bocznych, jako przeznaczonych, dla ograniczonego ze swéj natury, ruchu miejscowego.

Szerokość toru bywa najrozmaitsza; nawet w granicach jednego państwa spotkać można różne wymiary. W Austryi np. na linii Lambach-Gmunden, szerokość toru wynosi 1.106 m., na linii Mödling-Hinterbrühl—1 m., kolejka węglowa Reschitza-Morawitza ma tor o 0.948 metra, zaś dwie styryjskie kolejki w okolicach Grazu: Preding-Wieselsdorf-Stainz i Pöltschach-Gonobitz — o 0.76 me-

tra. Takiż tor o 0.76 szerokości posiada zbudowana w r. 1879-ym w Bośnii dla celów mobilizacyjnych, najdłuższa w Europie, bo 268 kilometrów wynoszącą, linia Brod-Serajewo. Jednakową szerokość mają wszystkie saskie koleje wązkotorowe, a mianowicie 0.75 metra. Tor ten na równi z torem metrowym uprawniony jest wogóle w Niemczech, gdzie jednocześnie widzimy i inne szerokości: nad Renem np. znaną jest linia Bröhlthalbahn, o torze 0.785 metra, zbudowana jeszcze w r. 1862-im; w okolicach Eisenach Feldabahn o metrowym torze, a tu i owdzie i inne jeszcze szerokości: 0.88, 0.79 i t. p. We Francyi, Holandyi i Belgii najbardziéj rozpowszechniony jest tor metrowy; podobnież w Szwecyi i Norwegii. W Indyach i Australii przyjął się tor 60-centymetrowy, a w Ameryce istnieją nawet kolejki 25-centymetrowe.

Przy wyborze toru grają rolę względy natury technicznéj i ekonomicznéj. Te ostatnie przemawiają zazwyczaj za wązkim torem, albowiem wydatki na budowę i utrzymanie drogi stoją w stosunku prostym do szerokości toru. Granicę zaś w tym kierunku stanowi kwestya bezpieczeństwa ruchu i równowagi mającego przebiegać taboru ruchomego z pełnym ładunkiem. Otóż doświadczenie poucza, że, o ile szerokość 60-centymetrowa i mniejsza, nie daje dostatecznéj rękojmi na punkcie równowagi i przedstawia niemałe trudności przy konstrukcyi wagonów i parowozu, o tyle szerokość 0.75 lub 0.76 metrowa w zupełności odpowiada zadaniu. Wprawdzie znane są przykłady, że we Francyi kolejkami o 60 centm. torze przewożono pomyślnie na manewrach działa wojenne wagi 960 centnarów, lub w jednym wagonie po cztery konie artyleryjskie, jednak technika wyraża poważne powątpiewania co do bezpieczeństwa ruchu parowozowego na torze téj szerokości, a częste wypadki zdarzające się na podobnych kolejkach indyjskich, powątpiewania te całkowicie uzasadniają. Bezpieczeństwo jazdy zaczyna się dopiéro od 75 centymetrowéj szerokości toru, a ponieważ jestto wzgląd pierwszéj wagi, dominujący ponad kwestyą oszczędności, uznać tedy należy, że minimalna szerokość toru wynosić winna 0.75 metra.

Budowa wierzchnia na kolejkach wązkotorowych jest znakomicie uproszczona w porównaniu z tąż budową na kolejach zwykłych, a szerokość nasypu nie przenosi zwykle pół metra z każdéj strony, licząc od zewnętrznéj strony szyn. Nie wdając się w szczegóły budowy, zaznaczyć wypada jako przykład w kierunku uproszczeń, że, systemem inżyniera Hartwicha, na niektórych liniach szyny są kładzione wprost na warstwę żwiru, bez użycia podkładów. Szczególniéj ułatwioną jest budowa kolejki na szosie, lecz z drugiéj

strony, wytykanie trasy na uczęszczanych drogach pociąga za sobą inne, tak znaczne niedogodności, że osiągnięta w ten sposób oszczędność drogo w przyszłości może być okupiona.

Ponieważ jestto sprawa większéj doniosłości, należy się bliżéj nad nią zastanowić. Przedewszystkiém linia biegnąca po szosie jest bardziéj, niż jakakolwiek inna, narażona na szkodliwe następstwa konkurencyi z przewozem końmi. Szosa stanowi sama przez się wielkie udogodnienie komunikacyi i sprawia, że sprzężaj, mogąc podołać na szosie prawie dwa razy większemu ciężarowi, aniżeli na drodze zwykłéj, zarabia dwa razy więcéj, czyli przewóz szosą wypada prawie o połowę taniéj, niż na drodze nieszosowanéj. Nadto ładunek dowieziony wozem do szosy częstokroć po ciężkich, bocznych drogach, w pewnéj ilości wypadków, o ile mianowicie dalsza odległość nie stanie na przeszkodzie, i daléj idzie na wozie, unikając kosztów przeładowania i ambarasu, połączonego z oddaniem ładunku na kolej. Podobnież przejazd osobowy na szosie o tyle jest prędszy i tańszy, że współubieganie się o pasażerów dla kolei, przecinającéj te same co i szosa miejscowości, każe przewidywać również niemałe trudności. Powtóre, zniszczenie budowy wierzchniéj z powodu ruchu kołowego, bywa na szosie wedle obliczeń 16 razy większe, aniżeli to, jakie powoduje sam przebieg pociągów. Chcąc zapobiedz uszkodzeniu, wypadałoby dawać szyny trzy razy szersze, lub szyny wklęsłe: w pierwszym razie powiększa się niepomiernie koszt budowy, w drugim razie—koszt utrzymania linii, albowiem szyny wklęsłe wymagają ciągłego czyszczenia wgłębień z piasku, śniegu lub błota. Możnaby niedogodności te usunąć przez oddzielenie pewnéj części szosy na użytek wyłącznie kolejowy. Rzadko jednak pozwala na to szerokość szosy, zważywszy bowiem, że większość dróg bitych, nietylko u nas, lecz i na Zachodzie ma nie więcéj nad 6 do 8 metrów szerokości, z których na niezwirowane krawędzie odchodzi jeszcze 1 do 2 metrów, zaś szerokość gabarytu [1]) kolei wązkotorowéj wynosi przecięciowo $2^1/_2$ metra, obawiać się trzeba, że pozostała wolna część szosy okazać się może niewystarczającą dla potrzeb ruchu kołowego. Wreszcie i względy strategiczne zakazują zwężać szosy o jedną trzecią. Z tych pobudek koleje wązkotorowe, zbudowane na szosie, spotykamy przeważnie tam, gdzie inny kierunek linii jest niemożliwy, np. w miastach, lub w górzystych miejscowościach.

---

[1]) Gabaryt jestto wolna przestrzeń nad plantem drogi, konieczna dla swobodnego i bezpiecznego przebiegu wagonów.

Stacye, a raczéj przystanki na kolejach wązkotorowych, rozrzucone są zazwyczaj bardzo gęsto, w odległości paru zaledwie kilometrów jeden od drugiego. Nadto między stacyami urządzane są rampy ładunkowe i bocznice do zabiérania towarów, o ile możności z najbliższych punktów od miejsca produkcyi. Wszędzie widzieć się dają tylko najkonieczniejsze budynki i urządzenia stacyjne, zaś na stacyach węzłowych, gdzie kolej wązkotorowa łączy się z linią główną, budynki téj ostatniéj służą również i dla potrzeb kolejki.

Podobnież tabor nie obfituje w zbyteczny zasób wagonów i parowozów. Np. kolej styryjska Preding-Wieselsdorf-Stainz, mająca 11.5 kilom. długości, posiada: dwa parowozy z tendrami, dwa wagony osobowe *mixte* I i III klasy, dwa wagony saméj III klasy, dwa wagony służbowe (dla konduktorów, poczty i pakunków) i dwanaście wagonów towarowych, t. j. dwa pełne pociągi. Dzięki udoskonaleniu techniki, wązki tor nie przeszkadza bynajmniéj kursowaniu wagonów zwykłéj długości. Np. na saskich kolejach (0.75 ctm. szerokości) wagony osobowe są obliczone na 33 osoby każdy i mają długości po 8 metrów. Wagony towarowe bywają zazwyczaj mniejsze, a to ze względu na wygodę przy wysyłaniu i odbiorze ładunków; nośność ich nie przenosi 100-tu centnarów, długość 5-ciu metrów.

Budowa kolejki wązkotorowéj, przy sprzyjających okolicznościach, może być uskuteczniona w krótkim czasie. Wspomniana np. droga styryjska postawiona była przy współudziale 200 robotników w ciągu 120 dni roboczych.

Budowa powierzana bywa zwykle prywatnym przedsiębiercom, albowiem ciała składowe: gminy, miasta, powiaty lub kraj cały, od których wychodzi inicyatywa budowy i finansowe poparcie kolejki, nie nadają się bynajmniéj, jak o tém doświadczenie poucza, do kierownictwa budową, a to z dwóch mianowicie powodow; najpierw zarządy ich, jak wszystkie wielkie organy, grzeszą zbytnią powolnością i rutyną, ażeby drobiazgowe przedsiębiorstwo kolejki oszczędnie i szybko doskutku doprowadzić mogły, powtóre zaś, budowa sama stanowi dzisiaj pewną odrębną specyalność, niekoniecznie dostępną dla przeciętnéj miejskiéj lub powiatowéj inżynieryi. Podobno nawet technicy wielkich kolei nie dają rękojmi pomyślnego uskutecznienia przedsiębiorstwa, mając bowiem do czynienia z dużemi zasobami i hojną gospodarką wielkich kolei, zapominają z łatwością o wręcz przeciwnych potrzebach i wymogach kolejek wąskotorowych.

Dzięki temu, istnieją dziś w Europie wybitne firmy i towarzystwa, które za specyalność swoją obrały stawianie i eksploatacyę kolejek. W Niemczech około r. 1880 powstały: bogate towarzystwa akcyjne w Monachium, w Hanowerze, w Darmstadzie, oraz w wielu innych miastach państwa [1]. We Francyi głośnéj sławy używa przedsiębiorstwo inżyniera Decauville. Można nawet powiedzieć, że imię to ściśle zespolone jest z ideą rozpowszechnienia we Francyi i koloniach afrykańskich kolei wąskotorowych.

W r. 1875 zatrudniał Decauville w zakładach swoich w Petit Bourg pod Paryżem zaledwie 30 robotników. Niebawem jednak pomysły i wynalazki właściciela zjednały zakładom niepodzielną prawie renomę.

Na wystawie paryskiéj r. 1879 Decauville postawił koléjkę o podwójnym 60 centymetrowym torze, długości 3 kilometrów, która w przeciągu 6 miesięcy w 42,500 pociągach przewiozła 6,302,670 osób, przy szybkości przebiegu pociągów 30 kilometrów na godzinę; późniéj rząd francuski zaopatrywał się u Decauville'a w kolejki 60 centymetrowe dla Algieru i Tonkinu; Anglicy w podobneż kolejki dla Egiptu, Włosi—dla Abissynii. Do r. 1891 włącznie, firma wybudowała 9,100 kilometrów kolei, za które 8,450 zamawiających zapłaciło 79 mil. fr.

III.

Jeżeli budowa dróg wąskotorowych wymaga specyalnéj wiedzy i doświadczenia, podobnież i eksploatacya powinna być w rękach osób fachowo do tego uzdolnionych. Większość kolejek w Europie eksploatowana jest przez prywatnych przedsiębiorców; niektóre, zwłaszcza drogi dojazdowe, pozostają w dzierżawie łączących się z niemi linii głównych; tak np. wspomniane wyżéj obie koléjki styryjskie zadzierżawione są przez koléj południową.

Odrębne zjawisko przedstawiają koléjki saskie, będące, na równi z całą siécią dróg państwowych, w administracyi skarbowéj.

Na czele zarządu koléjki stoi zazwyczaj naczelnik eksploatacyi, obowiązki którego na koléjkach dojazdowych pełni niekiedy zawiadowca stacyi węzłowéj. Oprócz dozoru nad całym personelem na-

[1] „Münchener Localbahn-Actien-Gesellschaft", „Localbahn Bau und Betriebs-Gesellschaft Hostmann et C° in Hannover", „Eisenbahn-Consortium Darmstädter Bank" i inne.

czelnik prowadzi kasę i rachunkowość. Do pomocy ma przy sobie dozorcę drogowego, obznajmionego z utrzymaniem drogi pod względem technicznym, oraz jednego lub dwu urzędników do czynności biurowych. Służba parowozowa składa się z maszynistów i palaczy, którzy oprócz zwykłych swych obowiązków, dokonywają drobne reperacye, smarują osie i oświetlają wagony i sygnały pociągowe. Całą służbę w pociągu pełni konduktor: dogląda on zestawienia wagonów na stacyi, daje sygnały na odjazd lub postój, w pociągach osobowych sprzedaje bilety pasażerom, przyjmuje pakunki, waży je na wagach, umieszczonych w brankardzie, wydaje kwity, załatwia korespondencyę telefoniczną lub telegraficzną i t. p.

Ajenci stacyjni, w liczbie jednego lub kilku. w miarę ruchliwości stacyi, pełnią podobnież całą służbę miejscową, więc: nastawiają weksle, utrzymują w porządku budynki, ekspedyują towary, przyjmują opłaty, czuwają nad wodąciągiem, obsługują telegraf i t. d. Różnorodne funkcye zbiegają się tu w jednéj osobie, dlatego z punktu widzenia urządzeń wielkich dróg żelaznych, gdzie panuje najściślejszy podział zajęć, niejeden ajent koléjki wązkotorowéj wydaje się czémś w rodzaju niemieckiéj *Mädchen für alles*. Ową jednak różnostronną działalność ajenta umożliwiają wielorakie okoliczności, jako to: że ruch na kolejkach bywa względnie słaby, że szybkość pociągów nie przenosi 25 kilometrów na godzinę, że pociągi kursują zazwyczaj tylko dniem, że w wagonach osobowych są tylko dwie klasy; I-sza i II-ga, lub II-ga i III-cia, że nieznane są bilety powrotne, dziecinne i wojskowe, że przeciwnie istnieje tendencya powiększania biletów abonamentowych, że taryfy są możliwie proste, że wogóle, powtarzamy, koléjka przypomina więcéj pocztę lub tramwaj, aniżeli koléj żelazną *sensu stricto*.

Jest jedna okoliczność, utrudniająca poniekąd eksploatacyę dróg wązkotorowych, a jest nią konieczność przeładowywania towarów z wagonów szerokotorowych na wagony kolei wązkotorowéj. Był czas, kiedy nadzwyczaj przesadzano trudności połączone z przeładowaniem i uciekano się do pomocy tak zwanych transporterów t. j. wózków o szerokim dość pomoście, zaopatrzonych w relsy, na których umieszczano wagony szerokotorowe i z pełnym ładunkiem przewożono je daléj na wózkach koléjką wązkotorową.

Zwyczaj ten praktykowany był czas jakiś na kolejach saskich i belgijskich. Obecnie jednak transportery, wobec niedogodności, jakie za sobą pociągają, prawie wszędzie wyszły z użycia. Niedogodności są oczywiste. Kursowanie na wózkach wagonów zwykłej szerokości, wymaga przedewszystkiém zastosowania do kolejki zwy-

kłego gabarytu kolejowego, co w znacznym stopniu pochłania możliwe przy budowie oszczędności. Następnie, szeroki wagon, umieszczony na znacznie węższym wózku, nie daje pewności równowagi; wypadki z transporterami tém są możliwsze, że ciężar ładunku niezawsze jest równomiernie rozłożony na powierzchni wagonu. Wreszcie przewóz, w ten sposób urządzony, daje mniéj korzystny stosunek między użytecznym ciężarem transportu, a jego ciężarem *brutto*.

Weźmy np. przeciętną węglarkę, która waży sama 382 pudy (125 ctr.) i mieści 672 pudy (220 ctr.) węgla. Jeżeli postawimy ją na transporterze, ważącym *minimum* 122 pudy (40 ctr.), otrzymamy, że na 1,176 pudów (385 ctr.) wagi *brutto* przypadać będzie tylko 672 pudy (220 ctn.) ładunku. Ta sama ilość węgla, 672 pudy (220 ctn.), mieści się bez mała w dwóch wązkotorowych wagonikach, z których każdy waży nie więcéj jak 152 pudy (50 ctn.), czyli jeżeli 672 pudy (220 ctn.) węgla zechcemy przewieść w wagonach koléjki, pociąg obciążymy tylko ciężarem 976 pudów (320 ctn.). W pierwszym tedy razie stosunek ciężaru *netto* do ciężaru *brutto* wynosi 57%, w drugim 69%. Wobec tak znacznéj różnicy, taniéj wypada przeładowanie towarów, niżeli eksploatacya kolejki za pomocą transporterów. Wedle wiarogodnych danych koszt przeładowania nie jest tak wielki, jakby sądzić można, albowiem od 200 ctn. ładunku wynosi w Niemczech przecięciowo 1 m. 50 fen., we Francyi 1 fr., w Austryi 50 krajc. i t. p. Jeżeli nadto weźmiemy pod uwagę, że na stacyach węzłowych, niezależnie od różnicy toru, wypada część towarów przeładowywać, czy to w celu całkowitego zużytkowania miejsca w wagonach, czy téż z powodu różnych kierunków, jakiemi transporty daléj iść mają ustalić należy, że potrzeba przeładowania nie stanowi wogóle przeszkody w rozwoju kolei wązkotorowych. W tym sensie zapadła opinia międzynarodowego kongresu kolejowego w Paryżu w 1889, który orzekł również (pytanie XXVI), że najwłaściwszą manipulacyą jest bezpośrednie przeładowywanie towaru z wagonu do wagonu bez żadnych specyalnych po temu urządzeń, co najwyżéj przy podniesieniu nasypu drogi wązkotorowéj do takiéj wysokości, ażeby poziom wagonów jéj równał się mniéj więcéj poziomowi wagonów szerokotorowych.

Taryfy na kolejkach ukształtowane są zazwyczaj odrębnie od taryf na kolejach zwykłych. Przewodnią ich myślą jest samodzielność i prostota systemu opłat. Z téj racyi, z wyjątkiem niektórych linii, będących w tych samych rękach, co i linie główne, np. kolei saskich, eksploatowanych przez rząd, lub styryjskich, administrowa-

nych przez „Drogę południową“, na większości kolei wązkotorowych nieznaną jest komunikacya bezpośrednia. Odległości taryfowe na kolejkach pozostają zawsze wielkościami niezmiennemi i nie wchodzą w systemat taryf różniczkowych. Uwalniając zarząd koléjki od kłopotliwych rozrachunków z linią główną z powodu opłat, zasada komunikacyi miejscowéj sprzyja nadto samoistnemu rozwojowi taryf drogi wązkotorowéj, niezależnemu od opłat, istniejących na linii głównéj. Taryfy kolejki ustalać się muszą same przez się, stosownie do miejscowych warunków i ulegają od czasu do czasu zmianom, stosownie do potrzeb ruchu i kosztu przewozu. Punktem wyjścia przy okréśleniu opłat nowootwiéranéj kolejki jest jéj dążęnie do walki konkurencyjnéj z przewozem końmi. Opłaty muszą być wogóle niższe od cen, pobiéranych od furmanów, mogą być przytém niewiele niższe, jeżeli transport koleją nie przedstawia szczególnych niedogodności w porównaniu z przewozem końmi, jeżeli mianowicie koléjka zabiéra ładunek z samego miejsca produkcyi i dostarcza na samo miejsce zbytu, lub muszą być znacznie niższe, jeżeli jakiekolwiek niedogodności w tym względzie zachodzą. Podobnież taryfa pasażerska musi się liczyć z cenami furmanek, wyzyskując atoli okoliczność szybszéj jazdy koléjką, jako podstawę do nieznacznéj zniżki w opłatach. Przy oznaczeniu odległości taryfowych musi być nadto brana pod uwagę okoliczność, że kierunek linii koléjowéj z podanych powyżéj powodów, bywa zazwyczaj kręty, że wobec tego przestrzeń, jaką pociąg przebiega, nie stanowi możliwéj prostéj linii między stacyami wysłania i odbioru transportu. O ile istniejąca opodal droga jezdna idzie linią podobnież kręto, o tyle względy konkurencyjne specyalnéj ostrożności w normowaniu taryf nie nakazują. Jeżeli, przeciwnie, droga jezdna biegnie w kierunku znacznie prostszym, wówczas odpowiednią zniżką taryfy przeciwdziałać trzeba, ażeby różnica odległości nie wpłynęła ostatecznie na podrożenie przewozu kolejowego, w porównaniu z przewozem końmi. W tym celu za odległość taryfową na kolejkach wązkotorowych przyjmowany bywa zwykle nie rzeczywisty dystans między stacyami, lecz ta przestrzeń, jaką między danemi punktami ma do przebycia wóz z ciężarem.

Prostota taryf wymaga podziału ładunków na niewielką ilość kategoryi. Jak wiadomo, na zwykłych drogach żelaznych zbiory taryf są to księgi, z kilkuset stronic złożone, pełne szczegółów, wyjątków, dodatków i uzupełnień; dla profanów oryentowanie się w nich nader utrudnione, a i dla specyalistów niekiedy poważne wynikają wątpliwości co do stosowania danéj taryfy, a stąd i omył-

ki częste powstają przy pobiéraniu przez koleje opłat. Wręcz przeciwnie taryfy kolejek wązkotorowych powinny być zrozumiałe i dostępne dla każdego interesowauego, proste i nie wzbudzające żadnych kwestyi co do kosztu danego transportu. Zazwyczaj téż wszystkie ładunki na kolejkach dzielone są tylko na trzy grupy a mianowicie ładunki wysyłane: na sztuki, na wagony i na partye niekiedy podział ten ustępuje miejsca innemu: na fabrykaty, półfabrykaty i materyały surowe. Wspomniane kilkakrotnie kolejki styryjskie trzymają się np. pierwszego z tych podziałów (opłaty na nich od każdych 100 kilogramów i 1 kilometru wynoszą: w I-széj grupie 1 kr., w II-giéj — 0.6 kr., w III-ciéj — 0.4 kr.), zaś kolejki niemieckie przeważnie drugiego.

Opłaty pasażerskie również są proste, a ilość biletów, w celu ułatwienia zadania sprzedającemu je konduktorowi, zredukowana do możliwie małéj cyfry. Opłaty na kilometr w I-széj klasie lub II-giéj, o ile pierwszéj nie ma, nie przenoszą przeciętnie w Niemczech 6 fenigów, w Austryi 5 krajcarów; w następnéj zaś klasie—4 fenigów i 3 krajcarów.

IV.

Przechodząc do finansów dróg wązkotorowych, wypada uprzednio, nim jakiekolwiek postawione będą w tym względzie wnioski, przyjrzyć się kilku cyfrom, zaczerpniętym przeważnie z budżetów kolejek, o których powyżéj była mowa. Dane te, jak każdy materyał statystyczny, zyskują plastyczność przez porównanie z pokrewną im kategoryą cyfr, a mianowicie z danemi budżetów dróg szerokotorowych. Dlatego zamieszczony tutaj szkic miéć będzie charakter porównawczy.

Zaczynamy od kosztów budowy. W Niemczech kilometr drogi szerokotorowéj o podwójnym torze kosztuje do 200,000 marek, we Francyi zaś do 250,000 franków, o jednym zaś torze w Niemczech do 120,000 marek, we Francyi do 150,000 franków. Kilometr kolejki wązkotorowéj w Niemczech pociąga wydatek mniéj więcéj od 25,000 do 50,000 marek, we Francyi od 30,000 do 60,000 franków. A zatém w obu państwach kilometr kolejki kosztuje przecięciowo od trzech do pięciu razy taniéj, aniżeli kilometr kolei zwykłéj. Na pojedyńczych liniach różnica kosztów jest jeszcze znaczniejsza. W Saksonii, gdzie niektóre koleje z powodu górzystego położenia pochłonęły na kilometr do 250,000 marek, widzimy linię *Klotsche-*

Königsbrück długości 19.5 kil., przecinającą również teren falisty, któréj koszt wyniósł, licząc bez taboru, sumę 753,230 marek, czyli na kilometr 38,647. W Belgii, któréj koleje szerokotorowe nie były tańsze od francuskich, są kolejki, postawione kosztem zaledwie 14,700 franków kilometr. Decauville buduje kolejki przenośne dla celów rolniczych lub kopalnianych za cenę około 10,000 franków. Kilometr kolejek styryjskich kosztował: jednéj 23,600 flor., drugiéj 23,000, W Holandyi kolejka o jednometrowym torze z Breskens do Maldegehm kosztowała 34,440 franków, zaś kolejka o 0,75 m. torze tak zw. Gueldre 32,406 franków na kilometr. Wedle obliczeń w Niemczech dokonanych, różnica kosztów budowy kolejki o 1 i 0,75 metrowym torze przy jednakowych warunkach topograficznych wynosi od sześciu do siedmiu tysięcy marek na kilometr.

Stosunkowo do ryczałtowéj ceny kosztu o tyleż taniéj wypadają na kolejkach wązkotorowych i wszystkie składowe ich części. Nie chcąc utrudzać uwagi czytelnika zbytniemi szczegółami, zauważymy tylko, że kiedy parowóz kolei szerokotorowéj kosztuje do 70,000 marek, parowóz kolejki wązkotorowéj mieć można za 16,500 marek, cena zaś wagonów o tyle jest niższą, że za cenę jednego wagonu towarowego kolei szerokotorowéj nabyć można dwa lub trzy wagoniki wązkotorowe, podejmujące ciężar równy lub większy od tego, jaki nieść może ów wagon szerokotorowy. W kosztach budowy odgrywa pewną rolę darme ustąpienie potrzebnych dla kolejki gruntów przez właścicieli, którzy pragną ułatwić w ten sposób przeprowadzenie kolejki przez swoje posiadłości. W krajach, gdzie ceny ziemi są wysokie, wydatki na wywłaszczenie stanowią poważną rubrykę. Dość powiedziéć, że w Saksonii nabycie gruntów pochłonęło 10.52% kosztów dróg wązkotorowych. Wreszcie nieobojętną okolicznością jest oszczędność w budynkach. Na kolejkach saskich, uposażonych w budynki bardzo dostatnio, może nawet za dostatnio z punktu widzenia koniecznych potrzeb, koszt wszelkich stacyjnych urządzeń wynosił przecięciowo około 6,000 marek na kilometr.

Roczny dochód *brutto* niemieckich kolejek wązkotorowych określony jest na 3 do 4 tysięcy marek z kilometra. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że koleje zwykłe dały w Niemczech w r. 1891 dochodu po 31,712 marek z kilometra *brutto*, oczywistém będzie, że najbardziéj rozrzutna gospodarka kolejowa nie mogłaby zdecydować się na budowę kolei szerokotorowéj w miejscowości, gdzie dochód kolei wynosi na jednostkę długości zaledwie kilka tysięcy marek. Podobnież w Belgii na 45 kolejkach, mających ogólnéj długości 901 kilometrów, dochód nie przeniósł w r. 1891 *brutto* 4,000 franków, a w Ho-

landyi na 48 kolejkach długości 914 kilometrów w r. 1889—5,000 franków na kilometr. Przy układaniu budżetu dróg styryjskich dochód jednéj z nich obliczano na 2,000 florenów, drugiéj na 1.626 fl. z kilometru. Poważniejszy znacznie dochód daje kolej Festiniog, bo 29,000 franków z kilometra.

W przeciwieństwie do dróg zwykłych, drogi wązkotorowe większe dają dochody z przewozu pasażerów, aniżeli z przewozu towarów. Wpływa na to głównie kierunek i przeznaczenie tych linii na Zachodzie, gdzie kolejki łączą zazwyczaj zaludnione miejscowości, przecinają ulice miast lub osad, dowożą ludność roboczą do fabryk, kopalni i zakładów przemysłowych. Pewną jednak rolę gra tu i konkurencya przewozu końmi, która mniéj jest groźną dla ruchu osobowego, aniżeli dla ruchu towarowego. Dość, że kiedy na kolejach zwykłych w Niemczech dochód z towarów wynosi $^3/_4$, a dochód z osób $^1/_4$ część ogólnego dochodu, na kolejkach wązkotorowych na kilometr wypadało w r. 1891 z przewozu towarów 2,422 m., a z przewozu osób 2,802 m. rocznego wpływu. Różnica to mała jeszcze w porównaniu z danemi dla Belgii, gdzie zachodzi stosunek wprost odwrotny do tego, jaki ma miejsce na niemieckich kolejach szerokotorowych; w r. 1891 kolejki belgijskie dały dochodu z ruchu osobowego 2,800,000 franków, z towarowego zaś tylko 774,145 franków, czyli prawie $^1/_4$ część poprzedniéj cyfry. A jeszcze bardziéj rażący przykład przedstawia Holandya, któréj kolejki w r. 1889 miały z przewozu towarów 332,496, z przewozu osób 3,596,790 franków dochodu. Wobec faktu przeważającego na drogach wązkotorowych ruchu pasażerskiego, statystyk Plessner podjął pracę wyliczenia, w jakim stopniu ludność danéj miejscowości korzysta z usług kolejki i doszedł do wniosku, że w Niemczech w tych okolicach, gdzie zaludnienie wynosi 80 głów na kilometr kwadratowy, każdy mieszkaniec odbywa kolejką rocznie podróży: w miejscowościach rolniczych 8, rolniczo-przemysłowych 10, przemysłowych 12.

Mniemać by można, że, wobec prostszéj eksploatacyi, wydatki na drogach wązkotorowych nie pochłaniają tak znacznéj części dochodów *brutto*, jak to się dzieje na drogach zwykłych. Tymczasem w większości wypadków rzecz się ma przeciwnie: wydatki względnie do wpływów wynoszą na kolejkach albo tyleż, albo nawet niekiedy więcéj, aniżeli na kolejach szerokotorowych. W Niemczech np. w r. 1892 wydatki na kolejach skarbowych stanowiły 63.28% dochodu, na kolejkach zaś 73.64%. Takiéjże prawie cyfry, bo 73,45%, ta ostatnia pozycya dosięgła w Belgii. Oczywiście, że wiele tutaj zależy od oszczędności eksploatacyi, a jeszcze więcéj od wysokości docho-

dów danéj linii wogóle, wiadomo bowiem, że pewne wydatki istnieją zawsze, bez względu na mniejszy lub większy ruch przewozowy. Za przykład bardzo różnego w téj mierze wyniku eksploatacyi służyć mogą kolejki włoskie, na których wydatki różnoczasowo i na różnych liniach wynosiły od 53 do 205% dochodów, co znaczy, że gdy na jednych liniach osiągano na czysto prawie połowę dochodów, na innych dopłacać musiano drugie tyle, ile stanowił ich dochód *brutto*.

W tych warunkach dochód *netto* od przedsiębiorstwa dróg wązkotorowych nie może być znaczny. Na Zachodzie jest on z małemi wyjątkami nie wystarczający na oprocentowanie wyłożonego na budowę kapitału. Dość tu przytoczyć, że kolejki bawarskie w r. 1892 dały czystego zysku 2.7%, zaś kolejki saskie w r. 1885 w średniéj cyfrze — 2.43%. Nie można wszakże pominąć téj okoliczności, że małe zyski pochodzą w wielu razach z przyczyn natury miejscowéj: z małego ruchu przewozowego większości linii. Gdzie bowiem stosunki ekonomiczne zapowiadają bardziéj ożywiony ruch towarowy, tam w bogatych krajach zachodniéj i środkowéj Europy powstają linie szerokotorowe; kolejki zaś budowane są przeważnie w tych miejscowościach, których handel i przemysł nie przedstawia szans większego i szybkiego rozwoju. Zresztą skala zysków pojedyńczych linii bywa bardzo różna; obok linii, istniejących z dobremi rezultatami finansowemi, są inne bliskie prawie bankructwa. Niektóre w tym względzie dane z eksploatacyi kolejek saskich podajemy w następującéj tablicy, a choć zamieszczone tu cyfry nie odnoszą się do jednych lat, nie mniéj malują poniekąd stosunek ruchu przewozowego do czystego zysku na kolejkach:

	Pasażero-kilometrów w r. 1888 na 1 kil.	Tonno-kilometrów w r. 1889 na 1 kil.	Zysk czysty w r. 1885
Wilkau-Saupersdorf	91,180	44,326	5.2%
Radebeul-Radeburg	87,956	17,857	3.7%
Zittau-Markersdorf	85.960	17,483	2%
Oschatz-Döbeln / Mügeln-Trebsen	45,026	20,730	1.1%

Niewystarczające oprocentowanie dróg wązkotorowych spotykamy podobnież w Belgii, we Francyi, w Prusach i w Austryi. Oczywiście, że okoliczność tego rodzaju staje na przeszkodzie budowie dróg wyłącznie środkami prywatnych kapitalistów. Chcąc w podobnych warunkach przyciągnąć do przedsiębiorstwa kolejek odpowiednie kapitały, należy dać im rękojmię pewnego zysku niezależnie od dochodów eksploatacyjnych. Rękojmię tę w większości

krajów europejskich dają istotnie przedsiębiorstwom dróg wązkotorowych państwa, prowincye lub gminy. Jesteśmy w téj mierze świadkami bardzo szerokich gwarancyi i wielkiéj pochopności ku takowym ze strony organów władzy państwowéj i samorządu. Gotowość, z jaką rząd, gminy i miasta śpieszą na Zachodzie z poparciem dla kolejek, świadczy lepiéj od innych argumentów o wypróbowanéj doniosłości dróg bocznych dla ekonomicznego rozwoju kraju, oraz o głębokiém przeświadczeniu ogółu co do ich pożytku.

Istnieje ustalone przekonanie, że kolejka, choćby na razie nie dawała dostatecznych dochodów, z czasem wpłynąć może na powstanie nowych ognisk pracy wytwórczéj, na rozwój handlu, na podniesienie dobrobytu okolicy, a następstwa te wedle powszechnego mniemania są takiéj wagi, że zbiorowe jednostki, jak państwo i gminy, nawet ze znacznemi ofiarami ze swéj strony współdziałać im winny.

Rękojmie dochodu dawane są w sposób rozmaity. Przyjrzyjmy się niektórym z nich.

W Belgii na mocy prawa z r. 1884 budowa i eksploatacya dróg bocznych stanowi monopol Towarzystwa pod nazwą: „*Societé nationale de chemins de fer vicinaux*", mającego charakter półurzędowy. Towarzystwo wypuszcza obligacye, kupony których gwarantowane są przez roczne dopłaty, do jakich w odpowiednim stosunku zobowiązują się państwo, prowincye i gminy. Nadto wobec trzecich posiadaczy obligacyi państwo gwarantuje całkowitą wartość kuponów. Dzięki tym rękojmiom, Towarzystwo realizuje kapitał zakładowy dróg bocznych na warunkach bardzo dogodnych, mianowicie na 3.47% łącznie z amortyzacyą.

We Francyi gwaracyę dochodu do wysokości 5% przyjmuje na siebie w części skarb państwa, w części departament, na terytoryum którego linia ma być budowana. Z gwarancyi téj korzystają oddzielne towarzystwa, zawiązujące się do budowy i eksploatacyi poszczególnych linii; z ich liczby największém zaufaniem i wziętością cieszy się „*La compagnie des chemins de fer départamentaux*".

W Prusiech, prowincya Pomorze przyjmuje wprost na siebie $^1/_3$ część kapitału akcyjnego prywatnego przedsiębiorstwa z tém zastrzeżeniem, że 1) tyleż rozbiorą między siebie gminy zainteresowane w budowie kolejki; 2) że grunta pod budowę oddane będą przez właścicieli darmo i 3) że prowincya wpływać będzie na kierunek linii. Na tychże warunkach prowincya Brandeburg uczestniczy w kapitale akcyjnym do $^1/_4$ jego części. Poznańskie daje pre-

mie i dopłaty oddzielnym kolejkom z zapasowego funduszu prowincyi i z oszczędności na budowie szos.

W Austryi zazwyczaj miasta lub gminy biorą na siebie zapewnienie dochodu. Tak np. kolejka styryjska Preding-Wieselsdorf-Stainz korzysta z gwarancyi okręgu Stainz do wysokości 5,200 florenów rocznéj dopłaty, co znaczy, że o ile dochody eksploatacyjne nie starczą na oprocentowanie kapitału, niedobór pokrywa okrąg Stainz nie wyżéj wszakże sumy 5,200 fl. na rok.

Przytoczone powyżéj cyfry i nagromadzone szczegóły pozwalają na wyprowadzenie kilku następujących wniosków w przedmiocie finansów dróg wązkotorowych.

Z porównania kosztów budowy i dochodów większości dróg na Zachodzie wypływa, że dochód ich nie przenosi przeciętnie 10% *brutto* od wyłożonego kapitału. Jestto dochód za mały, ażeby przedsiębiorstwo budowy i eksploatacyi kolejek egzystować mogło samodzielnie, bez postronnéj pomocy. Chcąc określić, jaki dochód *brutto* starczyłby na oprocentowanie kapitału, należy mieć na uwadze, że wydatki eksploatacyjne pochłaniają $^{2}/_{3}$ lub nawet $^{3}/_{4}$, t. j. od 66 do 75% dochodów *brutto*. Przyjmując ten stosunek, zgodzić się trzeba, że czysty zysk w stosunku 5% możliwy jest do osiągnięcia jedynie wtedy, jeżeli dochód *brutto* wyniesie od 15 do 20% kosztów budowy.

V.

W cesarstwie Rosyjskiém sprawa dróg wązkotorowych znajduje się dopiéro w zawiązku. Wprawdzie prawodawstwo szybkiemi krokami podążyło ze wzrastającą potrzebą nowych dróg w rozległém państwie, pozbawioném dotychczas odpowiednich środków komunikacyjnych. Prawo z 14 kwietnia 1887 r. o drogach dojazdowych określiło ich cel i stosunek do głównych kolei żelaznych, podało procedurę uzyskania koncesyi, uregulowało kwestye gruntowe i wskazało główniejsze zasady eksploatacyi. Późniejsze zaś rozporządzenia ministeryum komunikacyi, a zwłaszcza przepisy z 30-go czerwca 1892 oznaczyły bliżéj techniczne warunki budowy i przedsiębiorstwa, wymagając między innemi, ażeby szerokość toru nie była w żadnym razie mniejszą od 60 centymetrów, zaś bieg pociągów nie był szybszy od 25 wiorst na godzinę, ażeby przy budowie zachowane były odpowiednie wymiary nasypu, a przy eksploatacyi zastosowane odpowiednie urządzenia przejazdów i sygnałów, ażeby

plany i projekty budowy były uprzednio przedstawiane do ministeryum.

Jednak w praktycznem wykonaniu kwestya dróg wązkotorowych postępuje naprzód ospale. Dopiéro w ostatnich czasach zauważyć się daje pewne w téj mierze ożywienie. W r. 1892-im powstały w Rosyi dwa akcyjne towarzystwa, mające na celu budowę i eksploatacyę dróg wązkotorowych; jedno pod nazwą „Pierwsze Towarzystwo dróg podjazdowych" z siedzibą w Petersburgu i kapitałem zakładowym 3,000,000, drugie „Towarzystwo Moskiewskie" z zarządem w Moskwie i kapitałem miliona rubli. Pierwsze z nich uzyskało niedawno pozwolenie na budowę drogi dojazdowéj o 75 centymetrowym torze od stacyi Święciany drogi żelaznéj petersko-warszawskiéj do miasteczka Głębokiego w gubernii Wileńskiéj; toż towarzystwo w liczbie wielu projektowanych linii zamierza przystąpić do budowy między innemi kolejek od stacyi drogi petersbursko-warszawskiéj Porzecza do miejsca kąpielowego Druskienniki, z Żytomierza do Berdyczowa, od stacyi Wałk drogi żelaznéj pskowsko-rygskiéj do Parnawy, oraz kilka kolejek na Podolu i Wołyniu dla użytku cukrowni. Koszt budowy tych linii obliczany jest na 10 do 15 tysięcy rubli na wiorstę. Jednocześnie towarzystwo drogi żelaznéj moskiewsko-jarosławskiéj wyjednało koncesyę na postawienie kolei wązkotorowéj od Wołogdy do Archangielska, długości 675 wiorst, mającéj stanowić przedłużenie istniejącéj już kolei również wązkotorowéj od Jarosławia do Wołogdy (192 wiorsty). Koszt budowy obliczony jest na 19 milionów rubli, t. j. około 28,000 rs. na wiorstę. Oprocentowanie i amortyzacya tego kapitału zagwarantowane zostały przez skarb państwa na okres czasu do 29 maja (10 czerwca) 1943 r.

Wedle krążących pogłosek, w portfelach ministeryum komunikacyi znajdują się plany i kosztorysy na budowę w różnych krańcach państwa kolejek ogólnéj długości blisko dziesięciu tysięcy wiorst. Zamierzone są również narady nad zmianami w przepisach o drogach dojazdowych w kierunku ułatwień budowy i poparcia prywatnych przedsiębiorstw

Wreszcie stanowczy krok w rozwoju kolejek nastąpi niechybnie, dzięki współdzianiu ze strony skarbu: w budżecie na rok bieżący przewidziany jest na cel powyższy wydatek dziesięciu milionów rubli, podobno zaś w niedalekiéj przyszłości pozycya ta ma być podniesiona do pięćdziesięciu milionów. W raporcie budżetowym p. minister finansów motywował budowę dróg dojazdowych konie-

cznością przyjścia z pomocą rolnictwu krajowemu, znajdującemu się dziś w położeniu prawdziwie krytyczném.

Królestwo Polskie nie posiada ani jednéj kolei wązkotorowéj ogólnego użytku. Nie ulega zaś wątpliwości, że istniejąca sieć kolejowa długości około 2,100 wiorst nie wystarcza potrzebom kraju. Że jestto cyfra istotnie mała w porównaniu z przestrzenią Królestwa, dowodzi zestawienie następujących danych. Na 100 kilometrów kwadratowych powierzchni wypada w Belgii 18 kilometrów kolei, w Luksemburgu — 17, w Wielkiéj Brytanii — 10, w Holandyi — 9, w Niemczech — 8, we Francyi — 7, w Austryi — 4: w Królestwie Polskiém zaś na takąż przestrzeń 100 kilometrów wypada zaledwie 2 kilometry kolei. Cyfra ta jest mała również w porównaniu z zaludnieniem Królestwa. Kiedy bowiem w Belgii na 100 kil. kw. wypada 20,800 mieszkańców, w Wielkiéj Brytanii — 12,400, w Niemczech — 9,200, we Francyi — 7,200, w Austryi—6,500, w Królestwie Polskiém wypada na 100 kil. kw. blisko 6,800 mieszkańców. Nadto istniejące drogi żelazne nie stanowią sieci, dość równomiernie rozrzuconéj po całym kraju; nowo postawione koleje o charakterze wyłącznie strategicznym zbiegły się w okolicach wielkich fortec i obozów: Brześcia, Iwangrodu i Ostrołęki. Wskutek tego istnieje znaczna ilość miejscowości w Królestwie pozbawionych dotychczas komunikacyi kolejowéj, a jednak ze względu na swoje warunki ekonomiczne lub zaludnienie zupełnie na nie zasługujących. Miejscowości te przy najszybszym nawet rozwoju narodowego bogactwa nie prędko uzyskać-by mogły własne linie szerokotorowe, które nie pociągałyby za sobą nadzwyczajnych ofiar i strat piéniężnych.

Przeciwnie, kolejki wązkotorowe dostępne być dla nich mogą niekiedy z pomyślnemi nawet horoskopami finansowemi na niedaleką przyszłość. Rzecz inna, czy kolejki te na razie dawaćby mogły wystarczające dochody na oprocentowanie kapitału zakładowego stosownie do istniejącéj u nas dość wysokiéj stopy procentowéj. Przykład zagranicy zmusza do wyrażenia w tym względzie poważnego powątpiewania i nakazuje pomyśléć w każdym pojedyńczym wypadku o zapewnieniu czystego zysku za pomocą rękojmi dochodu, na wzór praktykowany na Zachodzie. Bez gwarancyi ze strony państwa, miast lub gmin, lub choćby prywatnych osób albo instytucyi, byt przedsiębiorstwa kolejki byłby w większości wypadków problematyczny. Gdyby jednak kierunek linii obrany był udatnie, budowa dokonana sumiennie i tanio, a eksploatacya prowadzona umiejętnie, spodziéwać się można, że z czasem niejedna z kolejek

w Królestwie istniéć-by mogła o własnych siłach. Albowiem jest-to wynik pewny, że przy odpowiednich warunkach miejscowych, kolejki z biegiem czasu znakomicie oddziaływają na powiększenie ruchu przewozowego, oprócz bowiem wpływu, jaki w téj mierze wywierają wzrost zasobów krajowych i postęp pracy wytwórczéj, ułatwione dzięki dobréj komunikacyi, kolejki stają się poprostu coraz bardziéj niezbędne dla okolicznéj ludności; ludność ta, jak to również doświadczenie zagranicy poucza, przywyka do nich, zwalcza potrochu początkową swą niechęć i chętniéj ucieka się do ich pomocy, a w miarę tego słabnie niebezpieczeństwo, grożące kolejkom w postaci konkurencyi ze sprzężajem. Jeżeli nadto w bogatych krajach zachodniéj i środkowéj Europy współzawodnictwo kolejek z przewozem końmi utrudnia wielka ilość świetnie utrzymanych dróg bitych, u nas szosy stanowią wyjątek, a większość dróg jest zupełnie zaniedbana, wobec czego kolejki w rzędzie środków komunikacyjnych niebawem zająć mogą stanowisko uprzywilejowane.

Z tych względów misya ekonomiczna, jaka wypaść może na rolę kolejek wązkotorowych w Królestwie Polskiém, jest pierwszorzędnéj doniosłości. Tém bardziéj nie należałoby zwlekać z zapoczątkowaniem tak ważnéj dla kraju sprawy, nie szczędząc po temu starań i środków.

Stefan Holewiński.



CECHY W ŚWIETLE WOLNOŚCI PRACY.

Nowoczesne państwo, wkraczające powoli we wszystkie dziedziny życia społecznego, przygniatające swą potęgą i siłą najrozmaitsze objawy indywidualizmu, zagrażać się zdaje, największemu i najszczytniejszemu wytworowi nowoczesnej cywilizacyi, mianowicie—wolności pracy. Codziennie czytamy w dziennikach o tém lub innéin ograniczeniu produkcyi, niemal na pamięć umiemy prawa, jakie w dziedzinie pracy robotniczéj wydawane zostają, uważamy za integralną część katechizmu ekonomicznego prawa w obronie pracy kobiét i dzieci, przyzwyczajamy się nawet do myśli, że czas pracy robotniczéj wogóle zostanie ograniczony... Znane nam są doskonale przepisy, zezwalające na pracę w pewnych zakresach ludziom, odpowiadającym ściśle określonym warunkom wykształcenia, technicznych wiadomości, odpowiedniéj praktyki i t. p. A wobec tych wszystkich faktów, które uważamy za rzecz powszednią, pospolitą, za rzecz nie obrażającą naszych zasadniczych poglądów, nie unicestwiającą osiągniętych cywilizacyjnie zdobyczy, zapewne w przeważającéj większości wydalibyśmy okrzyk oburzenia, gdyby nam kazano powrócić do dawnych, średniowiecznych cechów. Gdyby nam dziś powiedziano, że buty sprzedawać może tylko szewc i to do cechu jedynie należący, gdyby nam dziś ogłoszono, że jeno u tych a owych majstrów możemy nabywać odzież, że płacić będziemy za bieliznę i rękawiczki np. taką a taką cenę, że po za granicami danego miasta pewnego rodzaju wyrobów kupować nie będzie nam wolno, że wywóz ich z danéj przestrzeni będzie wzbroniony i t. p., słowem, gdyby takiemi przepisami, w najwyższym stopniu krę-

pującemi nasze codzienne pragnienia, naszą najpierwotniejszą swobodę działania ograniczyć chciano, to niewątpliwie jednogłośnie zawołalibyśmy: to powrót do barbarzyństwa, to cofnięcie się o kilka wieków wstecz, to uniemożliwienie życia i osobistéj swobody, — a jest ta ostatnia tak czułą, że z nadczułością niemal graniczy, że jéj zadraśnięcie najwyższy wywołuje opór.

A te okrzyki zgrozy i oburzenia byłyby najzupełniéj zrozumiałe, bo ograniczenia, regulujące pracę z dzisiejszego stanowiska, dążące do jéj zorganizowania w duchu dzisiejszych pojęć, nie mogą miéć nic wspólnego z dawnemi ścieśnieniami, których źródło spoczywało na innych podstawach, polegało na odmiennych czynnikach, zawisło od zasad, które, zdaje się, bezpowrotnie minęły.

Lecz czyż dzisiejsze cechy, które w porównaniu z swoimi dawniejszymi a świetnymi poprzednikami, bardzo niewiele mają wspólnego, które z swojéj pięknéj a minionéj przeszłości uratować zdołały bardzo mało, istotnie są na zagładę skazane? Czyż nowoczesne państwo zmierzające do ujęcia pracy w pewne reguły,—lecz nie w duchu jéj zupełnego skrępowania i unicestwienia, — może dla tych swoich dążeń i celów znaléść w cechach skuteczną podporę? Oto pytania, które dziś na porządek dzienny weszły w całéj niemal Europie, oto kwestye, którym pragniemy poświęcić parę uwag.

Aby przygotować sobie grunt do wyświetlenia sprawy w sposób możliwie najzwięźlejszy, należy pokrótce nakréślić dzieje cechów na Zachodzie i u nas. A historya ich jest pod tym względem jednaką. Obcoplemienne żywioły, które się u nas rzemiosłami zajęły, które zaludniły nasze miasta i miasteczka,—sprawiły, że na polu, cechów jak i w wielu innych sferach, nasza historya zbiega się z historyą Europy zachodniéj.

Jak wiadomo, cechy powstały głównie nie w interesie rzemiosł i pracy wspólnéj; nie chęć udoskonalenia się w obranym zawodzie była powodem wzajemnego łączenia pracowników. Feudalizm ze swą organizacyą lenniczą powołał do życia w końcu X-go wieku, a właściwie w początkach XI-go stulecia, związki rzemieślnicze pod postacią cechów. Musiano się bronić przed panami, usiłowano téż we wspólnéj łączności szukać środków obrony dla własnego bezpieczeństwa. Tak zrozumiany instynkt samozachowawczy znalazł oparcie w innym czynniku, który przy tworzeniu się cechów przeważną może grał rolę. Panujący upatrywali dla siebie w tém powstaniu nowych, nieznanych dotąd jednostek, siłę polityczną, mogącą zrównoważyć potęgę panów lenniczych. Tron słusznie zupełnie przejrzał, że cechy, silne jednością, podniosą miasta, nadadzą im znaczenie, które pozwoli wytworzyć się klasie średniéj,—warstwie, co zdoła służyć za podstawę dla monarchii,

co umożliwi walkę z rozzuchwaloną potęgą zamków feudalnych i ich przedstawicieli. Cechy też wywalczyły sobie obszerne przywileje. Wydawanie specyalnych praw i przepisów, sądzenie sporów, pobór składek, utrzymywanie zarządów oddzielnych i t. p., wszystko to było udziałem cechów.

Aby ocenić doniosłość tych wszystkich przywilejów, należy sobie uprzytomnić, że podług pojęć ówczesnych, tylko arystokracya i duchowieństwo miały prawo do tak rozległego samorządu.

To też walczono z cechami zawzięcie, używano wszelkich środków, aby je pozbawić nadanych praw i przywilejów, rozpędzano je, wymierzano kary i t. p., a uciekano się nawet do najstraszliwszego w czasach średniowiecznych środka — do klątwy kościelnéj... Od XI-go do XIV-go wieku widzimy ślady téj ustawicznéj walki z cechami.

A ta walka wzajemna, to ustawiczne ściéranie się wrogich sobie potęg, musiały wywołać zespolenie się najściślejsze samych cechów. Naturalna to koléj rzeczy, że wszelka akcya, wymagająca oporu, musi wywiérać swój wpływ na ścisłą reorganizacyę tych, co bronić się pragną. Chyba nie będziemy dalecy od prawdy, jeśli powiemy, że przeważnie ta potrzeba walki miała swojém następstwem wszystkie te właściwości cechów, te ich roszczenia, które się nam tak uderzającemi wydają. Walka sprawiła, że wszystkie zajęcia po miastach zorganizowały się w związki cechowe, że przybrały one charakter niemal zakonów, że utworzyły *status in statu*, że nikt, do cechu nienależący, ani danego rzemiosła prowadzić nie mógł, ani sprzedawać swych wyrobów nie miał prawa, że cechy powoli zagarnęły w swe ręce zarząd spraw miejskich, że, słowem, utworzyły z miast niezależne jednostki państwowe, posiadające samodzielną i odrębną swoją organizacyę. Lecz, pomimo to, a może właśnie dla tego przyczyniły się cechy do rozkwitu miast i miasteczek, podniosły przemysł i rzemiosła.

W dawnéj Polsce rozkwit cechów przypada na wiek XIII-ty do XVI-go. Osadnicy niemieccy przesiedlali się wówczas do naszego kraju, a jednocześnie przynosili z sobą urządzenia cechowe, które do takiéj świetności doszły na Zachodzie. I u nas zyskały sobie cechy te wszystkie prawa i przywileje, które spotykamy w innych krajach europejskich.

Jeśli pozostawimy na stronie Anglię, to właściwie dopiéro rewolucya francuska zadała cios cechom w dawném średniowieczném ich pojęciu. Koniec XVIII-go wieku jest zarazem końcem panowania właściwych cechów. Jeśli w innych państwach, prócz Francyi, prawnie dawne cechy istniały jeszcze dłużéj, to walka, która wszędzie przeciwko nim nurtowała, powoli je musiała niweczyć. Zawsze też

pozostanie pewnikiem, że prawo z d. 14 i 17 czerwca 1791 r., ogłoszone we Francyi, dało początek reorganizacyi cechów w duchu pojęć cywilizacyi nowoczesnéj. Rewolucya francuska, która na sztandarze swoim wypisała między innemi hasło wolności pracy, musiała zadać cios ostateczny cechom. Nie mogli prawodawcy wieku „oświeconego" tolerować ustaw, które w obrębie cechów zamykają pracę wytwórczą, które nie dają jéj swobodnego ujścia. Jednocześnie wszakże Francya żadnéj innéj organizacyi rzemieślniczéj nie wprowadziła. Prawodawca wydał prawo negatywne. Zniósł cechy, a w ich miejsce nic pozytywnego nie wprowadził. Przeciwnie, wszelkie związki wzbronione zostały. Uważano, że muszą one ujemny wpływ wywiérać na pracę indywidualną, że, rzekomo, z konieczności nałożą one nowe pęta na członków związku. Inne państwa europejskie przyjęły z Francyi zasadnicze jedynie hasło, t. j. wolność pracy, lecz nie posunęły się tak daleko, aby znieść cechy. Usiłowano jedynie zorganizować je na innych zasadach. Przyjęto za normę, że praca rzemieślnicza po za cechem jest dopuszczalną, że nie samo należenie do cechu jest koniecznym warunkiem do pracy w pewném rzemiośle, lecz samych cechów nie zniesiono. Tak postąpiły sobie Niemcy, gdzie obowiązuje prawo z dnia 10 listopada 1871 r., wydane jeszcze przed utworzeniem cesarstwa, mianowicie w d. 21 czerwca 1869 r.; tak postąpiła sobie ustawa rzemielśnicza, obowiązująca u nas od d. 31 grudnia 1816 r. Obadwa te postanowienia prawodawcze umożliwiły pracę rzemieślniczą po za cechem, uznały, że osobista praca wytwórcza nie może być zależną od faktu zapisania się do cechu i formalnego wyzwolenia się na majstra. Takie zestawienie dążności w prawodawstwach europejskich naszego wieku każe się zastanowić nad pytaniem, które z nich lepszą obrały drogę, czy te, co zapowiadały zagładę cechom, czy téż te, co je zorganizować jedynie usiłowały? Pytanie to mimowoli nasuwa słowa, jakie wyrzekł znany pisarz Wawrzyniec Surowiecki, gdy w pierwszéj ćwierci naszego wieku podnosiły się u nas głosy za zupełném zniesieniem stowarzyszeń rzemieślniczych.

„Mocno jestem przekonany — głosił — że utrzymanie i rozważne urządzenie cechów jest jednym z głównych środków, tak do podwojenia źródeł ekonomii naszego kraju, jako téż do podniesienia miast i rozkrzewienia w nich wygasłego przemysłu. W zmienionych stosunkach i okolicznościach dzisiejszych, dotychczasowe nasze źródła agronomiczne znaczny poniosły uszczerbek; można przewidywać z pewnością, że wywóz zboża do postronnych na morze nie będzie już dla nas korzystnym; że nasze rolnictwo samo się zredukować musi, jeśli mu wewnętrzna konsumcya z przerabianiem surowych płodów na użytek

nie przyjdzie z pomocą. Rolnik, nie znajdując wynagrodzenia na łożone koszty i pracę, pomimo najmocniejszych skądinąd zachęcań, musi je zmniejszyć do miary samego tylko zyskownego odbytu. Jeżeli naszéj wełny, naszych lnów, skór, żelaza, miedzi i t. p., sami nie będziemy przerabiać na użytek, jeśli tych ludzi, którzy dotąd żyją po naszych miasteczkach w gnuśnéj bezczynności, nie usposobimy do przerabiania surowych płodów i upowszechnienia ich konsumcyi, jeśli, jak dotąd, zasilać będziemy obce fabryki i rzemiosła tą szczupłą gotowizną, którą należało zasilać przemysł krajowy, wysuszymy do szczętu liche źródła naszego dochodu i wśród niedostatku nie uwolnimy się nigdy od uciążliwego haraczu, jaki dziś opłacamy przemyślniejszym i bogatszym od nas sąsiadom..."

A jakie powinny być cechy?

„Jako szkoły dla młodzieży, mającéj się sposobić do przerabiania płodów na użytek, jako towarzystwa, utrzymujące swoich członków w porządku, zapewniające im wszędzie przytułek i pomoc w potrzebie, przemyślające nad wydoskonaleniem rzemiosł i fabryk, należycie urządzone, mogą krajowi przynieść niezrachowane pożytki".

Słowa te, wypowiedziane przed kilkudziesięciu laty, i dziś jeszcze zachowały swoją wartość. Jeśli nie wszystkie argumenty ostały się wobec zmienionych warunków miejsca i czasu, to w każdym razie i dziś, wślad za Surowieckim, powtórzyć możemy, że cechy, jako takie, istnieć powinny, że i dziś również nie należy mówić o ich zniesieniu. Lecz jak sobie wyobrazić cechy ze względu na obecne pojęcia i zasady? Naturalnie nie może być kwestyi, że cechy średniowieczne, cechy, krępujące swobodę jednostki w najwyższém tego słowa znaczeniu, cechy, ograniczające produkcyę i konsumcyę, cechy, nie tolerujące pracy po za sobą, nie mogą być dziś do życia powoływane. Cech średniowieczny na współczesną przeszczepiony glebę, nie mógłby przynieść tych nawet korzyści, które jego świetny poprzednik zaznaczył. Aby wszakże znaléść grunt podatny dla cechów w dzisiejszych warunkach, należy zwrócić się do innych objawów życia, które się współrzędnie dają zauważyć.

Idea stowarzyszeń robi ciągłe i nieustanne postępy. Jednostki te, które nie daléj, jak w początkach jego wieku, nieznane były nawet jako podmioty prawa twórcom kodeksu Napoleona, powtarzamy, jednostki te wypisują na swoim sztandarze swobodę pod względem przystępowania do nich. Nie jest to organizacya przymusowa z zasady, narzucająca pewnym jednostkom wspólne łączenie się. Nie; początkowo wszelkie związki w pojęciu nowoczesném, hołdowały w zasadzie swobodnego wyboru, pod wpływem jednak rozwija-

jących się pojęć, uznających potrzebę opieki państwa na najróżnorodniejszych polach pracy, rozszerza się również obręb stowarzyszeń, tak zwanych przymusowych.

Ubezpieczenie robotników, rozmaite kasy pomocy, oszczędności i t. p., stanowią grupę związków, do których pewne kategorye osób obowiązkowo należéć muszą. I nowoczesny cech też w kierunku stowarzyszeń rozwijać się musi. Dzisiejszy cech winien przybrać charakter takiego samego związku czy stowarzyszenia, jakie spotykamy w innych zawodach. A jest taki związek, jednoczący w sobie ludzi jednego rzemiosla, niezbędny dla postępu i doskonalenia się tegoż. Przy dzisiejszym rozwoju wielkiego przemysłu, przy ustawicznéj walce tegoż z przemysłem domowym i rzemiosłami, walce, która, jak np. w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnéj, prowadzi do zupełnego zaniku pracy ręcznéj, rzemiosło bez związku, bez organizacyi ostać się nie może. Udoskonalenia w pracy, wynalazki, wprowadzające ustawiczne reformy, potrzeby ciągłych a nowych wiadomości technicznych — wszystko to, samopas, osiągniętém być nie może. Tylko łączne komunikowanie sobie spostrzeżeń tak z własnego doświadczenia, jak, co ważniejsza, z doświadczenia innych, tylko wzajemne uczenie się, wzajemne oddziaływanie na siebie, może wpłynąć na podniesienie się rzemiosła, na utrzymanie go na téj wysokości, jaką codzienne potrzeby wywołują. A teraz po za sferą, że się tak wyrażę, techniczną sferą, mającą na względzie udoskonalenie samego rzemiosła, pozostaje się inna, również może ważna, strona moralna, stosunek majstrów do czeladników, stosunek majstrów do uczniów—rzecz dla rzemiosła pierwszorzędnéj wagi. Wszystko to znaléść może właściwe uwzględnienie, właściwe ukształtowanie tylko przy istnieniu związku. Znowu, indywidualne środki, indywidualne zamierzenia, nie osiągną właściwego celu. Wzajemne spostrzeżenia, wspólne określenie norm, jakie przyjąć tu należy, powinno być jedném z zadań związków rzemieślniczych. A po za tém widzimy jeszcze obszerne pole dla ich działalności w dziedzinie samopomocy, kredytu i t. p. — słowem, związek rzemieślniczy jest dla należytego i właściwego rozwoju rzemiosła niezbędnym.

Tak pojęte stowarzyszenie rzemieślnicze jest naturalnym następcą cechu, który obecnie w taki tylko sposób rozwijać się może.

Lecz tu powstaje natychmiast pytanie zasadnicze, a mianowicie, czy wszyscy pracujący w pewnym zawodzie rzemieślnicy obowiązkowo do zgromadzenia należéć powinni, czy też wypada tu pozostawić pole do najzupełniejszéj swobody?

Jedno i drugie ma za sobą wiele stron dodatnich, lecz nie mniéj

i ujemnych. Obowiązkowe należenie do związku wytwarza pewną łączność między wszystkimi pracującymi w pewném rzemiośle; prowadzi ono za sobą z konieczności pewną solidarność, pewną dbałość o to, aby wszyscy współtowarzysze pracy stali na wysokości zadania, aby, słowem, rzemiosło całe zachowało odpowiednie stanowisko. Nadto wyradza taki związek pewną z natury rzeczy płynącą kontrolę nad uczestnikami. Lecz, z drugiéj znowu strony, w tego rodzaju zawodach, gdzie bądź co bądź, przedewszystkiém indywidualne zdolności przeważać muszą, obowiązkowe łączenie wszystkich rzemieślników, tak dobrych jak i złych, tak przynoszących korzyści związkowi, jak i tych, co tylko mu szkodę moralną wyrządzić mogą, nie może być właściwém. Rozumiemy obowiązkowy związek tam, gdzie samo umożliwienie pracy w danym zawodzie zależném jest od zgromadzenia. Tam naturalnie musi miéć miejsce łączność wszystkich towarzyszów pracy. Lecz takie pojęcie obcém być musi nowoczesnym cechom. Wolność pracy osobistéj zachowaną być winna przedewszystkiém. Każdy musi miéć prawo robienia butów, ubrań i stołów; zakazy są tu nie na miejscu. Jeśli zaś tak być ma, a taka zasada przyjętą zostaje przez wszystkie państwa cywilizowane, to i samo przystąpienie do związku powinno być dowolne, lecz z tém, zdaniem naszém, zasadniczém ograniczeniem, że związek rzemieślniczy sam przez się winien miéć w téj mierze głos stanowczy. Od niego powinno zależéć przyjęcie lub nieprzyjęcie danego rzemieślnika; on powinien miéć głos rozstrzygający, czy można za danego towarzysza pracy przyjąć pewnego rodzaju odpowiedzialność wobec społeczeństwa. Bo, chyba, zaprzeczyć się nie da, że wówczas tylko zasada wolności pracy rzemieślniczéj nie spotka się z zarzutem szkód, jakie ogółowi wyrządzone zostają. Czy dany rzemieślnik należy do związku, czy nie, będzie to do pewnego stopnia rozstrzygającém przy ocenie jego wartości. Ogół liczyć się wówczas będzie z tym faktem, będzie sobie mógł zdać sprawę z tego, czy dany rzemieślnik zasługuje na zaufanie, czy nie. Każdy wówczas będzie miał w swych ręku znakomity probierz, świetny sprawdzian do wyprowadzenia tych lub innych wniosków. A przy takiém urządzeniu, ani na jotę nie będzie pogwałcona zasada wolności pracy, powtarzamy jedna z tych świetnych zdobyczy cywilizacyjnych, których nowoczesna organizacya społeczna niweczyć nie może.

Pomimo jednak tak prostych i naturalnych wywodów, do jakich właściwe zrozumienie charakteru i celu zgromadzeń rzemieślniczych prowadzić musi, nie łudźmy się, iżby wszystkie prawodawstwa europejskie prawnie zasady te usankcyonowały w całości, słowem, aby,

wszędzie nowe przepisy o związkach rzemieślniczych zerwały zupełnie z dawną tradycyą cechów.

Francuski prawodawca stanowi tu pewien wyjątek. Ogłoszone tam 24 marca 1884 r. prawo stawia kwestyą zgromadzeń rzemieślniczych na szerszéj podstawie. Podciąga je pod ogólną kategoryę syndykatów profesyonalnych. Wprowadzona przez ten akt prawodawczy organizacya rozciąga się do wszelkiego rodzaju zajęć zawodowych, z wyjątkiem naturalnie tak zwanych zajęć wyzwolonych.

Aby syndykat czy stowarzyszenie profesyonalne mogło być utworzone, potrzeba, iżby członkowie tegoż należeli do pewnego zawodu, t. j. iżby pewna stała praca była przedmiotem codziennych ich zajęć. Prawo wymaga daléj, iżby wszyscy stowarzyszeni należeli do tegoż samego zawodu, albo do zawodów i zajęć pokrewnych lub przynajmniéj do zawodów związanych z sobą celem wytwarzania pewnego rodzaju produkcyi. Tak pojęta organizacya zezwala na tworzenie się nietylko związków czysto rzemieślniczych, lecz nawet robotniczych. Co więcéj, interpretacya odnośnego przepisu zezwala na zakładanie syndykatów wszystkim robotnikom lub majstrom, pracującym w różnych zawodach, lecz związanych jednego rodzaju ostateczną produkcyą. Stąd więc wszyscy zajęci przy budowie jakiegoś gmachu, tak cieśle jak i mularze, blacharze, robotnicy dzienni i t. p., daléj wszyscy przyjmujący udział w wyrobie jakiéjkolwiek maszyny, mogą się związać w syndykat profesyonalny. Nie na tém koniec; wszyscy pracujący w zawodach handlowych, jako to: subiekci, buchalterzy, daléj robotnicy rolni, parobcy mogą korzystać z dobrodziejstw prawa z roku 1884-go.

Natomiast jurysprudencya odmawia prawa łączenia się w syndykaty lekarzom, nauczycielom prywatnym, a to dlatego, iż ci nie potrzebują bronić żadnych interesów czy to przemysłowych, czy handlowych, czy rolniczych, ani wogóle jakichbądź interesów ekonomicznych, mających z niemi związek.

Syndykaty mogą powstawać nietylko między majstrami lub robotnikami jednéj miejscowości, lecz nawet między osobami osiadłemi w rozmaitych stronach. Liczba członków danego syndykatu jest nieograniczona.

Po za kwestyą zawodu żaden inny warunek nie jest od syndykatów wymagany. Kobiéty, nieletni, cudzoziemcy mogą być do syndykatu dopuszczeni.

Syndykat może być mieszanym, t. j. składać się z majstrów oraz robotników płatnych, zawsze pod warunkiem należenia do tego samego zawodu.

Syndykaty profesyonalne mogą się zajmować jedynie badaniem oraz obroną interesów ekonomicznych, przemysłowych, handlowych i rolniczych. Interesy ekonomiczne obejmują cały szereg najróżnorodniejszych spraw. Mają one na względzie nietylko rozbiór kwestyi specyalnych, związanych z danym syndykatem, lecz i tych, które, należąc do pytań natury ogólnéj, obchodzą każdy syndykat w szczególności. Tak np. znajdą tu miejsce płaca zarobkowa, czas pracy, taryfy celne, nauczanie techniczne, patenty i t. d. Naturalnie, iż sprawy natury politycznéj lub religijnéj są z obrad syndykatów wyłączone. Wreszcie syndykaty, jako takie, nie mogą się podejmować przedsiębiorstw czy robót wspólnych.

Otwarcie czynności syndykatu nie jest zależném od władzy. Syndykat może rozpocząć swą działalność, skoro złoży miejscowym organom administracyi swoją ustawę wraz z podaniem listy zarządzających syndykatem.

Prawo nadaje syndykatowi charakter osoby moralnéj, t. j. możność rozporządzania swoją własnością, oraz reprezentacyi nazewnątrz. W szczególności zaś mogą one użytkować z funduszów, pochodzących ze składek, a mianowicie nabywać majątki nieruchome i ruchome, oddawać je w dzierżawę i t. p., obciążać wierzytelnościami, zamieniać. Mogą one wydawać zapomogi swoim członkom, urządzać biblioteki, nabywać narzędzia, otwiérać kursy profesyonalne — wszystko to bez specyalnego zezwolenia. Syndykatowi wolno daléj zakładać dla swoich członków specyalne kasy wzajemnéj pomocy i przezorności. Z kolei syndykaty mogą otwiérać biura wywiadowcze dla poszukujących pracy, z warunkiem, aby służyły one wyłącznie dla członków syndykatu. Podobnież wolno syndykatom zakładać stowarzyszenia wytwórcze lub spożywcze, spółki wzajemnego ubezpieczenia od ognia, od wypadków przy pracy, życiowe, kredytowe; prawo stawia jedynie jako warunek, aby wszystkie te instytucye posiadały oddzielne fundusze i kasy, tak, iżby każdéj chwili mógł nastąpić ich rozdział od właściwego syndykatu. Praktyka i jurysprudencya nadają jeszcze syndykatom prawo rozszerzania swéj działalności i do innych dziedzin życia. I tak mogą one organizować biura handlowo-wywiadowcze, w których członkowie syndykatu mogliby zasięgać potrzebnych informacyi co do cen towarów, co do warunków rynku, gdzieby znajdowały się pracownie do rozbioru wyrobów z dziedziny zajęć syndykatu i t. p. Niektóre syndykaty rolnicze założyły pola doświadczalne, stowarzyszenia wzajemnych ubezpieczeń od pomoru bydła, od gradobicia, etc. Oprócz bibliotek oraz kursów profesyonalnych, o których wspomina tekst prawa, syndykaty mogą urządzać konkursy, konfe-

rencye, muzea prób i wzorów, zbiory modelowe, warsztaty doświadczalne i t. d.

Niezależnie od organizacyi oddzielnych syndykatów, prawo zezwala na łączenie się syndykatów pomiędzy sobą. Tego rodzaju związki mogą być stałe albo czasowe z wyraźném zastrzeżeniem, że w obu tych razach, tylko obrona interesów ekonomicznych w ścisłém tego słowa znaczeniu może być udziałem syndykatów. Związki takie nie posiadają cech osoby moralnéj; słowem, prawo sprzeciwia się temu, aby związki takie korzystały z organizacyi ścisłéj i zespolonéj całkowicie.

Członkowie syndykatu profesyonalnego mogą zawsze go opuścić. Prawo wyraźnie zastrzega osobistą wolność stowarzyszonego, pozwalając mu każdéj chwili wyjść z syndykatu, a nawet nie poddać się postanowionemu przez syndykat bezrobociu. Przepis ten jest zasadniczy; stanowi on podstawową cechę charakterystyczną syndykatu, tak, iż wszelkie zastrzeżenia, temu przepisowi przeciwne, wszelkie kary i obostrzenia, orzekane przez ustawę względem członków, wychodzących z grona syndykatu, są nieważne i żadnych skutków mieć nie mogą.

Jeśli jednak stowarzyszony mocen jest każdéj chwili wyjść z syndykatu, to z drugiéj strony ten ostatni nie może pozbawiać go samowolnie dobrodziejstw, ze związku płynących.

Syndykat ma prawo wyłączyć członka ze swego grona; lecz decyzya taka zapaść może o tyle, o ile jest zgodną z przepisami ustawy, a nadto jako środek dyscyplinarno-karny, może znaléść zastosowanie dopiéro po uprzedzeniu o tém stowarzyszonego i po umożliwieniu temuż obrony. Wreszcie i co najważniejsza, fakt inkryminowany musi być wprost przez statuty przewidziany i bez możności stosowania interpretacyi rozszerzającéj.

Stowarzyszony, który związek opuścił, nie ma prawa ani domagać się podziału, ani też cofnąć udziału, odpowiadającego rocznéj jego składce.

Inaczéj się rzecz ma z towarzystwami wzajemnéj pomocy i emerytalnemi. Dymisyonowany członek syndykatu może nadal pozostać członkiem tych instytucyi, o ile osobistemi składkami przyczynił się do utworzenia funduszu przezorności lub emerytalnego.

Za przekroczenia przeciwko przepisom o syndykatach, mającym na względzie porządek publiczny, grożą kary zastosowane do doniosłości czynu. Rozwiązanie syndykatu nastąpić może z decyzyi trybunału poprawczego na żądanie prokuratora, naturalnie w wypadku winy ze strony związku.

Prawo nie obejmuje przepisów specyalnych, co się stać winno z majątkiem syndykatu na wypadek rozwiązania. Przez analogię z prawodawstwem o stowarzyszeniach uznaném zostało, że następuje wówczas likwidacya funduszów i ich podział, względnie do praw każdego z uczestników syndykatu.

Oto całokształt przepisów prawodawstwa francuskiego. Zastanowiliśmy się nad niemi nieco dłużéj dlatego, iż, zdaniem naszém, prawodawca francuski poszedł w tym właśnie kierunku, w jakim się cechy nowożytne rozwijać powinny. Przedewszystkiém, i co z naciskiem zaznaczyć należy, nie wtłoczono zgromadzeń rzemieślniczych w jakieś ramy specyalne, nie wyodrębniono ich, jako instytucye, które tylko w sferze rzemiosł ręcznych działaćby mogły. Przeciwnie, prawodawca podciągnął je pod stowarzyszenia profesyonalne wogóle, nazwawszy je zaś syndykatami, uznał, że nie należy czynić różnicy, pod względem organizacyi, między zgromadzeniem szewców, a krawców a związkiem rolników, że bez względu na odmienność zajęć zawodowych te same cele, te same dążenia mogą być udziałem wszystkich związków; stacya doświadczalna w rolnictwie grać będzie mniéj więcéj tę samą rolę, co wystawa wzorów i prób w rzemiośle krawieckiém lub stolarskiém, co pracownia chemiczna dla jubilera; szkoła zawodowa, czytelnia, stowarzyszenie pomocy, kredytu, ubezpieczeń i t. p., są to instytucye we wszystkich zawodach identyczne, dla wszystkich w jednakowém stopniu potrzebne, mogące więc wszędzie w zasadzie na jednakowych opiérać się podstawach. Niektórzy ekonomiści francuscy, jak np. Block, uważają, że nawet lekarze i wogóle zawody wyzwolone powinnyby miéć prawo łączenia się w syndykaty na podstawie prawa z r. 1884-go. Czy jednak należałoby iść tak daleko, czy nie, jeden stąd płynie niewątpliwy wniosek, a mianowicie, że nowoczesna teorya i praktyka uznają potrzebę ujednostajnienia przepisów i ustaw, mających te różnorodne obowiązywać zawody. Rozwija się stale pogląd, że znoszenie różnic prawnych usunie tradycyę o stanach, tradycyę, która dotąd w pojęciach społecznych nie ze wszystkiém, istniéć przestała.

Ta tedy jednolitość prawodawstwa jest pierwszą cechą charakterystyczną, odróżniającą syndykaty profesyonalne francuskie od dawnych stowarzyszeń rzemieślniczych. Tę téż jednolitość należy podnieść, jako rzecz znamienną chwili, jako gwiazdę przewodnią, która zapewne w dalszym rozwoju przyświecać będzie. Lecz jeśli taki charakter syndykatu na zarzuty poważne nie zasługuje, to już z trudnością zgodzićbyśmy się mogli na postawioną przez prawo zasadę co do samego należenia do syndykatu. Prawodawca nie stawia kategorycz-

nie téj kwestyi w taki sposób, iżby samo przyjęcie do związku zależało od uczestników. Kwestya ta wprost przez prawo przewidzianą nie została, a co zatém idzie należy uważać, iż pozostawiono ją specyalnym statutom, któremi się pojedyńcze związki rządziéby mogły. Co do nas, uważamy całe to pytanie za zasadnicze i mniemamy, że organizacya syndykatu, czy związku, w zasadzie swéj powinnaby stanowić, że przystąpienie do związku, będąc aktem dobréj woli ze strony danego rzemieślnika, czy innego zawodowego pracownika, powinno być zależném od zgody uczestników syndykatu.

Tego wymaga natura rzeczy i powody, któreśmy już zaznaczyli. Jakkolwiekbądź syndykaty profesyonalne są to związki, które w dalszym swym rozwoju niewątpliwie wszędzie zastąpią dawne cechy.

Lecz, jeśli pozwalamy sobie wygłaszać tego rodzaju zdanie, nie idzie jednak zatém, aby nawet dawne cechy, istniejące w niektórych krajach, nie mogły się rozwijać w tym kierunku, jaki przyjęły syndykaty profesyonalne.

Prawie jednocześnie z Francyą, sąsiednia Austrya zorganizowała ponownie zgromadzenia rzemieślnicze, nadając im nową niejako szatę. Mamy tu na myśli prawa z d. 15 marca 1883 r. i 8 marca 1885 r., które zmieniły, a częściowo uzupełniły tylko ustawę przemysłową, obowiązującą tam od 20 grudnia 1859 r.

Prawo z r. 1883 wydane zostało pod naciskiem żądań drobnych rękodzielników. Szeregi mityngów, które się przed r. 1883-im odbyły, nawoływały stale do ogłoszenia ustawy, któraby im zapewniła opiekę i pomoc. To téż ogromną większością nowe prawo przeszło przez radę państwa.

Aczkolwiek nowe prawo stawia pewne wymagania przy rozpoczęciu pracy na polu rzemieślniczém, to jednak zaraz na wstępie nie ogranicza wszystkich zajęć przemysłowych. Całkowitego rozbratu z wolnością pracy prawodawca wziąć nie chciał, stąd téż dzielą się wszystkie rękodzieła na trzy rodzaje: wolne, rzemieślnicze w ścisłém znaczeniu oraz konsensowe. Do pierwszéj kategoryi należy w pierwszym rzędzie przemysł domowy, którego cechę charakterystyczną stanowić winna praca w mieszkaniu, z tém wszakże zastrzeżeniem, że osoba pracująca nie używa do pomocy ani uczniów, ani téż czeladników. Do rzemiosł w ścisłém znaczeniu należą takie rękodzieła, które wymagają uprzedniego przygotowania, po naszemu terminowania.

Wreszcie konsensowe rękodzieła są ściśle przez ustawę określone, a do nich między innemi należą rzemiosła mularskie i ciesielskie.

Aby być zaliczonym do właściwego rzemiosła koniecznem jest złożenie zaświadczenia o odpowiedniém uzdolnieniu. Dowód taki

(§ 14) wydaje starszy (przewodniczący) związku rzemieślniczego, oraz naczelnik gminy, do któréj należy pracodawca; w tych zaś gminach, gdzie dane rzemiosło nie posiada odpowiedniego cechu, albo téż jeśli kandydat terminował w zakładzie fabrycznym, świadectwo udzieloném zostaje tylko przez zwierzchność gminną. Świadectwo takie zastąpić może dowód z ukończenia szkoły, w któréj mógł kandydat posiąść wiadomości techniczne, potrzebne w danéni rzemiośle.

Nie będziemy szczegółowo zastanawiali się nad przepisami ustawy austryackiéj. Nadmienimy tylko, że odnośnie do rzemiosł świadectwo, odnośnie zaś do zajęć konsensowych — zezwolenie, które poprzedza stwierdzenie posiadanych wiadomości — są warunkiem *sine qua non*, bez którego władza miejscowa wzbronić musi rozpoczęcia pracy w danym zawodzie. Nie potrzebujemy dodawać, że prawo żąda jaknajwiększego rozwoju samych związków czyli cechów.

Przyjrzawszy się organizacyi francuskiéj, oraz austryackiéj, przejdźmy obecnie do ustroju cechowego, istniejącego w Królestwie Polskiém od r. 1816-go.

Ustawa ta, składająca się z art. 147, z jednéj strony ustanawia organy czyli władze cechowe, a z drugiéj określa wzajemny stosunek majstrów i czeladników, oraz uczniów, a nadto omawia czynności organów cechowych. Naczelną kontrolę nad cechem sprawuje prezydent, w mniejszych miastach zwany burmistrzem; a władzą cechową w właściwém tego słowa znaczeniu jest urząd starszych. Obok tego ostatniego widzimy zgromadzenia majstrów, oraz zgromadzenia czeladników.

Burmistrz posiada zwierzchnictwo nad urzędem starszych, głównie co do następujących czynności:

a) co do ułożenia listy majstrów, czeladników i uczniów;

b) co do uzupełniania przepisów względem uczniów, czeladników, majstrów;

c) co do przestrzegania porządku rzemiosła i spokojności warsztatów. Ustawa nie określa bliżéj, jak należy pojmować ten nadzór burmistrza. Tak jednak ogólne określenie nadanéj temuż władzy, jak przedewszystkiém możność przestrzegania porządku rzemiosła i spokojności warsztatów upoważnia burmistrza do wykonywania bardzo rozległéj kontroli w stosunku do cechów. Prawo powierza mu również pewne obowiązki bezpośrednie. Tu należy np. zatwierdzenie ustawy kasy wsparć, oraz prawo zwoływania nowéj komisyi egzaminacyjnéj, w razie gdyby dany czeladnik nie został w poczet majstrów przyjęty.

Zgromadzenie majstrów składają, jak sama nazwa wskazuje,

wszyscy wyzwoleni majstrowie cechowi, a główną ich atrybucyą jest wybór starszego i podstarszego, oraz ich zastępców.

Prócz tego, należy do zgromadzenia nadzór nad wykształceniem młodzieży rzemieślniczéj, tak pod względem ogólnym, jak i specyalnym.

Wreszcie wolno jest zgromadzeniu założyć kasę wsparć, któréj ustawę zatwierdza prezydent lub burmistrz. Składki, jakie w tym celu mogą być ustanawiane, są zupełnie dobrowolne i nie ciążą ani nowo-wchodzących uczniów, ani czeladzi i majstrów. Urząd starszych składają komisarz municypalny, starszy i podstarszy. Komisarz jest czynnym i faktycznym członkiem urzędu. Bez jego podpisu żadne podanie, ani świadectwo nie może wyjść z urzędu.

Do urzędu starszych należy właściwe wykonywanie czynności, z cechem związanych. Wymieniliśmy je już poprzednio, tu dodamy, że, wedle ducha ustawy, najważniejszą czynnością urzędu jest zapisywanie uczniów, współudział w wyborze majstra, wglądanie w stosunki z czeladnikami, wreszcie wyzwalanie czeladnika na majstra, po uprzedniém złożenie egzaminu przez tegoż. Uzupełnienie przepisów, w téj mierze obowiązujących, jest jednym z obowiązków urzędu starszych.

Oprócz wyszczególnienia organów cechowych, ustawa obejmuje jaknajszczegółowsze rozporządzenia względem traktowania uczniów i czeladników przez majstrów. Stara się w téj mierze unormować cały ten stosunek na podstawach religijno-moralnych.

Najważniejszą kwestyą co do cechów jest pytanie, kto należyć może do zgromadzenia rzemieślniczego. W chwili, gdy ustawa ujrzała światło dzienne, nie nastręczały się w téj mierze żadne wątpliwości. Wówczas uważano za rzecz słuszną, że tylko majster cechowy, t. j. z czeladnika na majstra, przez urząd starszych wyzwolony, powinien do cechu należéć. Nie rozumiano, aby możliwém było posiąść wiadomości, z danem rzemiosłem związane, słowem, wykształcić się na rzemieślnika bez terminowania w charakterze ucznia, oraz czeladnika. Tak téż kwestyę tę rozstrzygała stanowczo ustawa z r. 1816. Obecnie z chwilą powstania szkół rzemieślniczych, oraz kształcenia się w nich przyszłych rzemieślników, powstaje pytanie, czy mogą oni do cechu należéć, czy nie? Niektórzy dopatrują się odpowiedzi twierdzącéj na tak postawione pytanie w przepisie, zwalniającym od terminowania tych, co patent od wyższego urzędu na sprawowanie rzemiosła otrzymali (str. 131).

Zwolennicy tego poglądu powiedzą, że świadectwo szkoły rzemieślniczéj jest owym patentem rządowym. Taka interpretacya jest

pożądaną, zaprzeczyć się nie da, lecz czy jest zupełnie zgodną z tekstem prawa, o tém wątpić można.

Nie sądzimy wszakże, aby zgromadzenia, któreby tego rodzaju zasadę przyjęły, postępować miały sprzecznie z duchem prawodawcy. Temu ostatniemu szło o fachowych rzemieślników, a chyba za takich można uważać wychowańców szkół. Powtarzam jednak, że rzecz to wątpliwa i nie da się rozstrzygnąć w tym kierunku tak, iżby tu żadne kwestye nie zachodziły.

Pozwoliliśmy sobie przypomnięć główne zasady obowiązującéj ustawy cechowéj, aby ułatwić jéj zestawienie z nakreśloną organizacyą syndykatów profesyonalnych we Francyi.

W rozmaitych czasach, pod rozmaitemi pretekstami, omawiano tę ustawę. Niejednokrotnie pisano jéj krytykę; wielokrotnie zastanawiano się nad zmianami, jakieby w obowiązujących przepisach wprowadzić należało. A rzeczy zaszły tak daleko, iż przed kilku laty przy tutejszym oddziale Towarzystwa popierania przemysłu i handlu utworzoną została komisya, która wypracowała nawet nowy projekt ustawy. Projekt ten wszakże, został na ogólném zebraniu członków odrzucony.

Dotychczasowe, a przeważne krytyki cechów, oparte były na powiérzchownéj ocenie ustawy z r. 1816. I w istocie prawo to, samo przez się wydane przed kilkudziesięciu laty, gdy średniowieczny duch cechów jeszcze panowania swego nie zaprzestał, nie może się ostać wobec dzisiejszych wymagań społeczno-ekonomicznéj natury. Ustawa, która mniéj się zajmowała technicznem wykształceniem, która w pierwszym rzędzie pragnęła uregulować stosunek majstra do czeladnika i ucznia, ustawa taka naszych obecnych poglądów zadawalniać nie może. Lecz nie trzeba zapominać, że była ona wielkim krokiem naprzód w porównaniu z ustawodawstwem cechowém średniowiecznem, że sankcyonowała ona wolność pracy rękodzielniczéj, rzecz, dotąd prawie niezałatwioną.

Jeśliby wszakże dzisiejszą miarką należało dokładnie i sumiennie ocenić ustawę z r. 1816, jeśliby dziś wypadało wypowiedzieć sąd ostateczny o urządzeniach rzemieślniczych, to za materyał w téj mierze powinnyby służyć fakty, zapożyczone z życia, fakty, mogące wyświetlić, jak w rzeczywistości ustawa z r. 1816 wykonywaną była. Dopiéro po sięgnięciu do akt cechowych pojedyńczych zgromadzeń, można będzie wyprowadzić wnioski, czy ustawę naginano do wymagań życia, czy zdołano pogodzić suche i niewiele mówiące jéj przepisy z potrzebami chwili. Do tego czasu nasze sądy będą powiérzchowne, oparte na jednostkowych spostrzeżeniach, lub na niedokładnych rela-

cyach, drukowanych w dziennikach po sesyi danego zgromadzenia. Do owéj chwili wszelkie krytyki, nazywające cechy zasklepionemi, niezdolnemi do życia organizmami, nie upatrujące w nich żadnych warunków do lepszego i pożyteczniejszego dla ogółu życia, powtarzam, krytyki takie będą jałowemi, niepotrzebnie jątrzącemi inne sfery przeciwko stanowi, który może i powinien się stać jednym z najpoważniejszych w kraju. Należy zacząć pracę u podstaw, od badania saméj instytucyi w jéj życiowych przejawach. Pewien początek już na tém polu zrobiono. Przed kilku laty bezimienny autor drukował w „Tygodniku Piotrkowskim" szereg swych spostrzeżeń, zapożyczonych z akt cechowych m. Piotrkowa. Artykuły te wydał w r. 1892 w broszurze. Trzeba tę pracę daléj prowadzić, a, jak słyszeliśmy, słowa nasze nie są głosem wołającego napuszczy, bo pono w Warszawie do tego się zabrano. Należy jednak i prowincyi na boku nie zostawiać. Inne nasze miasta również do téj pracy się nadają, a miejscowa inteligencya powinna tu być pomocną.

Jestto, jak widzimy, rzecz przyszłości, a praca ta pozwoli wydać wnioski o tém, co cechy zdziałały dotąd. A jeśli obok tak zebranego materyału, wypadałoby znowu zapytać, czy ustawa z r. 1816 nadaje się do uczynienia z cechów dzisiejszego zbliżonego typu syndykatów profesyonalnych, tego typu, który za ostatni wyraz poglądów w téj dziedzinie uważać można, to odpowiemy otwarcie, że nie widzimy przeszkód prawnych do rozszerzonéj interpretacyi obowiązującego prawa. Każda ustawa, każdy akt prawodawczy musi z konieczności naginać się do potrzeb i wymagań życia; każdy, co interpretuje, co stosuje dane prawo, pamiętać musi o tém, że życie postępuje naprzód, że na wzór potoku górskiégo rozrywa ono tamy i przeszkody, które na swéj drodze spotyka. Żaden prawodawca, najbardziéj nawet uwzględniający potrzeby społeczne, nie może iść na równi z niemi, zawsze te ostatnie wyprzedzać będą pisane prawo, a rzeczą jest tego, co je stosuje, aby dopatrzéć w obowiązujących ustawach sposobów do uwzględnienia nowych tych wymagań, dotąd przez prawo nie uwzględnionych. Te same uwagi, też same spostrzeżenia nasuwać się muszą, jeśli dziś odczytywać będziemy pojedyńcze artykuły ustawy z r. 1816. Przeglądając tak samą ustawę, jak i szereg rozporządzeń i reskryptów b. komisyi spraw wewnętrznych, dojdziemy do przekonania, że wszystkie prawie potrzeby i wymagania, które syndykaty profesyonalne na sztandarze swoim wypisały, mogą być skutecznie przez nasze zgromadzenia cechowe uwzględniane.

Z przepisu o dyspozycyi funduszów (art. 134), głoszącym o używaniu tychże dla dobra danego rzemiosła, wynika, że rzemieślnicy nasi

mogą zakupywać przedmioty, mające styczność z postępem danego cechu, że mogą daléj urządzać zakłady pomocnicze, nabywać rozmaite narzędzia, delegować czeladź do zwiedzania wystaw rzemieślniczych w kraju i za granicą. Przepisy o egzaminowaniu uczniów i czeladników pozwalają na wypracowanie szczegółowych regulaminów, któreby uwzględniały wykształcenie rzemieślnika; artykuły, dotyczące pracy uczniów w warsztacie nie stoją wcale na przeszkodzie, aby warsztat był prawdziwą szkołą dla rzemiosła, aby posiadał wszystkie warunki, potrzebne do wydoskonalenia rzemieślnika, tak pod względem zawodowym, jak i ogólno pedagogicznym. Nie tu miejsce wskazywać szczegółowe środki, jakie do tego celu zmierzaćby mogły. Dość zaznaczyć sam fakt, dość podnieść to wyraźnie i dobitnie, że obowiązujące „urządzenie rzemiosł, kunsztów i profesyi", uzupełnione całym szeregiem reskryptów, nie tamuje rozwoju cechów w duchu dzisiejszych pojęć i poglądów. Stan rzemieślniczy, wsparty zachętą i pomocą ogółu, znajdzie w niéj środki do rozwoju, dojrzy w niéj zaczątki, umożliwiające skierowanie rzemiosł na drogę prawdziwego i rzetelnego postępu.

Henryk Konic.



ZYGMUNT SARNECKI.

W chwili, gdy artykuł obecny dojdzie do rąk czytelników, nowa sztuka p. Sarneckiego p. n. „Harde dusze”, przerobiona z powieści Orzeszkowej, zostanie już może przedstawioną na scenie teatru Letniego w Warszawie. Okoliczność ta nasuwa nam przypomnienie, że autor nasz w zawodzie dramatycznym pracuje już przeszło lat 25, a w zawodzie literackim blisko lat 40. Bo w piśmiennictwie wziął p. Sarnecki udział bardzo młodo, kiedy jeszcze był na ławie szkolnéj. Wziął go z początku wesoło i lekkomyślnie, z całą swobodą i nieopatrznością młodzieniaszka, musiał potém przepłacić go groszem niemałym, zabiegami ciężkiemi, pracą wyczerpującą, która nie dozwalała oddać się wyłącznie najbardziéj ulubionemu od wieku młodocianego trybowi tworzenia dla sceny. Nie brak w tém życiu wysoce dramatycznych momentów, z po za których uśmiécha się przecież zawsze twarz pogodna dobrego człowieka, który strat, klęsk i uraz długo nie pamięta i niepowodzeniami się nie zraża.

Posiadając trochę szczegółów z tego życia, skreślonych przez samego autora, zamierzam niemi poprzedzić sylwetkę jego literacką.

I.

Wśród „pańskich” stosunków wychowywał się i dorastał. Urodzony 20 listopada 1837 r. we wsi Hołodki, w gubernii podolskiéj, o pięć wiorst od Baru, prawie od niemowlęctwa ulegał równoczesnemu

wpływowi literatury polskiéj romantycznéj oraz francuskiéj z końca XVIII i początków XIX-go stulecia. Uczył się mówić odrazu dwoma językami, miał bowiem bonę Francuzkę, która się do najmłodszego dziecka w rodzinie szczerze przywiązała, i niańkę Polkę, szlachciankę, kochającą je bardzo, umiejącą czytać i pisać, co na tém stanowisku było w owych czasach nadzwyczajną rzadkością. Usypiano go lekturą polską lub francuską. Niańka czytywała mu: bajki Krasickiego, ballady Mickiewicza i utwory Hofmanowéj; bona — powieści Woltera i Chateaubrianda: „Réné”, „Atala”, nawet wyjątki z „Męczenników” *(Les Martyrs)*. Obie opowiadały mu baśnie ludowe.

Nieraz malec udawał, że usypia, a skoro bona lub niańka odeszła od jego łóżeczka, przekonana, że pieszczony Benjaminek śpi na dobre, on tymczasem zrywał się z posłania i boso, w koszulce, biegł przez kilka pokoi do salonu babki, gdzie co wieczór starsze rodzeństwo czytywało głośno, po kolei, wobec rodziców poezye Mickiewicza, Pola, powieści Michała Czajkowskiego. Cichutko, niepostrzeżony, wsuwał się pod stół przykryty serwetą i pilnie się przysłuchiwał. W ten sposób po raz pierwszy poznał „Pana Tadeusza”, a wspomnienie o tém głęboko utkwiło mu w pamięci.

Umysł chłopca napełniał się pokarmem literackim wpierw, zanim czytać umiał. Wprzód nauczył się pisać niż czytać, przerysowywał bowiem z książek litery na czarnéj tablicy. Nauczywszy się potém czytać, zaczął pochłaniać wszystkie książki bez wyjątku, a przedewszystkiém takie, których nie dawano malcowi do czytania. Jako pieszczoch, miał on wielką własną bibliotekę, złożoną z książek dziecinnych, ale w tych nie bardzo smakował z wyjątkiem rozmaitych „Robinsonów”. „Podróże Gulliwera” przeczytał w wydaniu lipskiém ilustrowaném, nieprzeznaczoném dla dzieci. Książki dziecinne przeglądał niemal z musu, albo dla ukrycia pod niemi dzieł pokryjomu wydobytych z pięknéj biblioteki rodziców. Wybiérał przedewszystkiém utwory fantazyi: poezye, powieści, dramata; niekiedy jednak nie pogardzał i strawą poważniejszą: podróżami i historyą; co więcéj, ukradkiem przeczytał kilka tomików „Dykcyonarza filozoficznego” Woltera, nie wiele z tego naturalnie zrozumiawszy. Ponieważ w domu panował bałwochwalczy kult dla Napoleona I-go, czytał więc chłopiec z gorączkowém rozmiłowaniem się w przedmiocie historyę konsulatu i cesarstwa, a nawet wielkiéj rewolucyi francuskiéj. Poznał dzieło Thiersa i prawie wszystkich owoczesnych pamiętnikarzy, opisujących dzieje „małego kaprala”, a zarazem „boga wojny”. Uwielbienie atoli nie było u chłopca tak bezwzględne, żeby nie dopuszczało cienia krytycyzmu, czytywał bowiem również chętnie pamflety na Na-

poleona; zachwycały go np. „Jamby” Augusta Barbier, dotkliwie chłoszczące ambitnego „korsykanina”.

I literatura dramatyczna francuska i polska nie była mu obcą już w latach chłopięcych: znał Moliera, Regnarda, Pirona i innych mniéj głośnych komedyopisarzy; utwory Fredry, Korzeniowskiego i Skarbka widywał nawet na scenie amatorskiéj; starsze bowiem rodzeństwo jego, krewni i znajomi zabawiali się często w teatr, a malec siadywał na próbach, czasem nawet spełniał czynność suflera. Natomiast Goethe, Schiller i Szekspir byli mu w owych czasach nieznani; zabiérał się wprawdzie kilkakrotnie do czytania dzieł dramaturga angielskiego w przekładzie Guizot'a, zawsze przecież tak się nieszczęśliwie składało, że mu je odbiérano.

Bądź co bądź, wrażeń silnie na umysł działających nie brakowało, jak widzimy; a nadmierne wytężenie ducha osłabiło organizm fizyczny. Sarnecki był w owéj dobie wątły — co tak trudno wyobrazić sobie, znając dzisiejszego tłuściocha — melancholijny, lękliwy, lecz hardy: o nic nikogo nie prosił i przed nikim nie uginał karku. Matka i babka psuły go; ojciec surowy, a nawet despotyczny względem innych, dla niego był wyjątkowo pobłażliwym; nigdy go nie uderzył. To téż syn czasami ośmielał się wdawać z nim w dysputy o Napoleonie. Źle na tém wychodził, gdyż ojciec obrażony nie przemówił do niego czasami w ciągu całych tygodni ani razu.

Wykształcenie młodego Zygmunta, z powodu częstéj nieobecności ojca w domu, szło zygzakiem, stosownie do chwilowych usposobień i upodobań chłopca; żadnego tu nie było systemu, ani metody; Zygmunt dowiadywał się mnóstwa rzeczy, a niczego się nie uczył porządnie; wiedział wiele, a umiał naprawdę bardzo mało. Guwerner jego, Komorowski, zadanie swoje traktował po dyletancku; umarł na jego ręku, kiedy Zygmunt miał lat dziesięć. Pomyślano wówczas o szkole.

Zawieziono Zygmunta najprzód do Odesy, uprzywilejowanego miejsca nauki dla paniczów tamtych okolic, i umieszczono na pensyi Jana Sowińskiego, klasyka, tłómacza Lukrecyusza (w rękopiśmie), znanego autorka dziełka „O uczonych Polkach”, mającego za żonę siostrę Józefa Korzeniowskiego. Tu kształcił się daléj w kierunku literackim, ale nauki systematycznéj nie pobiérał; poznawał poezyę grecką i rzymską w przekładach, czytał dużo po francusku i po polsku; wtedy zaznajomił się z dziełami Krasińskiego, Słowackiego, któremi tak się przejął, że miał zawsze na zawołanie jakieś piękne ich wyrażenie, oraz z utworami Wiktora Hugo, którego dramata zachwyciły go. Z niemiecką literaturą i w Odesie mniéj się spoufalił.

W r. 1852-im, kiedy chłopiec kończył rok piętnasty, zawiózł go ojciec do Warszawy i umieścił na pensyi u znanego botanika Jerzego Aleksandrowicza. Zygmunt zdał egzamin zaledwie do klasy III gimnazyum realnego, nie był bowiem dostatecznie przygotowany ani z języka ruskiego, ani z matematyki. Pod wpływem Aleksandrowicza oddał się z ogromnym zapałem nauce botaniki, herboryzował zapamiętale, studyował pilnie i tyle przyswoił sobie wiadomości, że mógł czasami zastępować nauczyciela. Ale upodobanie to rychło minęło, a zaczęły się natomiast ujawniać zdolności literackie. Ćwiczenia polskie pisane dla siebie i dla kolegów zrobiły mu pewną sławę w gimnazyum. Wszyscy z Piotrem Skrzypińskim i Tomaszem Kurhanowiczem na czele wynosili jego talent. Sarnecki zaczął wydawać pisaną gazetę, która dostawszy się do rąk dyrektora Łyszkowskiego została skonfiskowana.

W r. 1856-ym F. H. Lewestam, J. K. Gregorowicz i Józef Pracki nabyli od Aleksandra Przezdzieckiego „Gazetę Codzienną" i poszukiwali „tanich" spółpracowników. Lewestam, powiadomiony przez swych kolegów i Skrzypińskiego o zdolnościach wybitnych Zygmunta, zaprosił go do redakcyi i tym sposobem uczeń klasy V-éj, liczący 19 rok życia, został literatem i dziennikarzem, pisywał powiastki w stylu romantycznym i prowadził przez kilkanaście miesięcy feljeton tygodniowy pod nagłówkiem: „*De omnibus rebus et quibusdam aliis*". Aleksander Niewiarowski, pisujący natenczas głośne swe „gwiazdki" w „Gazecie Warszawskiéj" i umiejący wyzyskiwać ludzi bogatych lub mających wielkie sperandy, zbliżył się do młodzieńca i przy jego pomocy materyalnéj kupił w końcu r. 1857-go „Gazetę Codzienną" i oczywiście zatrzymał Sarneckiego jako spółpracownika. Drogo mu przyszło opłacić ten nowicyat dziennikarski. Wraz z Edwardem Leo pisywał tu na przemian feljetony tygodniowe p. t. „Listy Kantego do Kalasantego".

W r. 1858-ym skończył wreszcie Sarnecki gimnazyum. W rok potém „Gazeta Codzienna" przeszła na własność Leopolda Kronenberga, a jéj redakcyę objął J. I. Kraszewski. Ci wyprawili młodzieńca do Francyi i Włoch jako korespondenta. Był to czas wyrabiania się poglądów religijnych, społecznych i politycznych u 22-letniego młodzieńca. Po dobie reakcyi ogólno-europejskiéj, zaczęły dążności postępowe znowu śmieléj się ujawniać pod formą liberalizmu chrześciańskiego, który wyróżniał stanowczo ducha od litery, dogmata od osób, nie wierząc bynajmniéj, żeby wszelkie dobro i piękno mieściło się tylw wiekach ubiegłych, lecz przeciwnie sądząc, że coraz większe udoskonalenie wszystkich stosunków może być dziełem teraźniejszości.

i przyszłości. Świéży natenczas wypadek, wojna włoska, dawał sposobność wypowiadania się w tym kierunku. Liberalizm chrześciański pozwalał na gorące sympatyzowanie z myślą wyzwolenia i zjednoczenia Włoch i na potępianie dążności duchowieństwa do utrzymania władzy świeckiéj papieża. A stąd znowuż wynikły: krytyka wieków średnich w zestawieniu z czasami nowożytnemi, spory o znaczenie rozumu indywidualnego w przeciwieństwie do tradycyonalizmu, nowa ocena znaczenia poezyi romantycznéj i t. p.

Sarnecki zaraz w pierwszéj korespondencyi swojéj do „Gazety Codziennéj" z Paryża, 10 listopada 1859 r., pisząc entuzyastycznie o Wiktorze Hugo, zaznaczył swój pogląd na romantyzm francuski i niemiecki, wyróżniając go od polskiego. Mówiąc o zapale romantyków obcych dla średniowiecza, tak swe zapatrywanie sformułował: „W uwielbieniu tém upatrujemy tylko olśnienie chwilowe, poetyczny zachwyt na widok twardych postaci z przeszłości, na pozorną świetność feodalizmu. Młode oczy nie patrzyły na dno dziejowe téjże epoki kasków, zbroi i wielkich cnót indywidualnych, nie umiały postrzedz, że tym rycerzom z krzyżem na piersi lub tarczy brakło krzyża w sercu, że druga połowa téj średniowiecznéj ludzkości zgnieciona wiła się u stóp pierwszéj. Romantyczna poezya w literaturze prawie wszystkich ludów europejskich, budząc się do życia, wpłynęła na tę skałę sterczącą pod wodami postępu i rozbić się na niéj musiała. U nas tylko brak feodalnych tradycyi uratował ją odrazu; u nas wielki mistrz zapuściwszy sieci w głębi Świtezi jeziora, wydostał z wód dziewicę poświęcenia, męczenniczkę z własnéj woli. Podania ludowe o malinach stworzyły w literaturze naszéj ludową Lady Macbeth, Balladynę krwawą, — a naszymi romantycznymi rozbitkami są tylko historyczni powieściarze, biorący treść do swych prozaicznych poematów i dramatu z najbliższéj nas przeszłości, przeszłości, w któréj chcieliśmy chorobliwy feodalizm zachodni zaszczepić na zdrowym pniu słowiańskim. I dlatego to ogół u nas niesympatycznie przyjął podobne objawy, wtedy gdy w Niemczech przeciw fałszywéj romantycznéj szkole odezwał się tylko szyderczy głos Heinego."

Nie wchodząc w rozbiór twierdzeń autora, odnoszących się do „powieściarzów historycznych", w którém to wyrażeniu miał niewątpliwie Sarnecki na myśli głównie Henryka hr. Rzewuskiego, należy jeno zaznaczyć liberalne i demokratyczne stanowisko młodego korespondenta, przykładającego miarę społeczną do zjawisk literackich i artystycznych. Że takie przykładanie miary społecznéj do naszéj zwłaszcza literatury uważał Sarnecki za obowiązek, to wypowiedział wyraźnie w innéj korespondencyi (z 22 stycznia 1860 r.) z okoliczności opisu

zwiedzanych przez siebie galer genueńskich. „Długo krytykowano— pisał tu — i po dziś dzień krytykują surowo cnotliwi recenzenci zbrodnicze charaktery romantycznych postaci, z których autorowie wielu powieści tak chętnie tworzą swój ulubiony personaż. I sędziowie i sądzeni mają tu względnie racyę. Pierwsi zasługują na poszanowanie, jeśli bronią piękna nieoszpeconego żadnéj hańby trądem; drudzy, jeśli dla tego samego bóstwa czują głęboką cześć i rozpościerając tła z naturalnych cieni, nie dbają jeno o to, aby jasność ukochanego ideału widomiéj i jaskrawiéj wystąpiła z obrazu, objawiła się w utworze. Artysta-pisarz, szczególniéj u nas, winien koniecznie wskazać choćby w najodleglejszéj perspektywie swego dzieła nieskalane światło moralnéj nadziei, idealne przeczucie chrześciańskiéj myśli, chociażby do tego błyszczącego ogniska potrzeba było wieść czytelnika przez galerye niekształtnych ułomności społeczeństwa malowanych jaskrawym pędzlem, zmaczanym w żółci szyderstwa. Lekka literatura francuska, mniejsze od polskiéj nosząca na sobie obowiązki moralnéj tendencyonalności (!), błądząca wielokrotnie po bezdrożach, w celu wynalezienia nowego toru dla rozwijającéj się sztuki, schodziła często do galer, do tego brudzącego czysca, wynalezionego przez kodeks karny. Zżymała się na to krytyka, gniéwali się rozsądni i uczciwi ludzie; mimo to, nie można kroku tego bezwzględnie potępić, bo korzyść jednakże uwieńczyła usiłowania (na nieszczęście z pogwałceniem niektórych praw estetyki i dobrego gustu), odkryła bowiem prawdę w zbrodni, odarła ją z poetycznego uroku, z tego spadku po ś. p. feodalnych pojęciach, wałęsających się jeszcze tu i owdzie po świecie" („Gazeta Codzienna", 1860, N. 31).

Poprzestanę na tych przytoczeniach, zostających w najbliższym związku z literaturą i artyzmem, chociażby można znaléść sporo zajmujących poglądów na różne kwestye polityczne, religijne i dziennikarskie w tych korespondencyach młodzieńca, który ze świéżą wrażliwością przebiegał Francyę i Włochy aż do Neapolu, starając się z różnorodnych objawów życia zdać sobie sprawę rozważną, by się spostrzeżeniami swemi podzielić ze społeczeństwem.

Powróciwszy do Paryża, zapragnął uzupełnić swoje wykształcenie. Zapisał się jako wolny słuchacz na wykłady w Sorbonie i Kolegium francuskiém. Wybrał kilka kursów z nauk przyrodniczych, ale niebawem, folgując właściwym swoim upodobaniom, porzucił je dla słuchania kursów literatury i historyi, zaznajamiając się równocześnie bliżéj z dziennikarstwem francuskiém i z towarzystwem polskiém. Zbliżył się naówczas do Seweryna Ełżanowskiego, którego poglądy podzielał, i wspólnie z nim rozpowszechniać się je starał w czasopi-

śmiennictwie. Do kraju często zaglądał, lubo zazwyczaj na krótko, a przebywając w różnych stronach, porobił ważne znajomości, jak np. z głośnym filozofem Karolem Libeltem, który go serdecznie polubił, lub z Kazimierzem Jarochowskim, który chciał zrobić z niego historyka. Nauczył się wówczas po włosku i wszedł w stosunki z wybitnymi przedstawicielami odrodzenia Włoch: Correnti, Mordini, Ferrari i inni mniéj znani okazywali młodzieńcowi wiele przyjaźni. Dostawszy majątek od ojca w r. 1862-im ożenił się i wziął w posagu znaczny majątek w Lubelskiém — Bychawę. Lecz nie przerwało to jego wycieczek zagranicę. W r. 1863-im przeważnie bawił we Włoszech, następnie przeniósł się do Paryża, gdzie żył wśród najwytworniejszego towarzystwa. W tym czasie zaciągnąć musiał znaczne długi, które odbiły się fatalnie na jego położeniu materyalném po powrocie do kraju w r. 1866, kiedy osiadł w Bychawie. Tu powstały pierwsze utwory dramatyczne Sarneckiego.

II.

Do twórczości dramatycznéj czuł nasz autor pociąg od lat młodocianych. Będąc w gimnazyum realném urządzał wraz z kilku kolegami przedstawienia amatorskie, jak to opowiada w noweli dyalogowanéj p. t. „Pierwszy mój dramat" (Zob. „Owale i profile", Lwów, 1884, str. 67—83). „Gościnne salony cioć i kuzynek — mówi — były dla nas otwarte. Wystawiliśmy w nich „Zemstę" i „Barbarę Radziwiłłównę" wobec rodziców, krewnych, znajomych — słowem, wobec zwykłéj publiczności, oklaskującéj zapał studenckiéj deklamacyi. Po sutych, nieszczędzonych brawach i pochwałach, widzowie nasi tańczyli lub grali w wista, nie myśląc ani o nas, ani o Auguście, Kmicie, Tarnowskim. To nam nie wystarczyło; pragnęliśmy Ateńczyków warszawskich zwrócić koniecznie o c z a m i n a s ł o ń c e. Czuliśmy potrzebę sztuk własnych i słuchaczy świeżych, wrażliwych — nie zjadaczy chleba, nie grających w wista, dających nam pół duszy i to tylko na chwilę... Między kolegami naszymi znajdował się syn bogatego cieśli, Niemiec. Ojciec, jeszcze niemal zupełnie po polsku nie umiał; syn zaś, z nami zbratany, nie chciał już znać języka starego Kahla [1]. Łatwo wytłómaczył niezbyt inteligentnemu rodzicowi, co za zaszczyt nań spadnie, jeśli pozwoli, aby panicze — należący do szlacheckich,

[1] W druku jest: F a h l a. Przywracamy nazwisku właściwe brzmienie, według wskazówki autora.

rodzin — założyli teatr w jednéj z szop, przeznaczonych na składanie budowlanego materyału, obrobionego plebejuszowskim toporem jego nadsprewskich czeladników... Wiluś imponował papie... Po krótkim oporze mieliśmy gmach darmo. O urządzeniu wewnętrznem, o deskach widowni, o budce suflera i amfiteatru dla widzów pomyślał także Kahl junior... Napisałem dramat ludowy p. t. „Brat żebrak"... Ani jednéj sceny już z niego nie pamiętam...

Przedstawienie odbyło się przy napływie licznéj ludności rzemieślniczéj, zwabionéj zapowiedzią, że w antraktach będzie roznoszona herbata z arakiem. Nie dociągnięto wprawdzie do końca, bo któryś z robotników zapalił papiérosa, a stary Kahl, obawiając się o swoję szopę, zgromił go ostro, co wywołało zgiełk i zamieszanie, które grę przerwały. Nie zniechęciło to jednak do prób dalszych, w których wyrabiała się pomysłowość i praktyczna znajomość warunków scenicznych.

Od tych młodzieńczych zapędów upłynęło lat 10 zgórą, zanim Sarnecki zabrał się do napisania pierwszéj swojéj komedyi. Przez ten czas poznał życie wielostronnie, bywał na przedstawieniach w różnych miastach, a przedewszystkiém w Paryżu, zaznajomił się dobrze z nowszą komedyą francuską, przyswoił z niéj sobie pewne strony techniczne, lubo pod względem ducha i dążności pozostał na gruncie swojskim, kréśląc w pierwszych komedyach swoich („Zemsta pani hrabiny", „*Febris aurea*", „Bezinteresowni", „Kalecy") takie postaci, jakie spotykał w życiu za czasów pierwszéj młodości, kiedy wrażliwość była najsilniejsza.

Widać to szczególniéj w przedstawieniu charakterów młodzieży. Gimnazyum realne, założone w Warszawie w tym samym roku 1844, kiedy rozpoczęto budowę kolei warszawsko-wiedeńskiéj, w ciągu kilkunastoletniego istnienia swego przysposobiło krajowi pewną liczbę młodzieńców, podkształconych w kierunku technicznym, którzy następnie rozwinąwszy swą wiedzę w zakładach specyalnych zwykle zagranicznych, poczęli skromnie spółzawodniczyć z cudzoziemcami, którzy we wszystkich nielicznych zresztą jeszcze wtedy fabrykach i przedsiębiorstwach przemysłowych panowali. Był już w nich zaczątek realistycznego na świat poglądu, tak różny od uniesień romantycznych; ale w ukształceniu ich odgrywała jeszcze bardzo dużą rolę religia, poezya romantyczna, tradycye rycerskie, tak, że choć w słowach nieraz bardzo daleko się zapędzali głosząc hasła praktyczności, w postępowaniu nader często okazywali się idealistami i romantykami.

Naturalnie, w dalszém życiu ten entuzyazm poetyczny chłódł w zetknięciu z rzeczywistością; niewielu jeno mogło zachować idealną

czystość natchnień i pragnień młodocianych. Ci, co na utrzymanie pracować musieli, zdobywali sobie z trudem środki po temu. Majętni gonili za rozrywkami, marnowali czas, zdrowie i pieniądze na bruku paryskim, zawiązując rujnujące stosunki z tameczną złotą młodzieżą. Jedni atoli i drudzy zatrzymywali najczęściéj serce poczciwe i popędy szlachetne, zwłaszcza gdy owiani zostali atmosferą rodzimą. Były to natury bujne, popędliwe, lekkomyślne, krnąbrne, lecz nie zepsute do gruntu.

Już w pierwszéj komedyi Sarneckiego: „Zemsta pani hrabiny”, napisanéj w Bychawie r. 1867, a przedstawionéj w Warszawie w dwa lata potém, znajdujemy dwu przedstawicieli takiéj młodzieży: Wacława i Janusza, oraz ogólną jéj charakterystykę w zakresie stosunków miłosnych, podaną przez ich znajomego Francuza Villaret, z którym w Paryżu spólnie się bawili.

Villaret, trzpiot dowcipny i zręczny, mówi do Wacława, mając nie tyle jego samego, ile jego spółziomków na względzie: „Doprawdy jest coś czarownego w tych waszych miłostkach, coś, co może pogodzić z sielankami łacińskich i nowożytnych poetów. Bo—proszę państwa—przyjeżdża na wieś człowiek prawie skończony, który zna geografię paryskiego Loretu lepiéj, niż drogę do powiatowego miasteczka, który wytrzymał atak *à fond* przypuszczony przez niezwyciężony batalion, pod wodzą niezwyciężonéj, złotowłoséj wyspiarki, który nie poddał swego serca, nawet honorowéj kapitulacyi nie opłacił kieszenią — zdaje się, że można o nim wyrzec z dumą: *veni, vidi, vici,* a on tymczasem *se laisse rouler* pierwszéj lepszéj parafianeczce dlatego, że ta skromnie oczki spuszcza, a ukradkiem na niego spogląda, że odpowiada na jego francuskie grzeczności, piekąc rak po raku, i proszona, aby zagrała, fałszuje niemiłosiernie, tłukąc czerwonemi paluszkami o klawisze fortepianu”.

Ale dowcipny Villaret sam na sobie doświadczył czaru, jakie wywiérają te panienki z wiejskiego dworu, w pierwszéj młodości tak pełne poezyi i serca. Fałszowanie w muzyce im się przebacza, ich skromność podbija i przemawia do duszy, która widziała czelność i bezwstyd stołecznych piękności różnych światów.

Wacław po części przynajmniéj przeszedł tę drogę, którą opisał Villaret. „Wałęsałem się—mówi on o sobie, jak wszyscy zresztą jego stanowiska młodzieńcy mogliby powiedzieć — po wszystkich miastach europejskich; bawiłem się w Paryżu, nudziłem w Berlinie, w Wiedniu byłem jak u siebie, karnawałowałem w Rzymie, marzyłem w Neapolu”. Poznał życie towarzyskie i towarzystwo wszystkich wyliczonych

tu grodów, miał zapewne niejedną przygodę miłosną, dał się pociągnąć w sieci sprytnéj a bogatéj i robiącéj piéniądze wdówki, hrabiny Aurory, ale wyniósł stamtąd serce swobodne, świéżość uczuć, zdolność kochania. Napozór zimnym był, obojętnym i łagodnym, bo wychowanie i obycie się ze światem zrobiło z niego gentelmana, jak tysiące innych z jego sfery. W głębi atoli gorzały płomienie; gdy ujrzał piękne dziewczę polskie, siostrę przyjaciela, pokochał je namiętnie, „wierzył, marzył, idealizował przedmiot swojéj miłości przez trzy miesiące, sam w sobie rozmyślnie podniósł temperaturę sentymentu do 40 po nad zero", a gdy doznał zawodu, szukał śmierci w pojedynku. Natura zapalna, lekkomyślna, lecz drżąca na samą myśl o podłości.

Książę Janusz, znający tylko dwa rodzaje zabawy: grę hazardowną i wyścigi konne, żyjący albo w stajni, albo przy stoliku karcianym, zobojętniały, zdaje się, na wszystko, żeni się dla piéniędzy z podstarzałą kokietką, ową hrabiną Aurorą, która w tydzień po ślubie wyprawiła go z buduaru do stajni i traktowała niemal jak lokaja, okazuje przecież w końcu poczucie męskiéj godności, szlachetność uczuć, gotowość dopomożenia dobréj sprawie, psując intrygę swéj żony, która starała się Wacława wyrugować z serca Julii, a swém stanowczém postępowaniem pozyskuje w końcu szacunek swéj połowicy, korzącéj się przed jego energią.

Jeszcze wybitniéj i szczegółowiéj te dobre skłonności młodzieży ukryte pod namułem rozmaitych skaz powierzchownych, widzimy przedstawione w drugiéj komedyi Sarneckiego: „*Febris aurea*", napisanéj w Bychawie r. 1869, a danéj w Warszawie r. 1875. Mamy tu trzech młodzieńców, związanych ze sobą koleżeństwem, a reprezentujących trzy warstwy społeczne: szlachecką — hrabia Juliusz, ludową — Maurycy Kostrzewa, mieszczańską—Alfred Krot.

Juliusz wychowywał się na stopę bogatych paniczów, chociaż majątek jego nie wskutek złéj woli opiekuna, lecz nieumiejętności tylko i różnych drogich zamiłowań, topniał coraz bardziéj, tak, że gdy młodzieniec ukończył studya techniczne, nie posiadał już ani grosza gotówki. Czy się tém zmartwił lub zaniepokoił? Bynajmniéj. Ufny w swe siły i zdolności, nietylko nie robił żadnych wymówek opiekunowi, lecz nadto obiecywał siebie i jego utrzymać własną pracą. A gdy pokochał córkę człowieka zbogaconego środkami nieprawemi, wyrzekł się możności posiadania ręki Leokadyi, ażeby nie być zmuszonym brać wraz z niem brudem skalanego grosza. Na naleganie ojca panny, kochającego córkę bez granic, odpowiada wprost, że dla niego taki tylko piéniądz ma wartość, o pochodzeniu którego z dobrego źródła jest prze-

konany, że chciałby, by dawny staroszlachecki zwyczaj pytania: „kto cię rodzi”, wskrzeszony został dla pieniędzy, kto je rodzi? praca i cnota, czy lichwa i występek? A gdy dla uratowania życia Leokadyi, która bez pamięci zakochała się w hrabi, ten decyduje się na ożenienie, to za pierwszy warunek kładzie, żeby żadnego nie miała posagu... nawet wyprawy, a od ojca jéj żąda, aby zaraz po ślubie zrealizował cały swój majątek, wyjechał raz nazawsze zagranicę i nigdy w życiu nie starał się z córką swoją zobaczyć; zmiękczony w końcu strasznym żalem starego, robi mu nadzieję, że jeśli całym swoim majątkiem zdoła przebłagać Boga, to wówczas będzie mógł powrócić i zamiast jednego, będzie miał dwoje dzieci. Wchodzą tu w grę, jak widzimy, bardzo silne uczucia. Juliusz gotów raczéj umrzéć, aniżeli odstąpić od swoich warunków; tak wielkie, tak wzniosłe ma wyobrażenie o potrzebie czystych rąk w społeczeństwie. Stary Gałdziński zaś, człowiek przewrotny i bez sumienia, kocha przecież córkę tak namiętnie i tak idealnie, że umié się wznieść na wyżyny poświęcenia, tłumi w sobie miłość własną, byle tylko widziéć Leokadyą opromienioną szczęściem. Czy taka scena, jaka się rozegrała między Juliuszem a Gałdzińskim, odbyła się kiedykolwiek w rzeczywistości? Nie śmiałbym na to pytanie odpowiedziéć ani twierdząco, ani przecząco, lecz sądzę z różnych analogii życiowych, że jest możliwą, a tém samém wolno było artyście dramaturgowi wprowadzić ją do swego utworu, choćby tylko jako symboliczną wskazówkę.

Maurycy Kostrzewa pochodził z chłopów, przebył ciężką szkołę życia, zdobywał z trudem naukę, wykształcił się na architekta i oczywiście nie gardził pieniędzmi, ale do ich osiągnięcia dążył tylko drogą uczciwą, drogą pracy, a pogardzał tymi, którzy się krzywdą ludzką bogacili. Nie znienawidził żadnéj warstwy społecznéj, nie popisywał się swojém pochodzeniem, ani się go nie wstydził. Mówił o niem w sposób naturalny, gdy okoliczności tego wymagały. W czasach, w których, jako dorosły i wykształcony, wystąpił na widownię społeczną, chłopomaństwo było w modzie; ale on nie szukał chluby ze swego pochodzenia, uważając to za rzecz równie śmiészną, jak wynoszenie się z powodu starożytności swojéj. „Dla ciebie indywidualnie—mówił z tego powodu do hr. Juliusza —może być bardzo przyjemnie wiedziéć, że twój ojciec, dziad i pradziad, bohatérowie i cnotliwi ludzie, w rycerskiéj pracy dobijali się pierwszych krzeseł w senacie, zostawiając ci w spuściźnie przykład i utorowaną drogę; tak jak mnie miło jest pomyśléć, że praca rolna całego długiego szeregu moich przodków, praca, nie tylko potem, ale niejednokrotnie i krwią

ociekła, wytworzyła we mnie ten hart duszy, tę siłę muszkułów, tę szlachetność i dumę... nową, jak ja sam jestem nowym człowiekiem. Ale jak twoje tak i moje w tym razie uczucie, jest tylko kwestyą miłości własnéj, która nic nie znaczy dla drugich. Dla moich współczesnych pozostaję ja tylko; ja zatém powinienem się starać być takim człowiekiem, jakiego rozumne i dojrzałe społeczeństwo potrzebuje". Zapewne w czynach starał się spełnić to, co wyrażał w słowach, bo w jego zachowaniu się widać szczerość i zamiłowanie prawdy. Mało on w komedyi jest czynnym, a jego miłość dla Leokadyi, uczciwa i szlachetna, nieodwzajemniona, przedstawia go nam ze strony sympatycznéj.

Największą warstwę zmateryalizowania znać na wygadanym i bardzo ruchliwym w komedyi, lubo nie wpływającym na jéj rozwinięcie, Alfredzie Krocie. Syn milionowego mecenasa, po śmierci ojca pojechał z całą gotówką do Paryża i wkrótce, przy pomocy pięknéj panny Pied de Mouton, stawszy się jednym z najszykowniejszych bulwarowiczów, z przed *Café des Italiens*, ujrzał się zupełnie ogołoconym. Trzeba się było wziąć do pracy; studya nie przypadały mu do gustu, wolał łatwiejszy sposób zarobku. Połączył się z jakimś „kulisyerem" w celu wyszukiwania dla niego interesantów w gronie bogatych współziomków podróżników. Towarzysz jego był energiczny i rzutny w przedsięwzięciach, on genialnie przy nim się wyrobił, a klienci, zadowoleni doskonale prowadzoną grą na giełdzie, starali się sowicie zabiegi ich nagradzać, tak, że Alfred, nie odmawiając sobie zresztą żadnych przyjemności i nie rozstając z panną Pied de Mouton, potrafił uskładać sto tysięcy, z któremi przyjechał do Warszawy i daléj interesa bankierskie prowadził. Jeżeliby go sądzić z słów jego, to nie cenił on nic wyżéj nad pieniądze, w uczciwość ludzi nie bardzo wglądał, w sentymenta do interesu niepotrzebne nie bawił się; a jednakże z postępku jego, opowiedzianego przez Juliusza widać, że więcéj szafował wyrazami, aniżeli istotnie robić zamyślał. Gdy ów kulisyer, powierzony sobie przez jednego z klientów, zaprezentowanych przez Alfreda, kapitalik w chwili jakiéjś stagnacyi dochodowéj, zaprzepaścił u stóp tancerki wielkiéj opery, to Alfred po gwałtownéj scenie z towarzyszem, szlachcicowi zwrócił z własnéj kieszeni pieniądze, a spółkę z łotrem zerwał.

Jeżeli się szerzéj rozpisałem o młodzieży w dwu pierwszych komedyach Sarneckiego, to nie z téj wcale przyczyny, jakobym jéj przedstawicieli uważał za postaci najlepiéj artystycznie stworzone — pod tym bowiem względem są inne figury w tych komedyach daleko

lepsze — lecz dlatego, że mamy tu psychologię młodego pokolenia, do którego sam autor należał, i że w niéj są pewne rysy świéże, jakich nie znajdziemy w utworach Fredry, Korzeniowskiego, lub Chęcińskiego, t. j. bezpośrednich poprzedników naszego komedyopisarza. Starałem się właśnie rysy te uwydatnić, ażeby wskazać, co Sarnecki przynosił nowego.

Mniéj cech nowych widzimy w młodych pannach. Julia (w „Zemście pani hrabiny"), córka „staréj waryatki, któréj modne pojęcia w głowie przewróciły", jest dziewczyną niezdecydowanego charakteru; płocha, lekkomyślna z pozoru, lubiąca wystawne życie, marząca o bogatém zamążpójściu, na wiadomość, że hrabia Janusz stracił majątek, zrywa za podszeptem hrabiny swój związek z tym, którego sama nie wié, czy kocha; pod naciskiem matki, gotowa oddać rękę staremu bankierowi, którego nie lubi, a wreszcie czuje się szczęśliwą, gdy Janusz wraca. Z poprzedniego jéj zachowania się sądząc, trudno rokować Januszowi szczęśliwe pożycie, ale kto wié? Autor, za przykładem wielu swych poprzedników, kładzie nacisk na aforyzm, że „nikt wszystkich tajemnic serca kobiéty dotąd nie odgadł".

W „*Febris aurea*" mamy dwie panny: Leokadyę i Teodorę. Leokadya, córka zbogaconego nieprawie człowieka, jedném tylko żyje uczuciem, po za którém nic dla niéj nie istnieje—miłością do hr. Juliusza. Teodora, guwernantka, Francuzka, szczwana, zmysłowa, przebiegła, jest jedną z najżywszych postaci Sarneckiego. Śmiała, zręczna, dowcipna, żadnych skrupułów moralnych nie mając, kokietuje wszystkich: i niedorosłego księcia Lili, którego jest niby przewodniczką i starego Gałdzińskiego i kogo tylko spotka, pragnąc naturalnie pozyskać dla siebie jaknajlepsze warunki. Przerachowuje się, ale ani miny i swobody towarzyskiéj nie traci.

Starsze kobiéty równie niepochlebnie są odmalowane w dwu pierwszych komedyach Sarneckiego: zacnéj matrony nie ma w nich zgoła. Są natomiast kobiety próżne i płytkie, jak pani Grodzicka, są spekulantki o bardzo skromném prowadzeniu się, jak hrabina Aurora, grająca na giełdzie i zostająca w ścisłych stosunkach z bankierem Goldbergiem, są spekulantki pobożne, klerykalne, zcudzoziemczałe, jak hrabina Skarbnicka.

Ze starszych mężczyzn wydatnieje Goldberg, który obok pyszałkowatości śmiésznéj a zarozumiałéj, obok tchórzostwa, obok żyłki intryganckiéj, ma jeszcze ten rys, że, starając się o rękę Julii, doznaje czasami takiego uczucia, iż dlatego chciałby, ażeby została jego żoną, by ją upokarzać codziennie, by „kruszyć jak pałace ze szkła i porcela-

ny, wszystkie nadzieje jéj serca", by „deptać po niém, jak po fałszywym bankocetlu".

Drugą figurą wydatną jest Gałdziński. Małym chłopcem wzięty do służby dworskiéj przez dziedzica, przy synach tegoż, przygotowujących się do szkół, nauczył się czytać i pisać, a polubiony przez swych towarzyszy, za ich staraniem wszedł do gimnazyum i skończył pięć klas w mieście powiatowém. Przyjął następnie obowiązek pisarza prowentowego. Powierzono mu nadzór gorzelni. Widok bogactw możnego żyda, dzierżawcy propinacyi, stał się dla niego bodźcem do zrobienia piéniędzy. Jedna z córek arendarza pokochała się w nim, dała się wykraść, ochrzcić i wyszła za niego. Rodzice wyrzekli się jéj, ale pomarli na cholerę. Gałdziński zagarnął kilkadziesiąt tysięcy. Posłużyły mu one do zadzierżawienia znacznéj propinacyi. W kilka miesięcy energiczny spekulant zebrał ogromne zyski. Wielkie zakupy okowity po niskich cenach pozwoliły mu rozwinąć handel na rozległą skalę. Wyniósłszy się z kraju, udał się do Galicyi i tam „umiał niejedną rybkę w mętnéj wodzie ułowić, niejeden tonący kapitalik, wśród ogólnéj powodzi, tylko dla siebie uratować". Wrócił wreszcie z Galicyi i w nowéj miejscowości daléj swe spekulacye prowadził, nie pogardzając żadnym środkiem. Jedno miał tylko uczucie prawdziwe, miłość dla córki, i to uczucie stało się dla niego karą najsroższą.

Jeżeli dodamy jeszcze rozsądnego rezonera sztuki, doktora Ranowskiego, dwie dobrze nakréślone figury żydów: bogatego a uczciwego kupca Chaima i przebiegłego faktora Szlomę, oraz pijaczynę ekonoma Szałwińskiego, to personel męski wyczerpiemy.

Kompozycya jest najsłabszą stroną dwu pierwszych komedyi Sarneckiego. Dyalog wogóle prowadzony jest żywo, sceny same w sobie wzięte, niewiele mają usterek, ale motywowanie i rozwój akcyi są słabe. W „Zemście hrabiny" nie rozumiemy zgoła powodów pojedynku Juliusza z Gustawem. Jakto, tak szlachetny młodzieniec jak Juliusz, wyzywa swego przyjaciela serdecznego, brata byłéj narzeczonéj, za to, że siostra zerwała? Na to potrzeba mieć zupełnie inne, niż Juliusz zasady i inny charakter. A z tego pojedynku przecież wynika cała dalsza akcya. W „*Febris aurea*" z powodu znacznéj liczby osób, z których kilka żadnego zgoła udziału nie bierze w akcyi, sceny są traktowane raczéj epicznie, niż dramatycznie, charaktery poznajemy częściéj z opisu i opowiadania, niż z zachowania się względem siebie nawzajem. Skarb zaś jakoby zamurowany w piecu, o którym wiadomość, pochwycona przez Gałdzińskiego, staje się powodem ubiegania się o nabycie wioski, nietylko przez tego bogacza, lecz i przez innych,

zaciekawionych, dlaczego ostrożny spekulant dawał cenę wyższą nad wartość, jest, co prawda, słabo uprawdopodobnionym motywem.

III.

Po ogłoszeniu powyższych komedyi, Sarnecki, straciwszy majątek, założył wraz z Texlem teatr w Lublinie, potém w r. 1871 objął dyrekcyę teatru w Poznaniu, na którój wyszedł bardzo nieszczęśliwie. Przeniósł się do Warszawy i zaprzągł do ciężkiéj pracy dziennikarskiéj w „Wieku". W r. 1877 założył gazetę codzienną „Echo", którą wydawał przez lat pięć. Następnie wyjechał do Galicyi, bawił czas jakiś we Lwowie, w Krakowie i Paryżu, pisując dużo do wielu pism polskich i francuskich. Od r. 1888 przebywa w Krakowie, wydając bardzo staranny pod względem artystycznym dwutygodnik ilustrowany „Świat", walcząc wytrwale z obojętnością czytelników galicyjskich.

Zajęcia dzienikarskie, praca dla chleba nie pozwalały Sarneckiemu oddawać się swobodnie twórczości dramatycznéj. Więcéj on w tym czasie napisał powiastek, szkiców i powieści, aniżeli komedyi, bo tamte łatwiéj było, jako rzeczy poczytniejsze, zużytkować w czasopismach i osobnych wydawnictwach. Jakoż wyszły w przeciągu tego czasu zbiorki zarysów drobniejszych p. t.: „Różni ludzie", „Owale i profile", „Nowele", oraz odrębne całostki: „Na ruinach", „Złote serce" (3 tomy). Jako powieściopisarz, celował Sarnecki głównie w opowiadaniu (narracyi), posługując się językiem wyrobionym, stylem gładkim, potoczystym, nieraz barwnym i dowcipnym. Jako „twórca dusz", mniéj był szczęśliwym; rysy zewnętrzne, wypadek, przygoda, zajmowały zwykle więcéj miejsca od malowidła głębi duszy. Ze wszelkich sfer i ze wszystkich stosunków brał on materyał, lecz zawsze najlepiéj odtwarzał salonowców i entuzyastów. Dowcip jego miał zawsze barwę wykwintniejszego towarzystwa i do odmalowania usposobień rubasznych nie nadawał się wcale [1]).

Do komedyi rwał się często; wiele utworów rozpoczął, ale kończyć ich nie miał czasu. Jakoż plonem z całego dwudziestolecia jest tu pięć rzeczy: libreto do opery „Konrad Wallenrod", opracowane wraz z Wł. Noskowskim; „Dworacy niedoli", „Słonecznik", „Urocze oczy", „Harde dusze".

---

[1]) O jednym ze zbiorów p. t.: „Nowele" (Warszawa, 1888) podało „Ateneum" (1889, I, str. 355—357) ocenę mojego pióra.

Najbardziéj scenicznym, najwięcéj w sobie zwartym jest utwór, przezwany przez autora poprostu „sztuką” w czterech aktach p. n.: „Dworacy niedoli” (drukow. w Warszawie, 1876). Tytuł może wyszukany, ale treść — pełna prawdy i wysokiéj dramatyczności. Idzie tu o stosunek pracodawców do pracowników w dziedzinie przemysłowéj. Umiéra prokurent domu przemysłowo-handlowego, na czele którego stoi p. Ignacy Zawilski, który uchodzi za wielkiego finansistę, ale w gruncie zgoła na interesach się nie zna, umié tylko sprytnie wynajdować zdolnych a uczciwych ludzi, co się całą duszą spełnieniem podjętego obowiązku zajmują. Zawilski jest w ogromnym kłopocie, co pocznie, kiedy mu donoszą, że prokurent, umiérając, dał wskazówkę, kto może jego miejsce zastąpić. Uznaje on całą słuszność téj wskazówki, jakby ją sam wynalazł, i odtąd, uspokojony co do przyszłości interesów, myśli jedynie, jakby dla ich dobra wyzyskać śmierć prokurenta, wynikłą z nadmiaru pracy. Jest on mistrzem tam, gdzie idzie o rozwinięcie świetnych dekoracyi, o teatralne uwydatnienie swego dobrego serca, swéj czci i uwielbienia dla pracowników sumiennych. Narazie zatém, starając się nadać jaknajwiększy rozgłos wszystkiemu, co przedsiębierze, ze czcią przyjmuje wdowę i córkę, naznacza im pensyę, trąbiąc za pomocą usłużnego redaktora w gazecie o dobrodziejstwach, jakie zléwa na rodzinę zmarłego prokurenta. Rozumié się, że to zainteresowanie się rodziną zmarłego byłoby objawem przemijającym, dla efektu jedynie wywołanym, gdyby nie podwójny stosunek dzieci Zawilskiego do téj rodziny, stosunek, zgoła przez szanownego szefa firmy nieprzewidziany.

Edmund, syn Zawilskiego, zajął się córką zmarłego prokurenta, Maryą, dziewczyną, pełną serdeczności, uczuciową, namiętną nawet, ale rozumiejącą trudność swego położenia i wolną od téj sztucznéj naiwności, jaką autorowie nasi zwykli przyznawać pannom dobrze wychowanym. Zachowanie się Maryi, które można zaliczyć do najlepiéj, najprawdziwiéj i najartystyczniéj przedstawionych dziewcząt w beletrystyce naszéj, zachowanie się, pełne uczucia i godności zarazem, powołało w Edmundzie do życia lepsze pierwiastki jego natury, kazało mu myśléć nie o zrobieniu z Maryi utrzymanki, lecz żony.

Prócz tego, córka Zawilskiego, Jadwiga, pokochała nowego prokurenta, Pawła Zagorę, a pokochała bez wzajemności, gdyż Paweł całą duszą kochał Maryę, lubo jéj uczucia swego słowami nie wypowiedział, pogrążając się coraz bardziéj w smutnym, choć zrezygnowanym poglądzie na świat. Według niego „na ogólnym społecznym obrazie błysk szczęścia, dla kontrastu tylko rozjaśnia czasem niektóre twarze”,

życie „dla wyjątkowych jedynie ludzi bywa radosném", a tło dla ogółu musi być „ciemném, ponurém", bo „wielki malarz... schował widocznie prawdziwą radość gdzieś... po za ramy doczesne". Spełniając ściśle swe obowiązki, miał on na oku całą rodzinę zmarłego przyjaciela, stał na straży jéj czci, nie dawał się brać na lep miodowych słówek Zawilskiego.

Ażeby uzupełnić czynniki główne tego dramatu, należy jeszcze uwzględnić charakter doktora Minowicza, sybaryty, sceptyka, mszczącego się na ludziach za ich słabości i za swój upadek moralny dotkliwym sarkazmem. Przyznawał się on do tego głośno, że mało ludzi cenił, wśród których praktykował, ale ponieważ i siebie nie stawiał zbyt wysoko we własnéj opinii swojéj, a lubił wygody, komfort, zbytek, łatwe rozrywki, wcale więc nie szukał ludzi cnotliwych i jako samolub, cieszył się wielce, że kółko, w którém żył, trochę było gorsze od niego, że mógł szydzić bezkarnie bawiąc się światową komedyą. Atoli i w nim tkwiły na samém dnie duszy popędy szlachetniejsze. Należał on do pokolenia, które miało za towarzyszy Juliuszów, Januszów, Maurycych.. Więc chociaż był początkowo przewodnikiem zepsucia dla Edmunda, wkrótce poczuł, że ten go w cynizmie prześcignął, lubo w tém się mylił, bo i Edmund nie był ostatnim nikczemnikiem.

Wśród takich to osób i ich uczuć rozgrywa się dramat. Zawilski, widząc coraz większe powodzenie w interesach, które zawdzięcza rozumowi i pracy Zagory, chciałby dzieci swoje połączyć z osobami bogatemi i wpływowemi bez względu na własne zamiary i usposobienia syna i córki. Edmund i Jadwiga, wychowani w rygorze, posłuszni dotąd skinieniu ojca, nie śmieją odrazu wystąpić przeciwko jego woli. Edmund ukrywa się ze swoją namiętnością, przemienioną następnie w szlachetne i czyste uczucie. Jadwiga, która długo była lalką tylko, nie mając prócz tego wzajemności, biernie i automatycznie słucha planów ojca. Edmund, wbrew woli Maryi, postanawia ją wykraść, by faktem dokonanym zaślubienia jéj zmusić ojca do uznania swego małżeństwa. Dopomaga mu w tém doktór, dając napój usypiający; ale ponieważ Zagora czuwa nad rodziną przyjaciela ciągle, więc się zamiar wykradzenia nie udaje. Ale Zagora nie jest już wrogiem Edmunda, odkąd się przekonał o szczerości jego uczucia względem Maryi; sam, stłumiwszy własne w swém sercu uczucie, postanowił dopomódz swym wpływem na starego Zawilskiego, by nie stawił oporu małżeństwu, zamierzonemu przez syna. Napróżno jednak. Wymowa jego nie zdołała przekonać ambitnego aferzysty, który, nabywszy długi Zagory, był pewny, że tenże interesów jego nie opuści, więc się nie lękał groźby po-

rzucenia służby. Wtedy Edmund postanawia dotychczasowe skryte działanie przemienić na jawne. „Opuszczę dom rodzicielski — powiada — potrafię pracować i żonę moją z jéj matką pracą własną utrzymam. Oświadczę to stanowczo memu ojcu, a jeśli nie zgodzi się, wypowiem mu posłuszeństwo". W téj chwili zjawia się ojciec, wzburzony strasznie i oporem syna i fatalnemi wiadomościami o niepowodzeniach finansowych. Wyzywa Edmunda, ażeby w oczy wypowiedział posłuszeństwo. Edmund zrazu mimowolnie cofa się, ale gdy ojciec pomimo przygnębienia, oświadcza, że choćby miał pójść z torbami, to nie pozwoli mu się ożenić z Maryą, Edmund z uszanowaniem, ale stanowczo odpiéra: „Przysięgam na honor, że poślubię, nawet bez twego pozwolenia, ojcze, jeśli nie raczysz mi go udzielić". Wówczas Zawilski zwraca się do córki i pyta, czy pójdzie za proponowanego sobie hrabiego; w odpowiedzi otrzymuje słowa: „Nie, papo, choćbyś za nieposłuszeństwo kazał mnie zamknąć do klasztoru". Doprowadzony do ostateczności, widząc wszystkich przeciwko sobie, wypowiada nienawiść dla wszystkich i ledwie że nie dokończył przekleństwa na dzieci. Wtém pada rażony apopleksyą. Stan duszy Zagory malują zdania, jakie wypowiada, biorąc książkę do ręki, gdy inni modlić się poszli: „Nie mogę czytać... Wiersze, jak czarne smugi chmur piorunowych, suną przed oczami, lub zapalają się, jak błyskawice ogniste, oświécając w duszy jakiś tajemniczy niepokój... I znowu ciemno! Pewno... tam, na górze... wyrokowi jakiemuś staje się zadość... Ha! litery tworzą wyrazy... wyrazy myśl: Bóg wyrzekł słowo: stań się, Bóg i zgiń wyrzecze!" Nadchodzi wiadomość o śmierci Zawilskiego.

W „Dworakach niedoli", tak samo jak w „*Febris aurea*", bardzo surowy sąd wygłasza dramaturg o koniecznéj karze na występnych. Gałdziński, za nieprawe nabycie majątku, pozbawiony ma być widoku córki; Zawilski, za swe obłudne postępowanie, za nieuwzględnienie prawdziwych uczuć swych dzieci, za pychę i zatwardziałość, ginie nagle, nie zaspokoiwszy swoich pragnień, nie przeprowadziwszy swoich planów. Nie często tak się dzieje w rzeczywistości, ale Sarnecki zupełnie świadomie daje taki obrót sprawom, przez siebie podnoszonym. W przedmowie do swoich „Prac dramatycznych" (Warszawa, 1880) powiada on: „Jakkolwiek nigdy nie przemawiam przez usta moich bohatérek i bohatérów; jakkolwiek pozostawiam im zupełną swobodę działania i myślenia po swojemu: w każdéj jednak niemal sztuce formułuję na nich pewien wyrok, który ma podpisać najwyższy sędzia... publiczność. Za surowość tych wyroków gniéwa się na mnie często Bliziński, doskonały kolega i szczery przyjaciel. On, jeśli nie unie-

winnia bezwzględnie wszystkich hultajów, to im przynajmniéj miłosiernie przebacza. Jako chrześcianin, na przebaczenie i ja zgodziłbym się niezawodnie, na uniewinnienie — nigdy. Przeciwnie, w każdéj niemal sztuce dopominam się o surowość opinii publicznéj; bez téj surowości bowiem nie widzę zbawienia społeczeństwa. Dlatego téż, chyląc głowę przed zdaniem sędziów krytycznych, pisałem daléj po swojemu, a pisałem nie dla dogodzenia próżności autorskiéj, bo brałem tylko wtedy pióro do ręki, gdy mnie coś bardzo oburzało lub boleść sprawiało."

To surowe stanowisko etyczne znamionuje rzeczywiście dramatyczną twórczość Sarneckiego, wyróżniając ją od przejętego lekkomyślnym, drwiącym lub sarkastycznym uśmiechem poglądu innych naszych komedyopisarzy, idących torami przez nowszych francuskich autorów udeptanemi. Sarnecki pod tym względem najwięcéj przypomina Emila Augier, który powagę sądu moralnego zawsze utrzymać umiał.

„Dworacy niedoli" to, jak dotychczas, kulminacyjny punkt scenicznéj roboty Sarneckiego; nie znaczy to jednak, żeby utwór ten pod względem układu był doskonały. Mianowicie upowodowanie wchodzenia osób na sceny nie zawsze jest dostateczne i zadawalniające. Często doznaje się takiego wrażenia, że osoba dana pojawia się nie dlatego, że z natury stosunków pojawić się w pewném miejscu i pewnym czasie była powinna, ale dlatego, że autorowi z tém było dogodnie, gdyż mógł odrazu nawiązać nową rozmowę, albo też poprowadzić daléj akcyę. Prócz tego, dyalogi są niekiedy za długie, a urozmaicenie frazeologii rozmówców jest bardzo niewielkie. Autor ma dla wszystkich niemal osób styl jednakowy, t. j. swój własny, mający duże zalety literackie, ale niezawsze dobrze charakteryzujący rozmaite temperamenty.

W „Uroczych oczach" (1893), komedyi cztero-aktowéj, zużytkować pragnął Sarnecki doświadczenia hypnotyczne na rzecz sztuki, malując przytém dosadnemi barwami niektóre bolesne objawy najnowszéj formacyi społecznéj: brak godności, karyerowiczostwo *sui generis*, i t. d. Najdaléj w tym kierunku zaszedł dyplomatyzujący Szambelan, po nim można umieścić Hrabiego, który ma chwile żalu nad swém upodleniem, w końcu książę Zdzisław, dopiéro początkujący na drodze poniżania się i odwracający się, w końcu komedyi, od swoich w téj mierze przewodników, którzy, znając jego hypnotyczny wpływ na kobiéty, chcą mu dać bogatą pannę Terenię, wnuczkę sędziwéj matrony, kasztelanowéj, za żonę. Terenia jest

trochę lunatyczką, doznaje przeczuć i widzeń, rozmawia we śnie ze zmarłą matką. Z początku ulega uroczym oczom księcia Zdzisława, pomimo swéj miłości dla Ludwika, ale następnie z wielkiém wytężeniem woli usuwa się od tego wpływu i doprowadza wreszcie do skutku swoje małżeństwo z Ludwikiem pomimo niechęci kasztelanowéj, która uważa go za pobocznego syna zmarłego swego męża, gdy tymczasem okazuje się, że to syn Rejenta, bardzo czynnéj figury w komedyi, kostycznego trochę, ale nawskroś zacnego.

Najlepsze są pierwsze dwa akty, gdy się ekspozycya sztuki, a więc charakterystyka sztuki rozwija; dwa następne robią już mniejsze wrażenie pomimo usiłowań autora, ażeby świéżością motywu zainteresować. Grzmoty, wpływ atmosfery na osoby bardzo ważną gra tu rolę. Sarnecki cytatami z książek naukowych, odczytywanemi przez jednę z osób działających, stara się przekonać widza o rzeczywistości zjawisk hypnotycznych i możności oddziaływania Zdzisława na Terenię, a zarazem o możności oparcia się tym wpływom za pomocą wzmożonéj energii woli. Zdaje mi się, że ten nowy czynnik dramatyczny, jako zjawiko niedostatecznie jeszcze zbadane, nie ujęte w jakieś stałe prawa, może w teatrze wywoływać efekt, ale pod względem ściśle artystycznym nie stanowi pożądanego nabytku; gdyż wobec niego nie mamy już do czynienia ze ściśle określonemi charakterami lub namiętnościami ludzkiemi, lecz z motywem nadzwyczajnym, obliczyć się nie dającym; podstawa zatém dramatu: walka uczuć i charakterów jeżeli nie znika zupełnie, to przynajmniéj chwiejną się staje.

Komedya obfituje zresztą w sceny pełne żywości, a nieraz i komizmu, do wywołania którego służy głównie panna respektowa, Petronella, mająca między innemi obowiązek czytywania gazet i zdawania z nich sprawy kasztelanowéj, oraz zamężna siostra Tereni, dziecinnie bojaźliwa Matylda.

Sarnecki należy do tych komedyopisarzów naszych najnowszéj doby, którzy, korzystając z wzorów fracuskich co do techniki dramatycznéj, poprowadzili po Korzeniowskim daléj przemianę typów na charaktery indywidualne. Kilka takich charakterów męskich i kobiécych, dobrze wykonanych, stanowi istotny nabytek w naszym artyzmie dramatycznym. Wybiéranie osób przeważnie z towarzystwa salonowego, styl z francuska przykrojony, lubo całkiem wolny od galicyzmów, sprawia, że z pozoru robią komedye Sarneckiego wrażenie, jakoby mało posiadały swojskości. Zajrzawszy jednak głębiéj w du-

sze przez niego stworzone, przekonamy się, że pozór myli, a zarzucane przez niektórych recenzentów naśladownictwo francuskich pisarzów („*Febris aurea*" — i „*Ceinture dorée*" Emila Augier) zupełnie uzasadnić się nie da, gdyż sztuki Sarneckiego wcześniéj się ukazały w druku niż ich mniemane pierwowzory. Nie może oczywiście Sarnecki spółzawodniczyć pod względem swojskości z Blizińskim, ale z innymi nowszymi komedyopisarzami stoi w téj mierze na równi, a niekiedy, jak w zarysie charakterów młodzieży nad nimi góruje.

P. Chmielowski.



Z metodologii socyologicznéj.

Nader słaby wpływ na kierunek i sposób prowadzenia badań wywiérają zazwyczaj ogólne wskazania metodologiczne. Nie stanowi pod tym względem wyjątku socyologia: wiele zagadnień poszczególnych, jak ewolucya rodziny, własności, rządu, znalazło, dzięki znakomitym badaniom mniéj lub więcéj zadawalniające rozwiązanie; natomiast kwestya metody, jaką posługiwać się winna socyologia, stanowisko, odpowiadające godności nowéj nauki w całokształtcie wiedzy ludzkiéj — słowem, wszystkie postulaty natury ogólniejszéj, cały rynsztunek, który zawczasu wdziać na siebie pragnie każdy socyolog, leży jeszcze na warsztacie i mnóstwo rąk roboczych do pracy nad nim kolejno się zabiéra. Sprawozdanie, poniżéj umieszczone, dotyczy jednéj z prób tego rodzaju [1]). Wyróżnia się ona z pośród wielu innych bystrością obserwacyi i głębią analizy i, jako taka, stanowić może przyczynek do filozofii wiedzy społecznéj.

I.

Nie wszystkie zjawiska, zachodzące w łonie społeczeństwa, godne są miana „społecznych”, w przeciwnym razie bowiem samodzielność

---

1) Por. „Les régles de la méthode socyologique“ par Émile Durkheim, chargé du cours de Sociologie à la Faculté des lettres de Bordeaux. Paris. F. Alcan. 1895, a także dzieło tegoż autora p. t.: „De le division du travail social“. Paris. Alcan. 1893, opracowane na podstawie téj saméj metody.

socyologii byłaby zakwestyonowaną. Nazwę tę należy stosować tylko do trybów działania, myślenia i czucia, niezależnych od oddzielnego osobnika i obdarzonych potęgą panowania nad nim. Że te dwie cechy stanowią *quid proprium* zjawiska społecznego, naocznie wykazują nietylko ustalone reguły prawa, moralności, religii i t. d., lecz i pozbawione formy określonéj, t. zw. prądy społeczne. Wielki szał zapału, oburzenia lub litości, opanowujący nagle zgromadzenie, nie pochodzi z żadnéj pojedyńczéj świadomości; zjawia się on u każdego z nas z zewnątrz i porywa w brew woli naszéj. Możemy nie odczuwać przymusu, jaki nam zadaje, jeżeli mu się poddajemy, lecz widoczną jest jego potęga w chwili, gdy probujemy stawić mu czoło. Jeżeli zaznaczano, jako cechę charakterystyczną zjawisk socyologicznych, ich powszechność, to dlatego, iż mieszano je z tém, co możnaby nazwać ich „ucieleśnieniem indywidualném". Atoli dwa te gatunki zjawisk znajdują się często oddzielnie jedne od drugich: żadnéj z ustalonych reguł pożycia gromadzkiego nie odnajdzłesz całkowitéj w jéj niezliczonych przejawach, gdyż reguły te mogą nawet istnieć, nie będąc stosowanemi w praktyce. Co więcéj, gdy ta rozłączność nie narzuca się bezpośrednio uwadze naszéj, winniśmy urzeczywistnić ją przy pomocy metody: tylko w ten sposób otrzymać można zjawisko społeczne w stanie czystym. Istnieją np. w społeczeństwie prądy, które popychają nas do małżeństw, samobójstw liczniejszych lub rzadszych: jak w łonie organizmu zjawiska mieszane stanowią przedmiot chemii biologicznéj, konkretne te fakty nie będą socyologicznemi, lecz raczéj „socyopsychicznemi"; statystyka winna usunąć działanie warunków poszczególnych i dać nam fakt istotnie socyologiczny. Zjawisko społeczne rozpowszechnia się właśnie dlatego, iż jest społeczném, t. j. więcéj lub mniéj obowiązującém, a nie dlatego jest społeczném, iż jest powszechném. Mieści się ono w części każdéj, gdyż jest w całości, a nie jest zgoła w całości dlatego, że się znajduje w pojedyńczych częściach. Przymusowość wykazać łatwo w prawie, moralności, wierzeniach, obyczajach, nawet w modzie; znacznie trudniéj spostrzedz ją w organizacyi ekonomicznéj, gdzie działa ona w sposób pośredni [1].

---

[1] Durkheim walczy tu nader umiejętnie z teoryą G. Tarde'a, znaną czytelnikom „Ateneum" z pracy p. Lange'go.

II.

Socyologia znajduje się jeszcze obecnie w okresie ideologicznym, jaki właściwy jest wszystkim początkującym naukom. Zamiast postrzegania, opisu, porównania zjawisk, zadawalniamy się uświadamianiem sobie naszych idei, ich analizą i kombinowaniem; zjawiska same odchodzą na plan dalszy, stanowią nie przedmiot nauki, lecz służą, jako przykłady. Nauka, która przechodzi od idei do rzeczy, a nie od rzeczy do idei, obowiązkowo ginie z braku pożywienia, wyradza się w sztukę, zwraca się do przyszłości saméj. Trwa w téj fazie socyologia obecnie i długo jeszcze trwać w niéj będzie, gdyż zjawiska społeczne wydają się ludziom rozwinięciem ich własnych idei i, jako takie, ulepionemi z materyi napoły nierealnéj i nieskończenie plastycznéj. Zasadniczém prawidłem przy obserwacyi zjawisk społecznych winno być traktowanie ich jako rzeczy, gdyż: 1) stanowią one „dane" bezpośrednie nauki, wtedy, gdy idee, których rozwinięciem niby mają one być, nie są dane bezpośrednio; 2) mają one wszystkie cechy rzeczy, w ich liczbie główną tę, iż nie mogą być zmieniane przez prosty dekret woli, iż stawiają opór. Socyologia winna pójść pod tym względem w ślady psychologii, która postęp swój w ostatnich 30-tu latach zawdzięcza głównie podobnéj reformie. O wiele łatwiéj zaprowadzić ją można w wiedzy społecznéj, gdyż tu zjawiska posiadają często wybitne cechy zewnętrzne (kodeksy, statystyka, dokumenty historyczne i t. d.). Lecz należy przedewszystkiém odrzucić wszelkie z góry powzięte wyobrażenia, uwolnić się od despotycznego wpływu uczuć, które stanowić mogą przedmiot, nie zaś sprawdzian wniosków naukowych. Przedmiotem badań winna być zawsze grupa zjawisk, wyróżniających się wspólnemi cechami zewnętrznemi. Jedną z przyczyn, tamujących postęp socyologii, jest rozpowszechniony zwyczaj ujmowania w jedną całość, podlegającą późniéj jednoczesnemu badaniu, zjawisk zupełnie różnorodnych. Wiadomo np., iż istnieją dwa gatunki związków monogamicznych: faktyczne i prawne. W pierwszych mężczyzna posiada tylko jedną żonę, jakkolwiek nie jest mu wzbronioném mieć ich więcéj; w drugich — winien mieć tylko jedną. Monogamia faktyczna istnieje w wielu gatunkach zwierzęcych i w pewnych społeczeństwach niższych, i nie sporadycznie, lecz powszechnie; panuje tu wyższe prawo konieczności: gdy niewielka gromada rozrzucona jest na wielkim obszarze ziemi, stosunki społeczne są nader słabe i zaopatrzenie się w większą ilość żon staje się niemożliwością. Monogamia zaś prawna, obowiązkowa

skonstatować się daje tylko na wyższym stopniu rozwoju społecznego. Oczywiście dwa te gatunki związków małżeńskich stanowią odrębne typy zjawisk, a tymczasem potocznie używamy jednego wyrazu do ich oznaczenia. Nic téż dziwnego, iż H. Spencer, który w swych badaniach nie określa bliżéj znaczenia wyrazu „monogamia”, napotyka w ewolucyi małżeństwa niepojętą dlań anomalię: najwyższa forma związków płciowych istnieje już na pierwszych stopniach rozwoju społecznego, znika zaś w okresie pośrednim, by ponownie ukazać się w wyższym. Wnioskuje on na podstawie tego, iż nie ma stałéj odpowiedniości między ogólnym rozwojem społecznym i postępowym ruchem form pożycia małżeńskiego. Wychodząc znów z założenia, iż moralnością jest nasza moralność, niektórzy badacze (Lubbock np.) odmawiają dzikim wszelkiéj moralności. Błędów takich uniknąćby można przez odnalezienie „znaku zewnętrznego” danéj grupy zjawisk: np. w wypadku ostatnim symbolem będzie wyrok opinii publicznéj, mszczący każde pogwałcenie jéj przepisów. Oczywiście to posiłkowanie się cechami zewnętrznemi nie wykaże nam zrazu istoty danych zjawisk, ale jest to nieodzowny sposób dla pierwotnego zapoznania się z faktami. By zaś uniknąć błędów obserwacyi subiektywnéj, na podobieństwo fizyka, który zamiast niepewnych wrażeń osobistych, jakie wywołuje temperatura lub elektryczność, posiłkuje się obrazem wahań termometru lub elektrometru, — winien też i socyolog zwracać się ku cechom zewnętrznym, jaknajwięcéj obiektywnym, t. j. najbardziéj ustalonym, skrystalizowanym. Te punkty oparcia podczas obserwacyi życia społecznego znaléść można w regułach prawnych, moralnych, przysłowiach narodowych, zjawiskach budowy społecznéj.

III.

Każde zjawisko socyologiczne, pozostając w istocie swéj niezmienném, może, zależnie od wypadku, przybiérać formy rozmaite. Te bywają dwojakiego rodzaju. Jedne są powszechne w całym „gatunku” społecznym, co najmniéj, napotykają się u większości jego przedstawicieli i zmienność ich jest bardziéj ograniczona; drugie, przeciwnie, są wyjątkowe: istnieją tylko u mniejszości, a i tam nawet nietrwają przez całe istnienie typu; stanowią one wyjątek zarówno w przestrzeni, jak i w czasie. W ten sposób taż sama metoda obserwacyi przy pomocy cech zewnętrznych drogą naturalną prowadzi do najsprawniejszego rozróżnienia zjawisk normalnych od chorobliwych.

Podobnie, jak fizyolog, bada i socyolog funkcye organizmu normalnego, który zlewa się z typem średnim. Zjawisko społeczne może otrzymać miano normalnego jedynie w stosunku do danego „gatunku” społecznego i do danéj fazy jego rozwoju.

Atoli powszechność zjawisk na przestrzeni całego „gatunku” społecznego nie zawsze wykazuje ich normalny charakter. Zjawisko pewne, powstając nieraz w całym gatunku, nie odpowiada już wymaganiom jego bytu. To osobliwie bywa w okresach przejściowych, gdy gatunek cały znajduje się w trakcie metamorfozy, a nie zorganizował jeszcze swych nowych form. Gdy badanie dotyczy społeczeństw niższych, trudność ta, która dokładnie odczuwać się daje w socyologii, nie sprowadza za sobą zbyt wielkich skutków, gdyż wielka ilość tych społeczeństw odbyła już całą swą ewolucyę i prawa normalnego biegu téj ostatniéj są już i mogą być wykryte. Lecz w stosunku do społeczeństw, znajdujących się na najwyższych szczeblach organizacyi, prawo to ewolucyi nie jest zawczasu nam znane. Dla uniknięcia błędów, po skonstatowaniu powszechności danego zjawiska, należy zwrócić uwagę na warunki, które spowodowały tę powszechność w przeszłości, i zbadać, czy warunki te istnieją jeszcze obecnie, czy téż uległy już zmianie. W pierwszym wypadku powszechności zjawiska odpowiadać będzie jego normalność, w drugim nie. Dla przekonania się np., czy obecny ustrój ekonomiczny narodów europejskich, którego cechę znamienną stanowi brak organizacyi, jest zjawiskiem normalném lub nie, należy wykazać przyczyny jego powstania w przeszłości. Jeżeli te warunki ogólne odpowiadają tym, w jakich znajdują się nasze społeczeństwa obecnie, sytuacya będzie normalną pomimo protestów, jakie wywołuje. Lecz jeżeli, przeciwnie, wypadnie, iż jest ona w związku z dawną „terytoryalną” budową społeczną, która, stanowiąc niegdyś istotę tych społeczeństw, z biegiem czasu coraz szybciéj zanika, nieodzownym będzie wniosek, iż pomimo téj uniwersalności sytuacya ta ekonomiczna jest anormalna.

IV

Już zmierzając do rozróżnienia zjawisk normalnych od anormalnych, socyolog zmuszony jest posiłkować się pojęciem o „gatunkach” społecznych. Stanowi ono ogniwo pośrednie między pojęciem o *genus homo* i oddzielnych społeczeństwach: pierwsze to skrajny realizm filozofów, drugie to nominalizm historyków. Jedni uznają realność saméj tylko ludzkości i wyprowadzają całą

ewolucyę społeczną z natury ludzkiéj; w oczach drugich ilości społeczeństw odpowiada ich różnorodność. Tam filozofia spekulacyjna, tu cykl nieskończony monografii. Atoli w pojęciu o „gatunku" połączone są i jedność, jakiéj wymaga wszelkie badanie istotnie naukowe, i rozmaitość, jaką przedstawia rzeczywistość: gatunek odnaléść można w każdym osobniku doń należącym, a z drugiéj strony, gatunki różnią się jedne od drugich.

By określić i rozklasyfikować typy społeczne nie potrzeba zgoła stwarzać inwentarza wszystkich zjawisk odnośnych. Prawdziwa metoda doświadczalna wspiéra się raczéj na faktach zasadniczych. Przez starannie przeprowadzony wybór z nieprzebranego mnóstwa faktów, należy zbudować klasyfikacyę na podstawie nieznacznéj ich ilości. Liczba pierwiastków i sposób ich połączenia winny stanowić zasadę. Morfologia społeczna układa kolejne następstwo typów według stopnia ich złożoności. Obserwacya wykazuje, iż społeczeństwo każde składa się z grup prostszych od niego; jeżeli więc określoną będzie grupa społeczna najprostsza, jaka kiedykolwiek istniała, pozostanie tylko uszeregować typy według sposobu, w jaki łączą się między sobą te grupy najprostsze i ich skupienia. W gruncie rzeczy te same przesłanki dozwalają utrzymywać, iż istnieją gatunki biologiczne, mianowicie i tam organizmy nie są niczém inném, jak rozmaitemi kombinacyami jednego i tego samego pierwiastka anatomicznego. Niemniéj przeto różnica polega na tém, że w sferze gatunków socyologicznych cechy specyficzne rodzicielskie nie przekazują się dziedzicznie potomkom, co w świecie zwierzęcym zabezpiecza trwałość tych cech wobec nowych warunków otoczenia. Gatunki społeczne istnieją jakby przez jedno pokolenie tylko, następne są zawsze nowe. Jedynie kolonizacya przypomina nieco rozpłodzenie się, ale téż tylko, gdy koloniści nie mieszają się ze społeczeństwem innego gatunku. Dlatego téż panuje tu nieokréśloność, która wzrasta coraz bardziéj wraz z postępem złożoności.

Za punkt wyjścia możnaby obrać „hordę", grupę społeczną, która nie zawiéra w sobie żadnéj innéj grupy prostszéj, lecz składa się z osobników, połączonych na podobieństwo atomów. Będzie to protoplazma świata społecznego. Może być, iż niepodobna odnaléść społeczeństwa, które by dokładnie odpowiadało temu określeniu, znamy atoli wiele takich, które są uformowane bezpośrednio przez proste połączenie takich grup. Te ostatnie noszą wtedy miano „klanów", które choć zawiérają zwykle kilka rodzin, ale te prawdopodobnie powstały późniéj od nich, a oprócz tego nie stanowią one segmentów społecznych, gdyż nie są podziałami politycznemi. Wolno więc przypusz-

czać, że istniały początkowo społeczeństwa prostsze, istotne „hordy”, pierwowzór wszystkich gatunków społecznych. Stosując zasadę łączenia się tych segmentów między sobą i takiéj saméj kombinacyi tych połączeń, możnaby niższe gatunki społeczne ułożyć w następujący szemat: 1) społeczeństwo „wielosegmentowe proste”, przez zwyczajne powtórzenie hord lub klanów powstałe (niektóre plemiona Irokezów i Australijczyków; „arch” Kabylów, gdzie klany przybiérają formę wsi; prawdopodobnie kurya rzymska i fratrya ateńska były przez czas pewien w tém stadyum). 2) Społeczeństwa „wielkosegmentowe pojedyńczo złożone” przez skupienie społeczeństw gatunku poprzedniego (konfederacya Irokezów; związek plemion kabylskich; także pierwotnie każde z trzech plemion rzymskich [Ramnes, Tities, Luceres]). 3) Społeczeństwa „wielosegmentowe podwójnie złożone” przez połączenie społeczeństw gatunku drugiego („miasto” rzymskie, jako związek plemion, które składają się z kuryi, a te znów z rodów lub klanów). W szemacie tym nie należy dopatrywać się szczegółowéj klasyfikacyi społeczeństw niższych. Dla uplastycznienia zasady podano tu kombinacye pierwiastkowe; atoli nader często łączą się między sobą gatunki, niejednakowo wysoko na drzewie genealogicznem typów społecznych rozmieszczone. Za jaskrawy przykład służyć może państwo rzymskie. Różnice wtórne, wewnątrz klas, w ten sposób uformowanych, zależne znów będą od sposobu połączenia części, od stopnia centralizacyi.

V.

Większość socyologów mniema, iż wytłómaczyć zjawisko społeczne znaczy wykazać do czego ono służy, jaką rolę odgrywa. Atoli użyteczność zjawiska nie jest zródłem jego powstania. Są to dwie zgoła różne rzeczy: zjawisko pewne istniéć może, żadnéj korzyści nie przynosząc, gdyż albo nigdy nie było zużytkowaném do żadnego celu życiowego, albo przestało być pożytecznem pozostając przy życiu. W rzeczy saméj zjawisk szczątkowych więcéj jeszcze bywa w społeczeństwie, niż w organizmie. Zdarza się téż, iż zwyczaj lub instytucya społeczna, bez modyfikacyi istoty swéj, zmieniają funkcye swe. By wyjaśnić zjawiska społeczne należy zwrócić się do przyczyn sprawczych, które potęgę swą wykazują i wtedy, gdy w grę wchodzą potrzeby i dążenia celowe ludzi: te ostatnie działają tylko w granicach i przez pośrednictwo owych przyczyn. Tak więc przyczyna twórcza i funkcya zjawi-

ska winny być rozpatrywane niezależnie jedna od drugiéj, i zbadanie pierwszéj poprzedzać winno wytłómaczenie drugiéj.

Metoda, jaką posiłkują się powszechnie, oprócz celowości, popełnia drugi błąd zasadniczy: jest nawskroś psychologiczną. Te dwie cechy są nierozłączne: jeżeli społeczeństwo stanowi system środków, zorganizowany przez ludzi dla pewnych celów, cele te mogą być tylko indywidualne, gdyż przed społeczeństwem istniéć mogły tylko oddzielne indywidua. Metoda ta nie uwzględnia natury zjawiska społecznego, które nie daje się sprowadzić do przyczyn czysto psychicznych, jako niezdolnych wyjaśnić jego przymusowości i niezależności. Pomimo tego, iż pierwiastkiem grupy społecznéj jest osobnik pojedyńczy, niepodobna tłómaczyć zjawisk społecznych na podstawie psychologii indywidualnéj, gdyż społeczeństwo nie jest prostym iloczynem osobników, lecz istotą odrębną o cechach specyficznych. Ogólne cechy natury ludzkiéj przyjmują udział w wytwarzaniu życia społecznego, atoli nie z nich ono wytryska, nie one nadają mu formę specyalną: czynią je one tylko możliwém. Jeżeli socyologowie przypisują zjawiskom psychicznym rolę bezpośrednią w powstaniu życia społecznego, czynią to dlatego, iż za fakty czysto psychiczne przyjmują stany świadomości, względnie już określone i odrębne, które same przez się stanowią zmodyfikowane zjawiska społeczne. Sądzono np., iż wrodzoném jest człowiekowi pewne uczucie religijne, pewne *minimum* zazdrości płciowéj, miłości ojcowskiéj i t. p., i z tych to uczuć wyprowadzano genezę religii, małżeństwa, rodziny. Historya jednak wykazuje, iż te skłonności albo zupełnie nie istnieją w pewnych warunkach społecznych, albo w zależności od społeczeństw różnych bywają tak zmodyfikowane, iż to, co pozostaje po wyrugowaniu tych różnic i co jedynie może być uważane jako istotnie natury psychologicznéj, sprowadza się do rzeczy nader nieokréślonéj, szematycznéj, nieskończenie oddalonéj od zjawisk, które tłómaczyć miało. Uczucia te nie podstawę, lecz wykwit organizacyi zbiorowéj stanowią. Dowodzi tego téż niezależność ewolucyi społecznéj od pierwiastków etnicznych, które są natury organiczno-psychicznéj: formy organizacyi najróżnorodniejsze napotkać można w społeczeństwie téj saméj rasy, podobieństwa zaś zadziwiające istnieją między grupami ras rozmaitych. Przypisywanie rozkwitu sztuki ateńskiéj wrodzonym zdolnościom estetycznym przypomina wieki średnie, kiedy tłómaczono ogień przez flogiston i skutki opium stawiano w związku przyczynowym z jego własnością usypiającą.

Zjawiska społeczne ulegają zmianom w zależności od form ugrupowania składników społeczeństwa, od ich „środowiska wewnętrznego”. To ostatnie zawiéra w sobie rzeczy i osobniki. Czynnikiem twórczym

jest pierwiastek ludzki. Głównem też zadaniem socyologa winno być zbadanie rozmaitych własności tego środowiska; będą to ilość jednostek społecznych lub „objętość” społeczeństwa i stopień skupienia masy lub „spójność dynamiczna”, t. j. nietylko powiązanie ekonomiczne, lecz rzeczywista łączność moralna, stopień zrośnięcia segmentów społecznych. Gdyby usunąć działanie środowiska społecznego, główne przyczyny rozwoju historycznego byłyby wszystkie ukryte w przeszłości i wyjaśnienia socyologiczne polegałyby jedynie na włączaniu teraźniejszości do przeszłości. Oczywiście postęp, uczyniony w okresie przeszłym, umożebnia nowy krok naprzód, lecz nie stwarza go. Filozof społeczny szuka wtedy ratunku w jakimś popędzie wewnętrznym, który pcha ludzkość ku nieustannemu postępowi, to, aby urzeczywistnić całkowicie jéj naturę, to by zwiększyć jéj szczęście, i przedmiotem socyologii staje się odszukanie ogólnego prawa rozwoju tego popędu. Powszechność i trwałość istnienia téj błędnéj metody pochodzi stąd, iż środowisko społeczne uważane jest za środek, przy pomocy którego odbywa się postęp, a nie za przyczynę.

VI.

Wyłącznym celem wyjaśnienia zjawisk społecznych jest wykazanie ich związku przyczynowego. Nie jesteśmy zaś w stanie dowieść, iż fakt dany jest przyczyną innego faktu inaczéj, niż porównywając wypadki, w których oba one są obecne lub oba nieobecne, i badając, czy różnice, zachodzące w każdym z nich wobec okoliczności rozmaitych, świadczą o ich współzależności. Socyolog, pozbawiony możności czynienia doświadczeń istotnych [1]), sprawdzać winien swe wnioski przy pomocy metody porównawczéj. Z pośród rozmaitych jéj gatunków specyalnie nadaje się do badań socyologicznych metoda zmian współtowarzyszących sobie, gdyż dziedzina życia społecznego pod względem bogactwa zmian przewyższa wszystkie inne sfery przyrody. Dla osiągnięcia jednak rezultatów dodatnich należy porównywać między sobą nie odmiany oddzielne, lecz całe serye odmian, umiejętnie ugru-

---

[1]) Socyolog belgijski, Guillaume de Greef w pracy swéj p. t.: „Les lois sociologiques“. Paris. Alcan. 1893, twierdzi, iż wraz z postępem organizacyi politycznéj socyologia uzyska prawdziwe laboratoryum doświadczalne. Umiejętnie prowadzona międzynarodowa statystyka stanie się z czasem skarbnicą praw socyologicznych, które sprawdzać będzie drogą rzeczywistych doświadczeń celowa działalność prawodawcza.

powane, które zależnie od wypadku mogą zawiérać fakty, wzięte albo z życia pojedyńczego społeczeństwa, albo wielu społeczeństw jednego gatunku, albo życia wielu odrębnych gatunków społecznych. W miarę zaś wzrostu złożoności zjawisk społecznych, stwierdzenie istotne ich związku przyczynowego może być uskutecznione tylko za pomocą zbadania ich rozwoju po przez wszystkie gatunki społeczne, będzie to metoda genetyczna, nieodzowna w socyologii porównawczéj, która ta ostatnia nie stanowi odrębnéj części socyologii, lecz wyższą fazę jéj rozwoju.

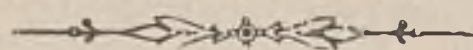
Walka o niezależność socyologii od wszelkiego rodzaju doktryn filozoficznych, zastosowanie do zjawisk społecznych metody obiektywnéj i wyodrębnienie sfery socyologicznéj z pośród wszystkich innych dziedzin przyrody — oto główne postulaty powyżéj przedstawionego systemu wskazań metodologicznych. W całokształcie swym rozpatrywany, system ten odznacza się niepospolitą harmonią linii, wspiéra się na głębokiéj analizie zjawisk odnośnych. Niektóre tylko zastosowania głównych postulatów nasuwają pewne wątpliwości. Niepodobna np. odmówić autorowi słuszności, gdy radzi zapatrywać się na zjawiska społeczne, jako na rzeczy; przejęci zresztą już są tym poglądem Comte i Spencer. Atoli niewłaściwie zarzuca im Durkheim, iż zasada ta pozostała u nich literą martwą, gdyż sam on zużytkuje ten postulat tylko jako środek do pochwycenia niemateryalnéj zgoła istoty zjawisk społecznych: nakazuje on bowiem poczynać badanie od „znaku zewnętrznego”, uprzedza jednak natychmiast, iż jestto tylko symbol konkretny samego zjawiska, dodajmy od siebie, często bardzo zwodniczy. Te końce nici, które nam autor do rąk brać każe, by po nich do kłębka dotrzéć, w większości wypadków pozostają nam w dłoni, jakby oderwane oddawna od pasma dalszego. Reguły prawa, moralności i t. p. to sfinksy zagadkowe, domagające się same wyjaśnienia. Piękną jest inicyatywa, jaką powziął Durkheim rozpoczęcia pracy nad morfologią typów socyologicznych; można jednak wątpić o skuteczności w dziele tém zasady nieledwie matematycznéj pojedyńczego, podwójnego i t. d. łączenia się wzajemnego „segmentów” społecznych. Co najmniéj dziwném jest, iż autor nie wprowadza w sferę klasyfikacyi typów społecznych ze świata zwierzęcego. Broniąc téż potęgi działania „środowiska wewnętrznego” w ewolucyi społeczeństw, miesza Durkheim wpływ jego na oddzielne aktualne zjawiska wewnętrzne danego społeczeństwa z przyczyną sprawczą, pobudzającą dany typ do przejścia

w nowy, wyższy. Środowisko wewnętrzne odgrywa w tym ostatnim wypadku tylko rolę pośrednika w ewolucyi typów; hasło postępu przychodzi zawsze z zewnątrz od gatunków społecznych, bardziéj posuniętych naprzód, więcéj „skomplikowanych". Nie wspomina téż wcale socyolog francuski w swém cenném studyum o naturze stosunków, zachodzących między oddzielnemi typami społecznemi, a zbadanie takowych mogłoby rzucić światło na istotną genezę postępu społecznego i założyć fundament przyszłéj morfologii społecznéj.

I. Brüner.



SPRAWY EKONOMICZNE.



VII.

OBIEG POWIERCZY.

Uporządkowanie budżetu państwa. — Superaty skarbowe. — Sceptycyzm rynków pieniężnych. — Co jest główną przyczyną niskiéj ceny biletów kredytowych? — Konieczność zmiany systemu emisyi. — Czy skarb może się wyrzec przywileju emisyi biletów kredytowych? — Przekształcenie Banku państwa na instytucyę akcyjną. — Dlaczego banki państwowe na Zachodzie są akcyjne? — Czy możliwém i pożądaném jest obecnie wznowienie wymiany metalicznéj? — Dewaluacya. — Podwójna wartość biletu kredytowego. — „Uszlachetnienie“ biletów kredytowych. — Przeszkody zaprowadzenia obiegu metalicznego: traktaty handlowe, kwestya monetarna. — Położenie fabrykanta fortepianów w dwóch okresach. — Opozycya John Bulla. — Ocean Indyjski jako jezioro angielskie. — Wola Anglii jest prawem. — Jednostka monetarna. — Etapy reformy monetarnéj.

Siedemnaście lat upływa od ukończenia wojny wschodniéj, w ciągu których zarząd finansowy nie szczędził pracy nad uporządkowaniem budżetu państwa, aby dochody zwyczajne zrównoważyć z takiemiż wydatkami. Równowaga budżetowa i przed wojną jeszcze nierzadko była naruszana, znaczna część wydatków wielokrotnie musiała być pokrywaną środkami nadzwyczajnemi, zwykle emisyą nowych walorów państwowych, nic więc dziwnego, że z ukończeniem wielkiéj wojny, wobec potrzeby likwidacyi wydatków nadzwyczajnych, zwykłe dochody państwa okazały się témbardziéj niewystarczającemi.

Po długich usiłowaniach, w ciągu których zwyczajne dochody państwa, przewidziane budżetem na 1877 r. w sumie 560 mil. rubli, wzrosły w zamierzeniu na 1895 r. do 1,142 mil. rubli, zarząd finansowy pokonał nareszcie trudności i doprowadził finanse państwa do do istotnie świetnego stanu. Z końcem roku zeszłego zapasy skarbowe wzrosły do 325 mil. rubli, bez względu na budowę kolei syberyjskiéj, która dotąd pochłonęła około 100 mil. rs., zaczerpniętych wyłącznie z nadwyżki budżetowéj.

A jednak pomimo tak świetnych rezultatów, wartość obiegowych znaków pieniężnych, t. j. biletów kredytowych, od czasu zawarcia traktatu w Berlinie doznała nader nieznacznego polepszenia.

W ciągu ostatnich trzydziestu lat wskazywano różne przyczyny upadku wartości znaków powierczych, między innemi niezadawalniający stan budżetów państwa, zniewalający do peryodycznego posiłkowania się pożyczkami zewnętrznemi; daléj, skutki wojny wschodniéj, zmowę zagranicznych i krajowych bankierów, grę giełdową i t. p.

Lecz większość tych przyczyn należy już do historyi.

Wykonanie ostatnich budżetów państwa przeszło najśmielsze oczekiwania; roczne superaty skarbowe przechodzą setkę milionów, i pomimo dwóch lat nieurodzaju, dosięgły z początkiem r. b. sumy 325 mil. rubli. Rachunki z ostatniéj wojny dawno już zostały zamknięte i dług skonsolidowany. O pożyczkach na cele nieprodukcyjne także zapomniano, bankierowie zagraniczni istotnie zmawiają się, lecz aby zaskarbić sobie względy pana ministra finansów, a co się tyczy gry giełdowéj na walutę, to ona jest naturalném zjawiskiem chwiejnego systemu obiegowego. Zresztą téj grze giełdowéj znakami powierczemi nadaje się zbyt wielka doniosłość, któréj ona w saméj rzeczy nie ma i naturalnie miéć nie może.

Cóż więc jest przyczyną, że bez względu na świetny stan finansów i szybki wzrost sił wytwórczych państwa, bilety kredytowe tak nisko są cenione.

Szukanie przyczyn w samym sobie i w swych czynach nie leży w naturze człowieka. Jakoś lżéj na sercu, gdy swoje winy składamy na drugich, na okoliczności „postronne", lub téż na „siłę wyższą". A tymczasem brak zaufania wszechświatowych rynków pieniężnych, a stąd i niskie normowanie wartości znaków obiegowych jest naturalnym skutkiem obecnego systemu emisyi tych znaków.

W obecnym czasie państwo posiada w swych skarbcach około 650 mil. rubli w złocie, co się równa 62 kopiejkom złotem na każdy rubel kredytowy, będący w obiegu. Jestto zapas metaliczny bardzo znaczny, lecz choćby on wynosił rubel metaliczny na rubel kredytowy

będący w obiegu, a nawet i więcéj, to i wtedy cena rubla papiérowego nie bardzo się do *pari* przybliży.

Być może, czytelnik zrobi uwagę, że skoro zapas metaliczny będzie powiększony do sumy znaków powierczych, będących w obiegu, to *ipso facto* i wartość rubla kredytowego równać się będzie rublowi metalicznemu. Lecz na to odpowiemy, że zrównanie wartości tych dwóch znaków pieniężnych może nastąpić tylko wtedy, gdy będzie wznowiona nieograniczona wymiana biletów kredytowych na złoto. Wznowić zaś wymianę biletów na metal, nawet w razie zwiększenia się zapasów złota do sumy obiegu powierczego, wątpimy, aby ministeryum skarbu się zdecydawało, gdyż to byłoby tylko bezpłodném powtórzeniem błędów siódmego lat dziesiątka bieżącego stulecia.

Wznowienie wymiany biletów na złoto, przy obecnym systemie emisyi wywołałoby emigracyę złota i sprowadziłoby przesilenie, wskutek niedostatku znaków pieniężnych i upadku kursów.

Aby podnieść wartość i utrwalić system obiegowy znaków powierczych a jednocześnie, aby módz wznowić ich wymianę, bez obawy o skutki, należy przedewszystkiém z m i e n i ć s y s t e m e m i s y i t y c h ż e z n a k ó w.

Potrzeba, aby skarb zrzekł się przywileju emisyi biletów kredytowych na rzecz instytucyi bankowéj, ale takiéj instytucyi bankowéj, któraby mogła dać rynkom pieniężnym zupełną rękojmię, że równowaga pomiędzy emisyą znaków pieniężnych (powierczych) i zapasem metalicznym bezwarunkowo, i w żadnym razie nie będzie naruszona.

Czy skarb może się wyrzec przywileju emisyi biletów kredytowych?

Naszém zdaniem może, gdyż obieg powierczy już się niejako skrystalizował, przemienił w źródło martwe, z którego daléj czerpać bez szkody dla organizmu nie można. Emisya biletów kredytowych dosięgła *maximum*, którego na znaczniejszą sumę przekroczyć nie można, bez wywołania paniki na rynkach pieniężnych. Z drugiéj strony, w obecném położeniu niemożliwém téż jest i zmniejszenie na znaczniejszą sumę znaków powierczych w celu zabezpieczenia źródła na przypadek nadzwyczajnéj potrzeby.

Znaczny rozwój ekonomiczny państwa wchłonął w siebie i te 417 mil. rubli w biletach czasowéj emisyi (podczas ostatniéj wojny), które nie mogły być już wycofane i naturalnie, w rezultacie zwiększyły stałą sumę obiegu powierczego. Fakt ten, że obecna suma biletów kredytowych nie jest nadmierną i odpowiada dzisiejszym potrzebom obrotu, nie wpłynął jednak na odpowiednie zwiększenie ich ceny, bo

obecna cena biletów kredytowych zależna jest (wobec braku wymiany) nie tyle od sumy biletów będących w obiegu i wielkości zabezpieczenia metalicznego, ile od braku pewności, że ilość tych znaków powierczych nie będzie w żadnym razie znacznie zwiększona.

Powyższe zdanie nasze znajduje potwierdzenie w zachowaniu się rynków piéniężnych w najbliższéj przeszłości.

Jak wiadomo, przed niedawnym czasem ministeryum skarbu dwukrotnie zwiększyło fundusz wymiany biletów kredytowych, podwyższając zapas metaliczny do 375 mil. rubli złotem, oprócz 75 mil. r. zł. zabezpieczających czasową emisyę biletów kredytowych w téjże wysokości. Zatém w ciągu kilku miesięcy fundusz wymiany został niemal podwojony i wynosi obecnie przeszło 35 kop. zł. na każdy rubel kredytowy. Wysokość zabezpieczenia dotąd niebywała, a jednak rynki piénięźne względem tych zarządzeń zachowały się sceptycznie, i zwyżka ceny biletów kredytowych dotąd nie nastąpiła, któréj téż zapewne i samo ministeryum nie oczekiwało.

Rynki piénięźne uważały, że wobec istniejącego systemu emisyi, zwiększenie funduszu wymiany częścią zapasu metalicznego skarbu, jest operacyą czysto buchalteryjną, jest tylko przepisaniem metalu z jednego rachunku na drugi, i prostém przeniesieniem tegoż metalu z jednéj przegrody do drugiéj, jednego i tegoż samego skarbca. Rynki piénięźne większą wagę nadają faktowi, że w ogóle w kasach państwowych znajduje się około 650 mil. rubli złotem, nie dzieląc onych na kasy czysto skarbowe i kasy bankowe, aniżeli ilości metalu nazwanéj „funduszem wymiany", który podobném-że zarządzeniem w każdéj chwili może być dowolnie zmieniony.

Wyżéj powiedzieliśmy, że przywiléj emisyi znaków powierczych należałoby nadać takiéj instytucyi bankowéj, któraby mogła dać zupełną rękojmię, że równowaga pomiędzy emisyą znaków powierczych i zapasem metalicznym bezwarunkowo i w żadnym razie nie będzie naruszona, któraż zatém z istniejących instytucyi bankowych można obdarzyć powyższym przywilejem?

Naszém zdaniem, prawo emisyi znaków prowierczych można nadać jedynie Bankowi państwa, ale bankowi przekształconemu na instytucyę akcyjną państwowo-prywatną, gdyż tylko dopuszczenie do zarządu bankiem osób prywatnych, w charakterze akcyonaryuszów, wspólnie z przedstawicielem skarbu (którýby zatrzymał dla siebie połowę akcyi) może dać rynkom wszechświatowym powyższą gwarancyę.

Dlaczego banki państwowe innych krajów, jak np. Banque de

France, Bank of England, Reichsbank niemiecki, austro-węgierski i t. p. są instytucyami utworzonemi na zasadach akcyjnych? Sądzimy, że nie dlatego aby wynaléść kapitał zakładowy dla tych banków, gdyż tak bogate państwo, jak np. Francya, rozporządzająca niemal czteromiliardowym budżetem, mogłaby z łatwością znaléść w swoim budżecie nadzwyczajnym i owe 200 mil. franków kapitału zakładowego, dostarczonego przez akcyonaryuszów Banque de France. Jeżeli banki państwowe zachodniéj Europy istnieją na podstawie akcyjnéj, to jedynie i właśnie dlatego, aby dopuszczeniem do zarządu banku osób prywatnych (akcyonaryuszy) dać rynkom piéniężnym zupełną gwarancyę, że system obiegowy znaków powierczych będzie oparty na fundamencie trwałym, niewzruszonym i niezależnym od okoliczności przemijających.

Ostatnie powiększenie metalicznego zabezpieczenia biletów kredytowych dało powód niektórym organom prasy do wyrażenia nadziei, że w bliskiéj już przyszłości należy oczekiwać zaprowadzenia obiegu metalicznego w państwie.

Poglądów tych za uzasadnione uznać nie można, owszem, wiele faktów wskazuje, że chwila zaprowadzenia obiegu metalicznego w państwie jest jeszcze odległą, i w najszczęśliwszym razie nie mogłaby nastąpić przed ekspiracyą traktatów handlowych z ościennemi państwami, t. j. przed 1904 r.

W obecnym czasie i w najbliższéj przyszłości powrócenie do wymiany metalicznéj jest wprost niemożliwe i niepożądane przez ogół interesów ekonomicznych i państwowych. Jeszcze zbyt wielka istnieje odległość pomiędzy obecną wartością biletów kredytowych i *pari*, któréj bezkarnie przeskoczyć nie można, a należy przejść tę odległość krokiem spokojnym, powolnym, aby uniknąć wstrząśnień ekonomicznych.

Przypuśćmy na chwilę, że obecnie wznowioną została nieograniczona wymiana biletów kredytowych na złoto i przypatrzmy się, jakaby zaszła zmiana w położeniu np. fabryki krajowéj machin i narzędzi. Przy obiegu powierczym tkalnie w państwie posiłkowały się prawie wyłącznie warsztatami tkackiemi miejscowego wyrobu, jako produktem tańszym (chociaż i gorszym) od zagranicznego. Warsztat tkacki można nabyć w fabrykach krajowych za 155 — 180 rubli, gdy takiż warsztat, sprowadzony z Anglii, kosztuje 190—210 rubli. Obieg metaliczny zmienia radykalnie położenie; warsztat tkacki w Machester kosztuje 11 f. szt., cło od niego 50 r. 40 k. złotem, doliczywszy koszta przewozu i inne drobne, ogólna cena wyniesie około 132 r. zł., zatém fabryki krajowe przy obiegu metalicznym prawdopodobnie nie

mogłyby dalej wyrabiać warsztatów tkackich. Wprawdzie względem Anglii możnaby się zabezpieczyć podwyżką i tak już niesłychanie wysokiego cła (72% wartości), lecz z Niemcami i Austryą istnieją traktaty handlowe.

Wzmiankowano także o istniejącym jakoby zamiarze dewaluacyi, t. j. redukcyi wartości nominalnej biletów kredytowych względnie do ceny giełdowej półimperyałów; lecz trudno dopuścić, aby zarząd skarbowy mógł żywić podobne zamiary. Dewaluacya nie ma racyonalnej podstawy, gdyż w obecnem położeniu rubel kredytowy nie zawsze i wszędzie równa się 67 kop. (w złocie).

Rubel kredytowy, pomimo obiegu przymusowego, ma obecnie wartość podwójną: w pewnych obrotach (głównie handlowych zagran.) wart jest istotnie tylko 67 kop., ale w innych, daleko liczniejszych i ważniejszych, tenże rubel kredytowy, bez względu na przymus, ma rzeczywistą pełną wartość, to jest 100 kopiejek. Wprowadzenie obiegu metalicznego bynajmniej nie będzie miało tego skutku, abyśmy za buty kosztujące obecnie np. 9 rubli kredytowych, mieli płacić tylko 6 rubli złotem, lub robotnika zarabiającego dziś 60 kop. dziennie mogli zadowolnić 40 kop. złotem. I szewc i robotnik zażądają dawnej ceny, więc dewaluacya byłaby niesprawiedliwą i rujnującą tylko posiadaczy biletów kredytowych.

Nie dewaluacyi, lecz stopniowego powolnego zwiększania wartości międzynarodowej biletów kredytowych wymagają interesa ekonomiczne i państwowe, dopóki tą drogą niejako „uszlachetniane" znaki powiercze nie zrównają się z szlachetnym kruszcem.

Traktaty handlowe z ościennemi państwami są ważną przeszkodą w zaprowadzeniu obiegu metalicznego w obecnym czasie, zwłaszcza wobec tak wielkiej różnicy kursowej pomiędzy biletem kredytowym i metalem. Wszak sz. czytelnicy pamiętają jeszcze, że podniesienie ceł w r. 1891 motywowane było między innemi, i zwyżką kursu waluty, gdyż istotnie zwiększenie wartości znaków powierczych zmniejsza stopień ochrony przemysłu krajowego przed zagranicznym. Chociaż więc przy obiegu metalicznym dawne cła pozostaną, ale utracą dawną siłę ochronną, bo zniknie obecna różnica pomiędzy kursem waluty i *pari*.

Dziś kupując np. fortepian w Berlinie za 2,000 marek, t. j. 600 rubli metalicznych, musimy zapłacić:

fabrykantowi w Berlinie 2,000 marek zł. czyli	895 r. 50 k. bilet. kredyt.
cła 112 rubli złotem	„ 167 „ 20 „ „ „
razem	1,062 r. 70 k. bilet. kredyt.

naturalnie oprócz kosztów przewozu, także po części płatnych złotem. Przypuśćmy, że fortepian nabyty w Berlinie za 2,000 marek, czyli 600 rubli złotem, pod względem doskonałości wyrobu równa się fabrykatowi warszawskiemu choćby za okrągłe 1,000 r. kred., więc przemysł krajowy oprócz kosztu przewozu (znacznych), ma jeszcze gwarancyę i w pozostałéj różnicy 62 r. 70 kop. Z zaprowadzeniem obiegu metalicznego i przy niemożności podniesienia ceł uświęconych traktatem, położenie fabrykanta krajowego staje się rozpaczliwém. Za wyżéj wymieniony fortepian berliński nabywca płaci:

2,000 marek czyli		600 rubli złotem
i cła		112 „ „
	razem	712 rubli złotem,

t. j. monetą już wtedy obiegową, oprócz kosztów przewozu. Fabrykant warszawski dla zachowania poprzedniéj pozycyi wobec przemysłowca berlińskiego, musiałby cenę fortepianu obniżyć z 1,000 rubli kred. do 650 r. złot. Czy jednak koszta wyrobu przy obiegu metalicznym mogą się obniżyć do tego poziomu, więcéj niż wątpliwa. Nie ulega kwestyi, że koszta wytwórcze ze zmianą systemu obiegowego obniżą się, lecz wcale nie w stosunku do obecnéj różnicy pomiędzy znakiem powierczym i kruszcem.

Bynajmniéj nie jesteśmy zwolennikami, ani dzisiejszego systemu obiegowego, ani obecnych olbrzymich, często szkodliwych, ceł ochronnych, lecz z drugiéj strony roztropność wymaga liczenia się z faktycznem położeniem pracy narodowéj, która zawsze i wszędzie lęka się gwałtownych przewrotów i zmian w położeniu. O ile wielki handel, wogóle, z pobudek naturalnych acz samolubnych pragnie, jak najrychlejszéj zmiany systemu obiegowego, o tyle rolnictwo i przemysł wobec zbyt wielkiéj jeszcze różnicy pomiędzy obecną ceną znaków powierczych i *pari* nie pożądają raptownego zaprowadzenia obiegu metalicznego w państwie. Interesa handlu i sił wytwórczych stają tu w pewnéj sprzeczności, ale rolnictwo i przemysł ufają w mądrość sfer prawodawczych.

Szybkiemu zaprowadzeniu obiegu metalicznego, oprócz traktatów handlowych, stoi także na przeszkodzie nie rozstrzygnięta dotąd wszechświatowego znaczenia „kwestya monetarna”. Odsyłając czytelnika do naszéj rozprawy „Złoto i srebro”, pomieszczonéj w „Ateneum” (marzec, 1894 r.), w któréj przedstawiliśmy ówczesne położenie téj sprawy, tu nadmienimy, że gdyby nie istniała Anglia, to nie byłoby dziś i kwestyi monetarnéj, gdyż bimetalizm w téj lub owéj formie powróciłby do dawnego znaczenia.

Wielka Brytania, niewątpliwie, pragnie zmiany dzisiejszego chwiejnego systemu monetarnego, ale pragnie, aby ta zmiana dokonała się po zagranicami Albionu, na kontynencie. John Bull, dzierżący w swych ręku $^2/_3$ handlu kolonialnego, nie chce dla siebie innéj waluty prócz złotéj, gdyż istotnie w stosunkach handlowych monometalizm jest dogodniejszy. Pamiętajmy, że nad oceanem, który omywa brzegi południowéj Azyi, wschodniéj Afryki i Australii zamieszkuje lub ciąży do niego, jak do słońca i wody, 900 milionów mieszkańców, a wielki ten wodozbiór to nie ocean Indyjski, lecz właściwie olbrzymie jezioro śródziemne—angielskie, gdyż John Bull jest tu faktycznym i niepodzielnym władcą. W Egipcie, Persyi, Indyach wschodnich, Siamie, Singapur, Kantonie, w Sydney i Melburnie wszędzie słyszysz język angielski, jako język ludu wybranego, przed którym kornie chylą czoła owe 900 milionów rasy czarnéj, białéj, żółtéj i malajskiéj. W handlu więc zamorskim, kolonialnym, wola Anglii jest prawem, którego w obecném położeniu stosunków międzynarodowych nic zmienić nie może. Lecz na kontynencie Europy taż sama Anglia pragnie zmiany dzisiejszego systemu monetarnego.

W jakim kierunku i zakresie nastąpi reforma istniejących obecnie systemów monetarnych, trudno przesądzać, można tylko być pewnym, że zmiana niewątpliwie nastąpi. Czy więc byłoby właściwém zaprowadzenie waluty złotéj wobec nierozstrzygniętéj jeszcze kwestyi monetarnéj—wątpimy.

Przy zmianie systemu obiegowego, zwłaszcza powierczego na metaliczny, ważną rolę odgrywa wysokość jednostki monetarnéj. Rubel jest jednostką bezwarunkowo za wielką — wszak inne państwa daleko bogatsze zadawalniają się jednostką trzy i cztery razy drobniejszą. Nawet w Anglii, funt sterling jest więcéj jednostką rachunkową, bankierską, gdy w powszechném, codzienném użyciu podstawą wymiany jest szyling. W ostatnich czasach Niemcy zmieniły talary na marki i Austro-Węgry floreny na korony, życzyć więc należy, aby i w naszych stosunkach ruble zastąpiono frankami, choćby za przykładem Włoch i Rumunii z nazwą miejscową.

Jakkolwiek raptowna zmiana systemu monetarnego nie jest pożądana, to jednak pożyteczne byłoby promulgowanie już dzisiaj pewnych zarządzeń, zapowiadających zaprowadzenie obiegu metalicznego, i mających na celu stopniowe niejako „uszlachetnienie" obecnych znaków powierczych, dopóki się takowe nie zrównają ze szlachetnym kruszcem.

Jako etapy, po których dążyć winna reforma monetarna uważamy:

1) ustanowienie znacznie niższéj jednostki monetarnéj, np. franka w miejsce rubla;

2) zrzeczenie się przez skarb prawa emisyi znaków powierczych.

3) przekształcenie Banku państwa na instytucyę akcyjną państwowo-prywatną, z nadaniem téjże przywileju emisyi;

4) przekazanie zreformowanemu Bankowi państwa całéj obecnéj ilości biletów kredytowych, w celu dalszego stopniowego „uszlachetniania" tychże, wzbraniając jednakże wymiany biletów kredytowych na metal lub banknoty podług kursu giełdowego.

Dopiéro po zupełném „uszlachetnieniu" biletów kredytowych i zamianie ich na banknoty, można będzie uzupełnić reformę monetarną przez zaprowadzenie obiegu metalicznego, prawnie i faktycznie.

Tylko w ten sposób przeprowadzona reforma monetarna, to jest spokojnie, powolnie i w ciągu dłuższego okresu, naszém zdaniem, będzie pożądaną i sprawiedliwą, bo nie wywoła zamieszania w gospodarstwie państwowém i społeczném.

Leon Iwanicki.



HANDLOWA DZIAŁALNOŚĆ KÓŁEK ROLNICZYCH

W GALICYI.

Pod tytułem powyższym niestrudzony pracownik na niwie ekonomicznego podniesienia ludu galicyjskiego d-r Fr. Stefczyk ogłosił niedawno studyum, pełne nowych i ciekawych szczegółów, dotyczących handlowéj działalności kółek rolniczych, których z końcem roku 1892 była w Galicyi już pokaźna cyfra—832.

D-r Stefczyk zaznacza we wstępie swéj pracy, iż dotychczasowe usiłowania najwyższych władz autonomicznych, skierowane ku uzdrowieniu i podniesieniu handlu, nie osiągnęły zamierzonego celu, jak np. zaprowadzone z takim kosztem krajowe składy zboża i spirytusu we Lwowie i Krakowie, które poszły w usługi tych głównie, co „ani orzą, ani sieją, ale zbiérają".

„Dlatego — pisze autor — z radością powitać należy żywszy ruch, który w ostatnich zwłaszcza czasach objawił się w naszém społeczeństwie w celu przeprowadzenia odpowiedniéj organizacyi wewnętrznéj handlu krajowego. Ruch ten dziś wychodzi już z trzech odrębnych źródeł i kierowany jest przez trzy instytucye: Towarzystwo kółek rolniczych, Akcyjne towarzystwo handlowe we Lwowie i Związek stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych". Dodać do tego należy objęcie przez kraj handlu solą, którego pożytek już daje się uczuwać.

Jeżeli się zważy, że jedną z dziedzin, w któréj ujemne strony naszego handlu występowały najjaskrawiéj, był handel małomiejski

i wiejski, to doniosłe znaczenie sklepików kółek rolniczych i niekiedy niezależnie od kółek powstających sklepów chrześciańskich rzuci się zaraz w oczy, jako bardzo ważna — co najmniéj — próba spółkowéj organizacyi handlu, tém ważniejsza, że rozpoczęta od dołu, od tych, że tak powiemy, komórek, zwolna tylko i z wielką rozwagą łączących się w związki rozleglejsze.

Przystępując do szczegółowego opisu organizacyi sklepów kółek rolniczych, autor zaznacza przedewszystkiém, że sklepy te nie są bynajmniéj towarzystwami spożywczemi, dostarczającemi towarów tylko swym członkom, lecz, przeciwnie, po największéj części, przedsiębiorstwami otwartemi, publicznemi. Tylko całkiem znikoma część pozostała jeszcze na tém, jak sądzić należy, przejściowém stadyum ograniczania na samych tylko członków kółka sprzedaży wspólnie sprowadzanych artykułów, od czego, dodać jednak należy, rozpoczęła się handlowa działalność kółek w Galicyi, idących w tym wypadku za wzorem Wielkopolski i Górnego Śląska.

Głównym typem, do którego zwolna zbliżają się wszystkie sklepy, jest sklep kółkowy, jak już powiedzieliśmy, dostępny i dla nieczłonków kółka, oparty na organizacyi spółkowéj w ten sposób, że kapitał zakładowy powstaje z udziału członków spółki, zarząd spoczywa w ręku organów, wybranych przez spółkę, a cały interes prowadzi się na zysk i stratę spółki. Częstokroć cała działalność kółka sprowadza się do tego tylko interesu handlowego.

Nader ciekawą jest mozolnie zebrana przez autora statystyka sklepików.

W pierwszém pięcioleciu istnienia Towarzystwa kółek rolniczych (1883—1887) powstało sklepików 149, w drugiém (1888—1892)—376, razem 525. Dalsze daty statystyczne, których tu jednak szczegółowo powtarzać nie będziemy, wskazują, że interesa handlowe coraz to większą zdobywają przewagę w działalności kółek rolniczych. Mianowicie w pierwszém pięcioleciu istnienia kółek na 76 nowych kółek (rocznego przyrostu) przypada 30 nowych sklepów kółkowych, czyli 40%. A tymczasem w pięcioleciu drugiém na 90 nowych kółek (rocznego przyrostu) przypada nowych sklepów 75, t. j. 82%. Z końcem roku 1892 już przeszło 62% wszystkich kółek posiadało sklepy.

Z tablicy, przedstawiającej terytoryalne rozmieszczenie sklepów, widzimy, że liczba ich z uderzającą prawidłowością rośnie w kierunku ku zachodowi Galicyi, a maleje w kierunku ku wschodowi. Biorąc, jako granicę, San, znajdziemy na 29 powiatów, leżących po lewéj stronie Sanu, 75.7%, czyli przeszło $^{3}/_{4}$ ogółu sklepów kółkowych, reszta (24,3%) leży w 43 powiatach Galicyi wschodniéj. Nawet w saméj Ga-

licyi zachodniéj daje się zauważyć ten sam stosunek w miarę, jak idziemy z zachodu na wschód: 37.5% wszystkich sklepów mieści się w 11 powiatach, położonych na zachód od Dunajca 38% sklepów należy do 18 powiatów między Dunajcem a Sanem.

Podobne wyniki otrzymamy z porównania liczby sklepów kółkowych z liczbą gmin administracyjnych.

Pojęcie o szybkości, z jaką wzrasta ilość sklepów, dadzą następujące cyfry, wyprowadzone przez d-ra Stefczyka.

Gdyby cyfra sklepów wzrastała w latach następnych z tą samą szybkością, jak w ostatniém pięcioleciu, wówczas w 11 powiatach po lewéj stronie Dunajca, najgęściéj zasianych sklepami, gdyż posiadających 1 sklep na gmin 5.5, dopiéro po upływie 32 lat każda gmina posiadałaby swój sklep. Przeciąg to czasu duży. Gdy się jednak zwróci uwagę, że często 1 sklep wystarcza dla kilku gmin, zwłaszcza blisko siebie położonych, że utworzony przez sejm fundusz pożyczkowy dla sklepików funkcyonuje dopiéro lat parę, że jeszcze późniejszéj daty jest objęcie przez kraj handlu tak ważnym dla sklepów artykułem, jak sól i działalność związku handlowego (o którym powiemy niżéj) i t. p., to wolno się spodziéwać, że wzrost dotychczasowy dozna znacznego przyśpieszenia.

Dla uzupełnienia obrazu rozmieszczenia sklepów należy jeszcze przeprowadzić ich porównanie z obszarem i ludnością kraju (z końcem r. 1892).

W całym kraju przypada przeciętnie jeden sklep na 150 klm. □. Na obszar po lewéj stronie Sanu przypada 1 sklep na 60 klm. □, we wschodniéj Galicyi 1 na 390 klm. □. W 11 powiatach na zachód od Dunajca 1 na 48.8 klm. □.

W porównaniu z liczbą ludności otrzymamy cyfry następujące: W całym kraju przypada 1 sklep na 12,659 mieszkańców, w Galicyi zachodniéj 1 na 6,363, we wschodniéj 1 na 30,784, zaś w 11 powiatach na zachód od Dunajca 1 na 4,977 mieszkańców.

Niezmiernie ciekawe i pouczające jest zestawienie cyfr, dotyczących ilości sklepów kółek rolniczych z cyfrą analfabetów w różnych częściach kraju i poszczególnych powiatach. W 11 powiatach na zachód od Dunajca przy ogólnéj ilości sklepów 196, procent analfabetów wynosi 55.78; w 18 powiatach między Dunajcem a Sanem ilość sklepów—199 a procent analfabetów—67.48; w 45 powiatach na wschód od Sanu sklepów 133, procent analfabetów — 75.80. „Wpływ stopnia oświaty na rozpowszechnienie sklepów kółek rolniczych w naszym kraju — powiada autor — całkiem wyraźnie występuje w powyższém zestawieniu. Szczególniéj zaś w Galicyi zachodniéj jest on czynnikiem rozstrzygają-

cym tak dalece, że wpływ indywidualny jednostek, gorliwie interesujących się tą sprawą, znika prawie w ogólnym ruchu, wywołanym coraz powszechniéj odczuwaną przez ludność włościańską i małomiejską potrzebą zakładania sklepów kółek rolniczych." Wprost uderzającą jest tu zależność porównywanych momentów w 11 powiatach na zachód od Dunajca, jak widać z następującéj tabliczki:

Powiat	% analfabetów	1 sklep na klm. kw.
Biała	40.35	30.2
Wadowice	52.29	35.9
Chrzanów	52.77	36.0
Kraków	53.73	27.6
Wieliczka	54.73	36,1
Żywiec	55.73	88.6
Nowy Targ	61.83	88.1
Limanowa	71.89	157.9

Poprawiwszy cyfrę analfabetów dla powiatu krakowskiego na procent mniejszy (do czego mamy prawo, gdy w cyfrze, podanéj w powyższej tabliczce nie jest uwzględniona ludność m. Krakowa, o znacznie niższym, niż w powiecie, procencie analfabetów, kiedy w cyfrach innych powiatów ludność miejskich ognisk powiatowych jest wcielona), otrzymamy dwa szeregi cyfr, w których powiaty idą po sobie w następstwie malejącéj ilości sklepów obok rosnącéj liczby analfabetów. We wschodniéj Galicyi równorzędności téj nie ma; owszem, im daléj na wschód, tém większa nieprawidłowość. „Jako ogólne spostrzeżenie — powiada d-r Stefczyk — podnosimy zatém różnicę podstaw w rozwoju sklepów kółek rolniczych w zachodniéj i wschodniéj części kraju. W zachodniéj jest ona szerszą i opiéra się głównie na wyższym stopniu oświaty wśród mas ludności; tutaj zatém inicyatywa jest łatwiejsza i częstsza, a wychodzi coraz pospoliciéj z łona saméj ludności włościańskiéj i małomiejskiéj... We wschodniéj Galicyi postęp sprawy zawisły jest przeważnie od inicyatywy jednostek z po za kół ludności włościańskiéj i małomiejskiéj — jednostek jeszcze wyjątkowych..."

Dla uzupełnienia tego obrazu, zaczerpniętego z pracy d-ra Stefczyka, należałoby dodać dane o istniejących we wschodniéj Galicyi „spółkach ludowych", „kramnicach" i t. p. handlach rusińskich, których, niestety, nie posiadamy. Jak sądzić jednak należy, zmieniłyby one w pewnéj mierze to, co pisze autor omawianéj pracy o stosunku obu części Galicyi.

Przejdźmy teraz do funduszów, którerai sklepy rozporządzają. Ze 139 sklepów, co do których udało się autorowi zebrać dane o funduszach, 121 zebrało fundusz wyłącznie z udziałów członków, reszta korzystała z pożyczek i innych źródeł (np. sklep w Mnikowie, w pow. krakowskim, założony został z funduszu, zebranego przez uczestników zjazdu przyrodników w Krakowie).

Ogółem wszystkie 139 sklepów założono z funduszem 64,264 złr. Z nich 111 znajduje się w zachodnich, a 28 we wschodnich powiatach kraju. Na pierwsze przypada przeciętnie kapitału po 520 złr., na drugie po 235 złr.

Różnice pod względem wysokości kapitału zakładowego są wogóle bardzo znaczne; najniższy wykazany kapitał zakładowy wynosi 30 złr., najwyższy 4,413 złr. Największy procent tych sklepów (30.14%) operuje funduszem od 200—500 złr. Wnosząc przez analogię z tego obliczenia kapitału zakładowego dla 139 sklepów o wysokości funduszów we wszystkich sklepach kółkowych przy końcu roku 1892, można twierdzić dość zasadnie, że rozporządzały one kapitałem zakładowym, wynoszącym około $^1/_4$ miliona złr. Cyfra ta z pewnością nie jest zbyt wysoką dzisiaj, kiedy sprawozdanie zarządu głównego kółek rolniczych wykazuje już przeszło 700 sklepów kółkowych. Gdy oprócz tego kapitału zakładowego uwzględnimy krajowy fundusz pożyczkowy dla sklepików (w kwocie 10,000 złr., gdyż z ogólnéj dotacyi 15,000 złr. trzecią część przyznano związkowi handlowemu kółek rolniczych w Krakowie), gdy weźmiemy pod rachubę prywatne pożyczki, z których sklepy niejednokrotnie, i to w szerokich rozmiarach, korzystają, gdy nakoniec do powyższego kapitału zakładowego doliczymy własny dorobek sklepów, pozostawiany zazwyczaj w obrocie, wówczas bez przesady możemy cały fundusz obrotowy sklepów kółkowych ocenić przynajmniéj na pół miliona złotych.

Przechodząc do opisania zakresu czynności sklepów kółkowych, przypomnimy to, co rzekliśmy na początku, a mianowicie, iż sklepy kółkowe nie są stowarzyszeniami spożywczemi, dostępnemi wyłącznie dla swych członków, lecz przeciwnie, po największéj części, kramami publicznemi. Rodzaj towarów sprzedawanych ściśle się stosuje do potrzeb ludności okolicznéj i zaznaczyć należy, iż widoczną jest tendencya zaspakajania potrzeb możliwie wszystkich. Dotychczas przeważają artykuły spożywcze, jak: sól, tłuszcze, mąka, pieczywo i t. p. W handlu solą, jak twierdzi d-r Stefczyk, sklepy kółkowe oddały już rzetelną usługę ludności, chroniąc ją od różnego rodzaju wyzysku, dotychczas praktykowanego przez handlarzy, oraz od fluktuacyi cen tego artykułu. Godną uwagi jest rzeczą, że wszystkie te nadużycia w han-

dlu solą działy się w kraju tak bogatym w sól, jak Galicya, i to przy istnieniu monopolu rządowego! Taką samą naprawę dotychczasowego złego stanu rzeczy zaznaczyć należy i co do drugiego artykułu pierwszéj potrzeby, mianowicie nafty. Co do soli, dodać należy, że przy tym artykule sklepy kółkowe kontentują się minimalnym zyskiem.

Nie można tych samych pochwał oddać innemu działowi handlu, mającemu jednak również doniosłe znaczenie dla ludności wiejskiéj, a mianowicie handlowi nasionami do siéwu i nawozami sztucznemi, który dotychczas ze strony sklepów kółkowych zbyt mało doznawał troskliwości i uwzględnienia. Co prawda, dział to trudny, wymagający szczególniejszéj ostrożności i opieki. Autor omawianéj pracy sądzi jednak, iż rozwinie się on należycie już w przyszłości najbliższéj, dzięki działalności związku handlowego kółek rolniczych w Krakowie, który dział ten handlu rolniczego zorganizował umiejętnie, w sposób, zapewniający wszelakie bezpieczeństwo co do jakości towaru, oraz korzyści istotne pod względem cen.

Z kolei należy nam teraz podać nieco cyfr, dotyczących rozmiarów zbytu. Zebranie dat pod tym względem przedstawia największe trudności, między innemi, i dlatego, że sklepy z obawy przed władzami fiskalnemi trzymają je w ścisłéj tajemnicy. Autorowi udało się zebrać wiadomości o rozmiarach zbytu za r. 1892 tylko z 69 sklepów.

Wartość rocznéj sprzedaży w tych 69 sklepach wynosiła 412,974 złr., przeciętnie zatém na jeden sklep przypada około 6,000 złr. rocznego targu. Rzeczywiste cyfry wahają się między 1,200 złr. a 25,000 złr. Stosując otrzymany wyżéj przeciętny roczny targ 6,000 złr. do wszystkich istniejących z końcem roku 1892 sklepów w liczbie 522, otrzymalibyśmy poważną cyfrę obrotu rocznego na 3,132,000 złr., którą d-r Stefczyk ostrożnie redukuje do 2 mil. zł., aczkolwiek obecnie, przy 700 sklepach cyfra pierwotna (3 mil. z górą) jest niewątpliwie bardzo do prawdy zbliżona. Taki targ roczny wymaga oczywiście bardzo szybkiego obrotu kapitałem zakładowym i tak też jest rzeczywiście, jak to autor stwierdza na podstawie własnych obserwacyi i relacyi zarządów sklepów kółkowych.

„Cała dotychczasowa działalność sklepów kółek rolniczych — pisze autor — ogranicza się jedynie na zaopatrywaniu ludności wiej- i małomiejskiéj w potrzebne jéj artykuły. Nietkniętą zaś pozostała równie obszerna i ważna dziedzina z b y t u produktów włościańskich gospodarstw, tém mniéj wytworów domowego przemysłu". Kilka cyfr wyjaśni doniosłość téj dziedziny handlu. Eksport np. jaj i masła w ciągu 14 lat (od r. 1869 do 1883) wzrósł z 2,100,000 złr. na 14 mil. złr., dziś sięga już zapewne 20 milionów. Dotychczasowe jednak pró-

by handlu zbytowego w powiatach podhajeckim i brzozowskim były niepomyślne, po części wskutek zwartéj opozycyi handlarzy żydowskich, w ręku których ześrodkowany jest cały handel hurtowny temi artykułami.

Stwarzanie zatém własnéj organizacyi hurtownego handlu produktami gospodarstw włościańskich jest ważném zadaniem chwili obecnéj i stoi w ścisłym związku z działalnością krakowskiego związku handlowego kółek rolniczych, kilkakrotnie już wspomnianego, o którym podamy niżéj krótką wiadomość.

Jedną ze znamiennych cech ruchu handlowego w kółkach rolniczych jest ta okoliczność, iż wyszedł on i rozwijał się z dołu, bez z góry nakréślonego planu, bez obmyślonego kierownictwa ze strony zarządu centralnego kółek rolniczych. Różni się on pod tym względem bardzo istotnie od ruchu stowarzyszeń handlowych rusińskich, które zaraz od początku swego istnienia przybrały znamię centralizacyi, biorąc inicyatywę i kierunek z naczelnéj instytucyi we Lwowie „handlu ludowego", zakładającéj filie po miastach i powołującéj do życia po wsiach i miasteczkach t. zw. „kramnice".

Ta samodzielność sklepów kółek rolniczych świadczy wprawdzie o wielkiéj żywotności całego ruchu i istotnéj jego potrzebie, z drugiéj jednak strony była ona źródłem wielu trudności, z któremi sklepom walczyć przyszło.

Trudności te wystąpiły przedewszystkiém przy zakupnie towarów, które właśnie wskutek braku jakiéjbądź instytucyi centralnéj, braku kierownictwa, zakupować trzeba było od żydowskich kupców w najbliższém mieście lub nawet miasteczku powiatowém, z trzeciéj, czwartéj ręki. Ale już w roku 1884 rozpoczęły się usiłowania w kierunku stworzenia składów hurtowych (w Jaśle, Tarnobrzegu, Mielcu i Milówce). Nie możemy tu roztrząsać przyczyn niepowodzenia tych usiłowań, zaznaczymy tylko wślad za d-rem Stefczykiem ich przedwczesność i, co za tém idzie, upadek. Przy schyłku jednak roku 1891 potrzeba stworzenia instytucyi centralnéj stała się tak naglącą, że, korzystając ze smutnych doświadczeń poprzednich stowarzyszeń, grono osób, zdawna już pracujących na tém polu, zawiązało „związek handlowy kółek rolniczych w Krakowie", ze szczupłym na początek kapitałem 6,000 złr. i 133 członkami (1 maja 1892 r.). Liczba członków wynosiła z końcem tegoż r. 1892 — 341, a ku końcowi roku 1893 podniosła się na 506 (w téj liczbie kółek rolniczych 91), a kapitał udziałowy wzrósł do 27,586 złr. Towarów sprzedano w pierwszym roku

administracyjnym (od 1 maja 1892 do 1 maja 1893 r.) za kwotę 104,600 złr.

W ciągu pozostałych 8 miesięcy roku 1893 (po koniec grudnia) sprzedano za kwotę 147,838 złr.

Terytoryalny zakres czynności ogarniał w początkach roku 1894 już wszystkie powiaty Galicyi zachodniéj i kilka powiatów wschodniéj. Sprzedaż hurtowna stanowi przeszło 85% ogólnego zbytu. Zyski pozwoliły już w pierwszym roku na wypłatę 5% dywidendy od udziałów i przeznaczenie około 500 złr. na fundusz rezerwowy.

Z. Poznański.



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

„Obraz literatury powszechnéj w streszczeniach i przykładach“ ułożyli Piotr Chmielowski i Edward Grabowski. Zeszyt I — VI. Warszawa. Teodor Paprocki i S-ka, 1894 — 1895.

Sądząc z ilości nowych książek, poświęconych literaturze powszechnéj, zajęcie się tym, zaniedbywanym dotąd przedmiotem, wzrosło u nas w ostatnich czasach znakomicie. Obok sporéj liczby przekładów, posiadamy dwie historye literatury powszechnéj: jedną gotową, tłómaczoną z niemieckiego (Scherra), drugą — niedokończoną jeszcze, dobiegającą już do kresu, opracowaną oryginalnie przez grono specyalistów i zakrojoną bardzo szeroko. Za pożyteczne dopełnienie téj ostatniéj można uważać „Obraz literatury powszechnéj w streszczeniach i przykładach” ułożony przez Piotra Chmielowskiego i Edwarda Grabowskiego. Ujrzawszy te dwa nazwiska na karcie tytułowéj, wiedzieliśmy z góry, że mamy do czynienia z wydawnictwem poważném; przejrzenie wydanych sześciu zeszytów (400 stron) utwierdziło nas w tém mniemaniu. Wydane zeszyty obejmują literatury: chińską, indyjską, staro-perską, egipską, asyro-babilońską i hebrajską; daléj idzie grecka i rzymska, oraz piśmiennictwo europejskie w wiekach średnich. Literaturze chińskiéj poświęcono parę kartek, ale wybrano rzeczy tak charakterystyczne, że dają one doskonałe pojęcie o naturze twórczości i poczucia estetycznego ziomków Konfucyusza.

Równie starannie i umiejętnie dokonano wyboru próbek i wyjątków z arcydzieł poezyi indyjskiéj, sądzimy jednak, że, ze względu na rolę, jaką literatura plemion z nad brzegów Gangesu i Indu zaczyna

odgrywać w życiu umysłowém Europy, możnaby śmiało liczbę tych cytat i streszczeń o połowę powiększyć. Wprawdzie nie nadeszła jeszcze chwila, o któréj myślał Schopenhauer, przepowiadając, że literatura i filozofia indyjska wywrze kiedyś taki wpływ na cywilizacyę naszą, jaki dawniéj wywarła literatura i filozofia grecka, mimo to jednak zaprzeczyć niepodobna, że zajęcie się płodami umysłowości indyjskiéj wzrasta bezustanku: przekłady, studya, komentarze i obszerniejsze dzieła krytyczne sypią się, jak z rogu obfitości.

Do epizodów „Mahabharaty" należałoby więc dołączyć streszczenie słynnéj „Bhagawad-Ghity", w któréj nieznany filozof i poeta zawarł całą kwintesencyę poglądów swojéj rasy na świat i życie, na cele i naturę bytu.

W dziale dramatycznym spotykamy tylko dwa dramaty („Sakuntala" i „Malati i Madhawa"); to stanowczo zamało, dramat indyjski bowiem rozpada się na kilka różnorodnych kategoryi, z których każda powinna mieć swego przedstawiciela. „Sakuntala" jest dramatem miłosnym na tle mitologiczném; w „Malati Madhawa" wzdychają do siebie i łączą sie ze sobą kochankowie śmiertelni; ale istnieje jeszcze: „Sygnet kanclerza" (Mudrarakszasa), dramat pozbawiony prawie żywiołu erotycznego i oparty na motywach czysto politycznych; istnieje „Gniéw Kausiki" (Czandakausika), gdzie znajdujemy apoteozę poczucia obowiązku i honoru, bez śladu intrygi miłosnéj; istnieje wreszcie „Wózek gliniany" (Mrczahatika), przedstawiany niedawno pod tytułem „Vasantasena" na scenach francuskich i niemieckich, a ciekawy z tego względu, że spotykamy tam kwestyę rehabilitacyi kobiéty upadłéj. Każda z tych sztuk należy do specyalnego typu, określonego dokładnie przez estetykę indyjską i każda odtwarza inną stronę umysłowości tego oryginalnego i ciekawego narodu [1]).

Prócz tego, zdaje nam się, że obszerniejsze objaśnienia nazw i imion indyjskich przyczyniłyby się niemało do obudzenia większego zajęcia w czytelniku. Zbyteczna lakoniczność może pozostawić pewne wątpliwości. Tak np. wyraz *soma* nie da się objaśnić krótko jako „napój nieśmiertelnych" (str. 6), chociaż stoi z tém pojęciem w niejakim związku. Właściwym napojem nieśmiertelnych jest „amrita" (ambrozya?); bogowie indyjscy wydobyli ją z morza mlecznego, mącąc je za pomocą olbrzymiéj góry Mandar, zawieszonéj na wężu Ananda. Po długiém bełtaniu wyszły z morza różne drogocenne rzeczy, a na końcu wyfrunął geniusz Danawandi z czarą amrity w ręku. O napój

---

1) Wszystkie wymienione dramaty są tłómaczone na język niemiecki lub francuski.

ten, nadający nieśmiertelność, musieli bogowie stoczyć zacięty bój z demonami, których zwyciężyli. *Soma* jest tylko ziemskim symbolem amrity. Kapłani przygotowują somę z odurzającego soku rośliny *Asclepias acida* i używają jéj jako narkotyku do wprowadzenia się w stan ekstazy somnambulicznéj. Analogiem *Somy* jest staroperska *Haoma*, a po części sok liści laurowych, żutych przez Pytyę delficką, oraz kadzidła i maści narkotyczne używane przy praktykach szamańskich i magiczno-czarodziejskich. Picie somy uważane było za uczynek miły bogom, za rodzaj jakiegoś „sakramentu", wprowadzającego ofiarnika w mistyczny związek z przyczyną wszechrzeczy.

Zbytnia zwięzłość komentarzy nie zmniejsza w niczém wartości samych przykładów i streszczeń dokonanych bardzo starannie i umiejętnie.

Literaturę staroperską reprezentują dwa wyjątki z hymnów (gaty) z Zend-Awesty, w przekładzie Ign. Radlińskiego. Bogatszą i bardziéj urozmaiconą wiązkę cytat dostarczyła literatura egipska; ciekawą zwłaszcza jest powiastka prozą p. t. „Przeznaczenie".

Interesująco, ze względu na analogie, przedstawia się wybór wyjątków z literatury asyro-babilońskiéj: Hymny i psalmy pokutne, odcyfrowane z cegiełek, brzmią tak samo prawie, jak wiele znanych nam dobrze utworów poezyi religijnéj. Szkoda, że nie dołączono tu paru zamawiań i zaklęć akkadyjskich, których treść i forma przypomina zaklęcia i zamawiania ludu prostego u nas.

Płody poezyi hebrajskiéj podano nie w popularnéj formie prozaicznego przekładu, lecz w parafrazach rytmicznych i rymowanych, dokonanych przez Niemcewicza, Maszewskiego, Brodzińskiego, Ujejskiego, Kochanowskiego, Radlińskiego i Kramsztyka.

Dział II-gi poświęcony został twórczości Hellenów. Wśród wyjątków z „Iliady" spotykamy nie drukowane, o ile wiemy, nigdzie ustępy bardzo pięknego przekładu téj epopei pióra Feliksa Jezierskiego. Znany tłómacz Goethego, Byrona i Longfellowa, umiał przetopić homerowskie heksametry na polskie trzynastozgłoskówce rymowane, nie zatracając przytém ani barwności, ani siły, ani płynności, ani szlachetnego nastroju oryginału. Oto na próbę ustęp z opisu walki Hektora i Achillesa:

Jak ów świetny o zmroku w chwilach mlekobrania
Hesper, gwiazda nad gwiazdy lśniąca z niebokręgu:
Tak lśni się dzida, którą Achilles w napręgu
Męską dłonią rozmachnął, śledząc kędy snadnie
W piękne ciało Hektora jéj żądło zapadnie.

Lecz zdarty z Patroklesa wraz z łupem żywota
Puklerz przed śmiercią wszystkie pozamykał wrota.
Krom pogranicza szyi i kluczowéj kości:
Tam tylko duszy groził pocisk śmiertelności:
Tam wymierzył Achilles — wnet dzida zajadła
Grotem zabójczym w szyję młodziuchną zapadła.
Jeszcze nie przegryzł krtani jesion kuty miedzią,
Jeszcze Hektor przedzgonną jęknął odpowiedzią:
Leżał w pyle, a ten się pastwą rozwesela:
„Głupcze — mówi — zabiłeś mego przyjaciela
I żyć chciałeś? Nie marząc, że kędyś samotny
U lotnych dybie łodzi, za tryumf sromotny
Mściciel możniejszy: otóż zgiął tobie kolano!
Ptastwo, psy, spasie twoją krwią w pyle zbrukaną.

Jaka szkoda, że tłómacz nie dokończył, — a może tylko nie wydał?—swojéj roboty! Sądząc z przytoczonych wyjątków, byłby to najlepszy, bo najbardziéj poetyczny z naszych przekładów „Iliady”. Heksametr zawsze brzmi po polsku nienaturalnie. Najwłaściwszą, bo najnaturalniejszą, szatą poetycką naszego języka był i jest wiersz sylabiczny, zwłaszcza rymowany. Takim wierszem dokonał także Lucyan Siemieński przekładu „Odyssei”, którą się czyta z przyjemnością, bez wysiłku, gdy wszystkie heksametrowe tłómaczenia „Iliady” traktowane są przez publiczność jako rzeczy ciężkie, „uczone”, dobre dla studyów, ale nie sprawiające estetycznéj przyjemności.

Po Homerze idą kolejno wszyscy ważniejsi arcymistrze poezyi helleńskiéj: Hezyod, Pindar, Anakreon, Eschylos, Sofokles, Eurypides, Arystofanes, etc., a wreszcie jako przedstawiciel prozy Heliodor (w przekładzie Edw. Grabowskiego).

Poezyi rzymskiéj poświęcono półtora zeszytu, uwzględniając wszystko, co zasługiwało na uwzględnienie. Przy cytowaniu większych poematów czerpano ze wszystkich istniejących tłómaczeń w porządku chronologicznym. Uważamy to za bardzo słuszne, raz dlatego, że tym sposobem uzmysławia się niejako historyczny stosunek naszéj literatury do danego autora cudzoziemskiego, powtóre zaś, że każdy tłómacz uwydatniał zwykle jedną stronę oryginału, zaniedbując, mimowoli, inne.

W zeszycie V-ym na czele spotykamy utwory poezyi chrześciańskiéj w języku łacińskim. Daléj idzie poezya prowansalska, któréj głównym tłómaczem był u nas Edward Porębowicz. Następnie wyjątki „Pieśni o Rolandzie” (przekł. Duchińskiéj) rozpoczynają dział poezyi francuskiéj. Nowemi zupełnie dla naszéj publiczności będą prześliczne utwory jednego z najoryginalniejszych poetów staro-francuskich, Franciszka Villona, których przekładu dokonał w sposób wy-

śmienity Kazimierz Gliński. Tłómacz zachował cały wdzięk poetyczny oryginału, nie zaciérając nic z myślowéj strony tych pięknych melancholijnych elegii.

Oto wyjątek ze smutnego „Napisu Nagrobkowego" (Epitaphe), ułożonego przez poetę w więzieniu, w oczekiwaniu śmierci na szubienicy za różne nieczyste sprawki. Villon pisze o sobie i o swoich towarzyszach, jako o wisielcach:

Rozmokliśmy od deszczu, jak zużyte śmiecie,
A słońce wysuszyło i w Negrów przemienia —
Wrony i kruki, dziobiąc, siadają na grzbiecie,
Drą oczy, szarpią brody, z brwi już niemasz cienia.
Ach myśmy nie zaznali ni chwili wytchnienia;
To tu, to tam nas targa wicher i szaleje —
Zdziobani jak naparstek, żądni snu godzinę...
O, bracia, nie wstępujcie wy w nasze koleje,
Lecz módlcie się do Boga, by przebaczył winę!

Bardzo dobrym również jest przekład charakterystycznéj farsy francuskiéj „O mistrzu Pathelin'ie", dokonany po raz pierwszy przez Edwarda Grabowskiego. W dalszym ciągu podano płody średniowiecznéj poezyi włoskiéj: „Hymn", Ś go Franciszka z Assyżu, w przekładzie Lucyana Siemieńskiego; Dante'go „*Vita Nuova*" i „Komedya Boska" (przekłady Faleńskiego i Asnyka); sonety i canzony Petrarki (przekł. Faleńskiego) i jedną z nowel Dekamerona, Bokacyusza w tłómaczeniu Ordona. Te ostatnie utwory pomieszczone zostały już w zeszycie VI-ym, który zawiéra w dalszym ciągu wzory poezyi hiszpańskiéj (Cyd i Romance), oraz staro-germańskiego „Beowulfa"; wyjątki z „Eddy", po części prozą w przekładzie Lelewela, po części zaś wierszem w tłómaczeniu Brodzińskiego. „Pieśń o Nibelungach" streszczono całą, nie żałując obszernych wyjątków z wybornego przekładu Germana. Czerpiąc z pracy tego tłómacza, należało, zdaniem naszém, zachować i nadany przez niego tytuł „Niedoli—nie pieśni—Nibelungów", témbardziéj, że tytuł ten jest właściwym, ów staro-niemiecki poemat bowiem zowie się naprawdę „*Nibelungen Noth*", nie „*Niebelungen-Lied*", chociaż ostatnia nazwa jest popularniejsza.

Resztę wyjątków poezyi staroniemieckiéj przełożył, prawdopodobnie specyalnie dla wydawnictwa, Jan Kasprowicz. Jest tam duży ustęp z „Gudruny" i z „Parsywala". Ten sławny utwór Wolframa von Eschenbach, będący dla poezyi staro-niemieckiéj tém samém, czém jest „Faust" dla poezyi nowszéj, zasługiwał na streszczenie obszerniejsze i zupełniejsze. Tenże sam tłómacz dokonał — i to bardzo dobrze — przekładu wyjątków z „Biédnego Henryka" Hart-

manna von der Aue i z liryk Waltera von der Vogelweide. Oto próbka:

Nr. 3. Potęga miłości.

Miłości! któż téj mocy cud
Dał ci, żeś tak wszechmocna ty?
Pod twojém jarzmem wszelki lud —
Stary i młody wszakżeż drży.
Jać chwalę Boga, odkąd sam
Kajdany twoje noszę, odkąd pewność mam,
Że wiernéj służby nadszedł dzień!
Nie zrzucę tego jarzma: pozwól, bym ci pani,
Aż do ostatnich służył tchnień.

Nr. 11. Boga zgłębić nie można.

Któż, Boże, twą szerokość i twą wysokość zna?
Niech człek—by ich nie tracić—o czas i trud swój dba!
Potęga twa i wieczność, czyż miarę jaką ma?
Wiem o tém, gdy to zbadać zmysł innych się porywa;
Dla zmysłów niedościgłą wszak jest istota twa?!
Zbyt wielkiś i zbyt małyś, a zmysł nasz mrok okrywa,
Kto noc i dzień to zgłębia, ten zmysłów się pozbywa!
Czyż zbada to, co zbadać czczym trudem się nazywa?!

Z pod pióra Jana Kasprowicza wyszedł także przekład ustępów z „Powieści kantonberyjskich” angielskiego poety Chaucera. Urywki z poezyi czeskiéj, ruskiéj i serbskiéj zamykają zeszyt.

Wogóle „Obraz literatury powszechnéj” przedstawia się jako wydawnictwo b a r d z o p o w a ż n e — i bardzo pożyteczne. Nie są to wypisy, robione na chybił trafił, lecz dzieło układane systematycznie, według obmyślonego gruntownie planu. Na każdéj stronicy czuć ręce specyalistów obeznanych dokładnie z przedmiotem i poruszających się swobodnie w olbrzymim chaosie płodów literackich całego świata i wiedzących doskonale co wybrać, a co pominąć należy. Co do samych przekładów, to, jakeśmy kilkakrotnie zaznaczali, należą one do najlepszych, jakie nasz język posiada.

Ignacy Matuszewski.

Dr. Alfred Nossig. „Einführung in das Studium der Socialen-Hygiene. Geschichtliche Entwicklung und Bedeutung der öffentlichen Gesundheitspflege.“ Deutsche Verlags-Anstalt, Stuttgart, Leipzig, Berlin, Wien, 1894.

Niemal wszystkie gałęzie umiejętności stają się dziś powoli s p o ł e c z n e m i — z imienia przynajmniéj. Los ten spotkał dawniéj eko-

nomię, która przedtém zwała się polityczną; późniéj przyszła koléj na socyologię, która wpierw była historyą lub historyozofią; uległo takiéjże metamorfozie i prawo, które dawniéj tytułowano państwowém; obecnie znowu dzieje się coś podobnego z hygieną, która niegdyś dzieliła się po prostu na prywatną i publiczną, obecnie zaś otrzymała już godność „społecznéj".

Godność tylko, bo na czémby się zasadzała zmiana istotna, dociec trudno. Dr. Alfred Nossig zapewnia wprawdzie, że „Hygiena społeczna" jest najstarszą i zarazem najmłodszą z nauk (str. 3). Najstarszą jest ona dlatego, że już za czasów Mojżesza znane były pewne przepisy, pewne sposoby zwyczajowe lub empiryczne, z których pomocą ludzie usiłowali zabezpieczyć swe zdrowie fizyczne od złowrogich wpływów klimatu lub otoczenia w ogólności. Lecz z jakiego powodu hygiena ta społeczna miała być najmłodszą, odgadnąć niepodobna, skoro autor powielekroć w ciągu dzieła zapewnia, że nie posiada ona dotąd ani jednéj katedry uniwersyteckiéj, nie jest wcale ukonstytuowaną i dopiéro zapewne w wieku XX-ym pozyska uznanie powszechne, jako umiejętność popularna, ulubiona — *Lieblingswissenschaft*... Zaprawdę, zanadto to młode, co na świat jeszcze nie przyszło!

Za to, zgodzić się trzeba, że gdy przyjdzie, będzie niemal wszechpotężną. Oto jest dosłowna jéj definicya: „Hygiena społeczna jest nauką o utrzymaniu i rozszerzeniu materyalnego dobrobytu ludów; dobrobyt zaś materyalny, jak powiada Virchow, jest podstawą wszelkiéj oświaty i swobody, — podstawą — dodajmy od siebie — wszelkiego uszczęśliwienia, rozwoju i trwałości narodów" (str. 1)... Westchnienie mimowoli wyrywa się z piersi na odgłos tych słów. Toć dosłownie to samo obiecywała niegdyś astrologia lub alchemia, następnie scholastyka, za dni naszych filozofia Hegla, a nawet „Fizyka społeczna" Supińskiego... A jednak nie stało nic: „wszystko jak i było"...

Ściślejsze, zgodniejsze z rzeczywistością określenie hygieny społecznéj znajdujemy u d-ra Nossiga dopiéro na str. 217-éj. Zgodnie z francuskim uczonym S. Rochardem dr. Nossig przeciwstawia hygienę medycynie, a raczéj téj części medycyny, która się terapią zowie, i powiada, że pierwsza leczy choroby, druga im zapobiega; tamta jest z natury swojéj indywidualną (w tém znaczeniu, że każdego chorego léczyć trzeba z osobna), ta zaś ma charakter zbiorowy; największa zaś przewaga hygieny nad medycyną polegać ma na tém, że „ochronienie przed chorobą tysiąca ludzi zdrowych łacniéj się odbywa i kosztuje nieraz taniéj, niż podźwignięcie z niemocy jednego jedynego osobnika. Atoli, nawet w tych granicach bardziéj uspecyalizowanych i zwężonych hygiena społeczna jest umiejętnością (w części zaś i sztuką) ra-

czéj do stworzenia niż stworzoną. Najpierw, pomimo pozornéj swéj wyższości nad medycyną, zawisłość jéj od téj ostatniéj rażącą jest w tym punkcie, że, pragnąc zapobiegać chorobom, trzeba je przedewszystkiém poznać i zbadać, w czém hygienista obyć się nie może bez pomocy lekarza. Powtóre, jako wyraz zbiorowéj inicyatywy prywatnéj, z łona samego społeczeństwa czerpać mającéj nietylko swe zasadnicze wskazówki teoretyczne, ale i swe zasoby wykonawcze, socyalna ta hygiena nie byłaby zdolna obyć się bez współudziału państwa, bez interwencyi władz administracyjnych, a zatém i bez ciągłego oglądania się w swych widokach najczyściéj metodologicznych i spekulatywnych na dyrektywę ustaw i regulaminów, stanowiących dziedzinę policyi, w najrozleglejszém tego słowa znaczeniu. Faktycznie téż, jak dotąd, początkowania „najmłodszéj" téj umiejętności, — umiejętności wieku XX-go sprowadza się do szeregu narad, protokułów i uchwał kongresów hygienicznych, których dotąd odbyło się kilkanaście: w latach 1851 i 1852 w Brukselli, następnie, po długiéj przerwie, znowuż w Brukselli 1876 r., w Paryżu 1878 r., Turynie 1880 r., Genewie 1882, Hadze 1884, Wiedniu 1887, Paryżu 1889, Londynie 1891, Peszcie 1894 (str. 193). Postanowień doniosłych, daleko sięgających, nie zabrakło, wszystkie one jednak przypominają dezyderata licznych owych lig pokoju i wolności, które klęski wojny zażegnać pragną nie mniéj szczerze i gorąco, jak doktorowie Virchow lub Rochard, chcieliby bakteryologiczne zarazki chorób wyniszczyć z pomocą międzynarodowego kodeksu sanitarnego, który jest ostatniém słowem erudycyjnych wywodów d-ra Nossiga (str. 249).

Swoją drogą, dzieło, o którém mowa, zawiéra sporo cennych wskazówek, zgromadzonych na niewielkiéj stosunkowo ilości stronnic. Literatura przedmiotu, nie tyle może bogata, ile rozległa, przytoczona starannie i w możliwym komplecie (przeważnie na str. 192, 197, 198, 203, 243, 248). Dokładnie wymienione i scharakteryzowane poszukiwania bakteryologiczne, które w wieku naszym stanowczo i gruntownie przeobraziły dawną medycynę i dawną hygienę, tudzież podane monografie odkryć Schwanna, Pouchet'a, Tyndalla, Cohna, Klebsa, Pasteura, Kocha (198—210). Oznaczone granice umiejętności nowéj i jéj stosunek do najbliższych lub pokrewnych dziedzin naukowych, medycyny, ekonomiki, przyrodoznawstwa, socyologii (211 — 222). Szczególnie zaś dobrze, treściwie i wyczerpująco wytknięte istniejące dziś organizacye służby zdrowia, we Francyi (243) i Anglii (244)... Nie można też ani na chwilę wątpić, odczytując książkę d-ra Nossiga, że autor szczerze i głęboko wierzy w niezmiernie dobroczynne dla ludzkości następstwa wzorowych urządzeń hygienicznych i w owoc-

ność teoretycznych lub praktycznych na têm polu usiłowań tak osób pojedyńczych, jak i stowarzyszeń naukowych. Ale nie sposób również oprzéć się wrażeniu, że wiara ta jego gdzieniegdzie prowadzi do wniosków zbyt optymistycznych, że mu w ocenie rezultatów dotychczas otrzymanych nasuwa poglądy, które równém prawem zaliczone być mogą na dobro hygieny, jak i na dobro masy wszelkich innych czynników rozwoju i postępu, składających się na to, co pospolicie rozumiemy pod mianem oświaty i cywilizacyi nowoczesnéj. Weźmy parę przykładów.

Tyfus, który w wielkich państwach i gęstszych zbiorowiskach ludzkich jest chorobą zaraźliwą, zabiéra nam dzisiaj coraz mniéj ofiar. Na 10,000 mieszkańców było wypadków śmiertelnych: w Anglii 9.8 w r. 1850, 2.1 w r. 1887; w Belgii 8.7 w r. 1870, 4.3 w r. 1887; w Paryżu 18.45 w r. 1850, 9 w r. 1887; w Berlinie 10.4 w r. 1855, 1.4 w r. 1887; w Petersburgu 52.8 w r. 1878, 8.8 w r. 1888 (str. 223)... I to ma być nieodmiennie i wyłącznie skutek ulepszonych zarządzeń społeczno-hygienicznych i policyjno-sanitarnych? Dajcież sobie święty spokój! W takim razie zaciągniemy chyba na rachunek czujności stójkowych, nowozałożone skwery i szczelnie zasklepione kanały stare, wpływ osuszonych błot w okolicy i podniesienie poziomu moralności po szkołach, klasztorach i koszarach, rozpowszechnienie wydawnictw towarzystw pedagogicznych i gorliwszą propagandę religijną z ambon... Znacznie więcéj zaufania budzi już statystyka syfilitycznych przypadłości w Galicyi, gdzie w r. 1889 było zarażeń tego rodzaju 1,433, zaś w r. 1891 tylko 953. Wymagałby, nawzajem, bliższego sprawdzenia przyczyn specyficznych fakt następujący. Podczas gdy w wojnie krymskiéj z ogólnéj straty Francuzów 95,000 żołnierzy, poległo na polu bitew zaledwie 20,000, zmarło zaś po szpitalach na rozmaite choroby 75,000, to piętnaście lat późniéj, mianowicie w wojnie niemieckiéj, straty te wyraziły się w cyfrach: 28,000 zabitych, i 12,000 zmarłych (str. 224). Co zaś do szkód, jakie rozmaite kraje ponoszą wskutek złych warunków hygienicznych, oraz możliwych zysków na wypadek doprowadzenia środków uzdrowotnienia powszechnego do pewnéj doskonałości, potrącają one niemal o świat fantazyi i dowolności zupełnéj. Dziś śmierć zabiéra we Francyi 858,238 osób rocznie, obliczonych na 940,684,444 franków (w tymże czasie Anglia traci tylko 275,000,000 franków); obok tego koszta lecznicze i inne, z pielęgnowania chorych wynoszą we Francyi rocznie 708,420,583 fr. Hygiena socyalna, należycie zastosowana, zaoszczędziłaby już obecnie co najmniéj 165 milionów franków rocznie (str. 229 — 231)... A coby się to stać mogło z czasem!...

Cóżkolwiekbądź, statystyczne takie zestawienia są i zajmujące i pod niejednym względem pożyteczne. Inaczéj się sprawa ma z historycznemi zarysami hygieny w czasach dawnych, u Chińczyków, Hindusów, Persów, Żydów, Greków, Rzymian i w wiekach średnich. Poświęca im autor więcéj niż połowę swego dzieła (str. 9 — 186), a nie dobrze rozumiemy dlaczego, wobec własnych jego postulatów, że mikrobowa teorya doszczętnie w naszych czasach zmieniła wszystkie podwaliny, metody i środki medycyny, tudzież, że z dawnych w tym zakresie wyobrażeń i dawnéj mądrości ludów pozostały na dziś zaledwie strzępy zdań luźnych, dorywczych, empirycznych. Rzeczywiście, wzdłuż całego szeregu wieków początki dość zgodnie podają tu rękę końcom, — Konfucyusz np. Janowi Jakóbowi Rousseau. Mędrzec chiński powiadał krótko: „Jako cień i echo, tak szczęście i nieszczęście ludzkie idą w ślad tego, czy przestrzegasz przykazań natury, czy je gwałcisz" (str. 10). Nie co innego miał na myśli i Rousseau, utrzymując, że „*l'hygiène est moins une science qu'une vertu*", — skoro cnota cnót jego zasadzała się, jak wiadomo, na bezwzględném niemal poddaniu się i posłuszeństwie głosowi i prawom natury (str. 188). Za dni naszych takie poddanie się i posłuszeństwo wielkiemu, nieogarnionemu, zewsząd nas otaczającemu państwu mikrobów znaczyłoby tyleż, co zagrzebanie się żywcem do ziemi. Cała sztuka, cnota, hygiena i niemal religia spoczywa w nakazie kategorycznym: unikaj bakteryi! walcz z niemi!

Dr. Nossig dość zresztą pobieżnie i niemal od niechcenia traktuje historyę hygieny u ludów szczepu aryjskiego. Grekom poświęca zaledwie kilka kartek (145—160), staremu Rzymowi nie więcéj (161—178), chrystyanizmowi i wiekom średnim aż do okresu odrodzenia mniéj jeszcze (179—181). Rozwodzi się natomiast nad hygieną u Żydów, zagarniając dla nich oddzielne rozdziały i księgi, w których rozstrząsa: hygienę Dekalogu, hygienę Biblii, hygienę Talmudu, hygienę Majmonidesa, — hygienę mieszkań, pokarmu, snu, kąpieli, pracy ręcznéj i t. d. (str. 31—141). Bezwątpienia, dostępniejsze i lepiéj znane ogółowi są pisma starego Zakonu, niż taka aryjska Rig-Weda, z któréj jednakże bez porównania więcéj dałoby się zaczerpnąć rad i uwag, odpowiadających celowi zadania, niżli z Miszny lub z kodeksu „Jad-Hazakach". Przytém wiele ustępów z Pięcioksiągu mojżeszowego autor najpoważniéj traktuje jako wyrozumowane przepisy oględności leczniczéj lub zdrowotnéj, choć wypłynęły one najprawdopodobniéj z jakichś podań ciemnych, niezrozumiałych, przechowanych w słowie żywém, następnie zaś w piśmie jako skamieniała relikwia epok przedhistorycznych. Pewne np. bolesne a dziwaczne obrzędy mozaizmu nie

dadzą się już dziś wytłómaczyć ani klimatem Palestyny, ani potrzebą pomnożenia ludności, o czém szerzéj mówią jedynie początkowe rozdziały Pięcioksiągu. Kto wié, czy cała ta ceremonia nie wysnuła się z niepodobieństwa wyrozumienia takich archaizmów Biblii, jak ów sławny werset 24 — 25 trzeciego rozdziału księgi wyjścia, zaliczany przez uczonych komentatorów Starego Testamentu do najtwardszych zabytków barbarzyńskiego okresu historyi Izraelitów: „A gdy Mojżesz był na drodze, w drodze zabieżał go Jehowah i chciał go zabić. Wtedy jego żona, Zephora, wzięła prędko bardzo ostry kamień i obrzezała obrzezek syna swego i tknęła się nóg jego (Jehowy?) i rzekła: oblubieńcem krwie tyś mi jest... I puścił go Jehowah..." Nie ma kwestyi, że dziwolężne to zjawisko bóstwa, któremu dla odkupu trzeba było rzucić cząstkę żywego mięsa ludzkiego, sięga czasów, kiedy Izraelici pierworodne swe niemowlęta składali Jehowie w ofierze (Renan, „*Hist. du peuple d'Izrael*", t. I, str. 122 — 127). Cóż więc wspólnego mogą miéć tradycye podobne, wstrętne i dzikie z hygieną w ogólności, témbardziéj zaś z „Hygieną społeczną", — oblubienicą wieku XX-go?

Z tém wszystkiém, po należytém wyrównaniu części historycznéj, to jest po skróceniu jéj działu żydowskiego przynajmniéj do połowy, książka d-ra Alfreda Nossiga zasługiwałaby na przyswojenie piśmiennictwu polskiemu. Wykład autora jest dostępny, prosty i jasny, ugrupowanie treści dobrze obmyślane i logiczne, wiadomości ciekawych pełno wszędzie. Praca to sumienna, oparta na materyałach zebranych skrzętnie i nie bez niejakich trudności (zaznaczone to zostało w przedmowie) po bibliotekach paryskich i wiedeńskich.

* * *

„Wisła", artykuł p. Bronisława Chlebowskiego w „Słowniku geograficznym", zesz. 152 (str. 577—601).

I. *Nazwa Wisły.* Badaniu dziejów pierwotnych etymologia, nauka prawdziwego oznaczania słów i nazw, jakiemu językowi przynależą, co wyrażają, oddaje ważne przysługi; po wszystkie czasy, szczególniéj zaś w średnie i nowe wieki, wywodami etymologicznemi popierano historyczne; wszędzie, gdzie pomniki, tradycye, źródła zaginęły, urwały się lub poplątały, etymologia z ciemnic i manowców na bity szlak wyprowadza.

Taki naprzykład wywód słowa Walh, jakiém Niemcy szczepy celtyckie i romańskie (Wälsche), a my za nimi Włochów (i Wołochów)

przezwali, od plemienia celtyckiego Wolków, oświeca naraz stosunki i położenie ludów germańskich i celtyckich w czasach, do których żadna tradycya, żadne źródło historyczne, ani Cezar, ani Tacyt, nie docierają. Weźmy przykład bliższy: etymologia dowodzi, że zarówno nazwy kijowskich książąt i drużyny jak i nazwy porohów Dniepru w ich ustach, poszły z języka Nordmanów; ten językowy dowód usuwa wszelką wątpliwość co do pochodzenia tych ludzi; można się nie zgadzać z tradycyą, z tak zwanym Nestorem; można wykazać jéj sprzeczności i nieprawdopodobieństwa; dowieść nawet, jak ona fakta pogwałca lub zabarwia: lecz świadectwa, z etymologii owych nazw wziętego, nic nigdy nie wzruszy i o te nazwy tylko rozbija się wszelka polemika antynormanistów; od tych nazw tylko odpadają bezsilnie wszystkie argumenta Kostomarowa, Gedeonowa i Iłowajskiego, jak kulki z papiéru od murów z granitu.

Niestety, etymologia etymologii nie równa; obok przytoczonych właśnie przykładów możemy postawić owe naiwne średniowieczne wywody nazwy Dalmacyi z „dała mać" lub, w XVII-ym wieku, wywody księdza Dębołęckiego, wedle których Pelasgowie Polaczkowie, Grecy grzeczni, Ateny uczenie, Abel ubył, Goty gotowi i t. d. Tego rodzaju „etymologie", np. Turyngi tyle co Durzyńcy i t. p., popłacają i dziś jeszcze; do nich należy téż najnowsza „etymologia" Wisły, wyłożona w „Słowniku geograficznym".

Artykuł „Wisła" w „Słowniku" bogaty w szczegóły i starannie opracowany, lecz przeciw wszelkim wywodom językowym, jakie zawiéra, zastrzedz się wypada.

Gdyby autor jeszcze Wisłę z Wezerą był połączył, to znane obie nazwy do wspólnego pierwiastka odniósł, nie możnaby mu zbyt wiele zarzucać; on sięgnął daléj i połączył Wisłę z Dunajem. Co Celtowie Dunajem, zwały narody trackie Istrem; Wisła i Ister (niby Wister), od jednego pierwiastka nazwane „świadczyć będą o związku plemiennym mieszkańców przy ujściu obu dróg wodnych środkowéj Europy".

I tu byśmy jeszcze nie protestowali: odniesienie nazw Wisły i Istru do jednego pierwiastku, jeśli ogółem słuszne, niczego daléj nie dowodzi; od tego samego pierwiastka nazwane są i rzeki we Francyi i Niemczech—nic dziwnego, gdyż Celtowie i Niemcy, Słowianie i Trakowie do jednego szczepu językowego należą. Lecz autor nie zadawala się samém rdzenném pokrewieństwem obu nazw; dla niego powstała Wisła z Wistła, a ta z pierwotnéj Wistra, równoznacznéj z nazwą Bistra, znacząca Jasna Woda; otóż Wistra, ta pierwotna nazwa

królowéj rzek naszych, zostawałaby w ścisłém pokrewieństwie z nazwą starożytną dolnego Dunaju, Ister.

W wywodzie tym błąd na błędzie siedzi i błędem pogania. Najpierw, gdzie dowód, że Wisła z Wistła powstała? W łacińskiéj formie Vistula, obok Vistla i Viscla, wsunięte *t* lub *k* w niezwykłą dla łacinnika zbitkę *sl*; tak samo powstały łacińsko-greckie odmianki nazwy Słowian, Sklaveni i Stlaveni; przypuszczenie więc pierwotnéj formy Wistła zupełnie dowolne. Podstawianie zaś dalsze form Wistra i Bistra zupełnie błędne: Bistra t. j. bystra, z Wistrą lub Wisłą nigdy nic spólnego miéć nie mogą, bo ani *i*, *y*, ani *b*, *w* w językach słowiańskich pierwotnie się nie spadają; że zaś u południowych Słowian późniéj bystry bistrym się staje, a Niemcy Bystrzycę Feistritz i Weistritz nazywają—to naszéj Wisły w niczém dotykać nie może.

Powtarzamy, rdzenne pokrewieństwo między nazwami Wisły i Istru możebne o tyle, o ile mowy Traków i Słowian, jako ludów aryjskich, pokrewne; po za rdzenném pokrewieństwem zaś innego, bliższego, np. w przyrostkach wcale nie ma. Nam wystarcza wiedziéć, że nazwa Wisły słowiańska, o czém i Niemcy, przynajmniéj kompetentni, wcale nie wątpią; z jakiego pierwiastka ona poszła, mniejsza z tém: dotychczasowych kombinacyi i domysłów nie myślimy o nowe pomnażać. Co zaś nazwy Biała Woda tyczy, była ona dla Wisły powszechną u głębszéj Rusi, car Iwan Groźny np. nieraz zapowiadać każe, że konie swe w Białéj Wodzie poić będzie i t. d.

Lecz artykuł w „Słowniku” o Wiśle zawiéra jeszcze jedno przypuszczenie, na jakie również zgodzić się nie można, przypuszczenie o okresie pierwotnéj kultury nad brzegiem Wisły, między IX a XI-ym wiekiem, któréj krzewicielami byliby Pomorzanie. Nie przeczymy, że nadbrzeżny pas Pomorza, w stosunku do głębiéj położonych siedzib szczepów pomorskich i polskich, odznaczał się ruchem i bogactwem, napływem ludności tubylczéj i handlarzy obcych, lecz jakżeż stąd daleko do przypuszczenia, że żeglarze i kupcy pomorscy, jak dzisiejsi przemysłowcy śród dzikich plemion Afryki, przy rozwinięciu się stałych stosunków handlowych z ludnością nadwiślańską pozakładali stacye handlowe, a przy nich obronne grodziska, że kolonizacya i kultura pomorska sięgała aż pod Kraków.

Główny argument wywodu tego znowu wyłącznie językowy, etymologiczny: nad Wisłą i jéj dopływami znachodzimy liczne, stare nazwy grodów i osad, nie znane zresztą w Polsce, a powtarzające się na Pomorzu. Niestety, argument ten zupełnie mylny: nazwy (Kraków, Płock i in.), niby pomorskie, powtarzają się bowiem stale po całéj zachodniéj Słowiańszczyznie, nie mówiąc o takich, jak Czerwieńsk, Ka-

mień, Brodno, Chrosna, Gołąb i in., najzwyklejszych po całéj Słowiańszczyznie, lub późnych, chrześciańskich i polskich, jak Popów i in.; nazwy te są więc tak polskie, jak i pomorskie, i nic z nich wnioskować się nie daje. „Tradycye” Kadłubka o wojnach Polaków z ludami zamorskiemi, późniejszych o władaniu synów Leszka na Rugii i Pomorzu przypuszczeń autora w niczém nie podeprą, bo są wymysłami kronikarskiemi; archeologicznym domysłom o odrębności nadwiślańskich zabytków wobec np. wielkopolskich, autor sam zbytniéj wagi nie przyznaje, skoro w nazwach znajduje potwierdzenie wymowniejsze i bardziéj przekonywujące. Jeżeli wolno w ten sposób wnioskować, to z jeszcze większą łatwością udowodnimy z terminologii nadwiślańskiéj kolonizacyą czeską lub ruską, począwszy od Lublina i Sandomierza, których na Pomorzu nie znajdzie, za to na Rusi.

Obok etymologii, prostującéj szlaki tradycyi i historyi, krzewi się bujniéj obłęd etymologiczny, zwodzący ze szlaków na manowce; należy się go wystrzegać. *A. Brückner.*

II. W rozdziale V-ym czytamy o „zaludnieniu brzegów i znaczeniu dziejowém” Wisły. Sporo tu twierdzeń, popieranych argumentami wątpliwéj wartości. Zaludnienie brzegów téj rzeki przez Słowian miało nastąpić naprzód, a jednocześnie, koło Krakowa i Wiślicy w górnym biegu rzeki, koło Gdańska — w dolnym; środkowa zaś, najdaléj ku wschodowi zwrócona część koryta Wisły najpóźniéj jakoby dosięgnięta została przez ruch kolonizacyjny, z zachodu na wschód idący. Jeżeli Słowianie, którzy osiedlili się nad Wisłą, ciągnęli tu od „Odry i Warty”, to skądże się tam wzięli? Dwie chyba tylko mogą być odpowiedzi: 1) albo przypłynęli Baltykiem, o czém jakoś nie słychać; 2) albo przybyli od południo-wschodu, z nad brzegów morza Czarnego, od ujść Dunaju, a w takim razie zadziwiać może, iż przebrnęli puste niby brzegi Wisły i nie osiedlili się nad nią, dążąc koniecznie nad Wartę i Odrę, by stamtąd dopiéro szerzyć ruch kolonizacyjny ku Wiśle. Zagadka to dziwna. Nie objaśnia jéj przecież twierdzenie autora, jakoby „jeszcze w połowie XII-go wieku po obu brzegach Wisły na przestrzeni od Krakowa do Torunia ciągnęły się pierwotne puszcze, z nielicznemi nadwodnemi osadami ludzkiemi a licznemi dość jeszcze koloniami bobrów”. Puszcze nad Wisłą, np. Niepołomicka, Kozienicka, Kapinoska, istniały i w XVIII-ém stuleciu, długo w nich żyły tury, niedźwiedzie i bobry; nie wynika jednak z tego, żeby równie długo brzegi Wisły miały być puste i bezludne, lub choćby

słabo zaludnione. Z pomiędzy dwudziestu kilku osad, których nazwy pochodzą od bobra, a rozrzuconych po całym kraju, kilka zaledwie leży w pobliżu Wisły; znaczy to chyba, że zaludnienie nad brzegami téj rzeki zgęstniało pierwéj aniżeli w okolicach, daléj od Wisły odsuniętych. Skąd autorowi wiadomo, że „w epoce przedhistorycznéj, kończącéj się tu właściwie dopiéro w połowie XII-go wieku", a ściśléj mówiąc, w „pierwszym" jéj „peryodzie", „po puszczach nadwiślańskich błąkają się nieliczne różnoplemienne (?) gromadki ludności"? P. Chlebowski mówi o „mieszanéj plemiennie ludności późniejszéj ziemi dobrzyńskiéj i chełmińskiéj", o Kujawianach „także mieszanego pochodzenia"; nie objaśnia atoli, z jaką to rasą nastąpiło owo pomieszanie: słowiańską, czy inną? Że ziemię dobrzyńską mogli częściowo zasiedlić od wschodu Mazurowie, a od południa Kujawiacy, że Chełmińską mogli w stronie jednéj zamieszkiwać Prusowie, a w drugiéj Polacy, — to jest możliwe; ale stąd do mówienia o pomieszaniu plemienném, o mieszaném pochodzeniu, skok zbyt wielki, a niepotrzebny. — Jeszcze bardziéj zadziwia przyznanie Pomorzanom roli „krzewicieli pierwotnéj kultury" nad Wisłą, którą to rolę odegrać mieli w wieku IX-ym. „Skąd data? Z Mikstata?" Nie. — Przedmioty, znajdywane w wykopaliskach nad Wisłą od jéj uścia do morza aż po ujście Wieprza, „świadczą o tożsamości rozpostartéj tu kultury" [1]). Czy świadczą również o jéj pomorskiém pochodzeniu? i o tém, że to Słowianie pomorscy IX-go wieku przedmioty owe aż po ujścia Wieprza roznosili? Zapamiętajmy sobie tymczasem, że ów wpływ pomorski sięgać miał ku południowi po ujście Wieprza tylko, że Wielkopolska była od niego chyba wolna, skoro zabytki wydobywane z wykopalisk wielkopolskich, w porównaniu z temi, o których była poprzednio mowa „przedstawiają liczne odrębności". „Wymowniejsze i bardziéj przekonywujące" dowody swéj pomorskiéj tezy znajduje autor „w takich zabytkach, jak nazwy najdawniejszych osad rozłożonych nad Wisłą i jéj dopływami w średnim biegu" i przytacza ich 50. Spora to liczba, bo aż jedenaście wierszy druku zajęła; jeśli ją jednak zestawimy z liczbą nomenklatur istniejących na Pomorzu, wyda się dość maluczką, do liczby zaś nazw, któremi jest usiane obszerne teryto-

---

1) Zdanie to osłonięto powagą imienia p. G. Ossowskiego, który tak „twierdzi na podstawie zbadania kilkuset wykopalisk". Mniemaćby można, że z tych kilkuset wykopalisk, choć jedna setka odnosi się do porzecza środkowéj Wisły i ujść Wieprza; tymczasem p. Ossowski powołuje się tylko na poszukiwania ks. Brykczyńskiego w okolicach Płocka, d-ra Dudrewicza nad rz. Świdrem, oraz prof. Przyborowskiego nad Tyśmienicą i Wieprzem.

ryum, na którém autor dopatrzył wpływy „kultury" Pomorzan, lepiéj nie porównywać jéj wcale. Pomińmy atoli ten wzgląd arytmetyczny. „Nazwy powyższe — zapewnia p. Chlebowski — są właściwe jedynie obszarom Pomorza nadwiślańskiego, północnéj części Wielpolski (więc już autor nie krępuje się granicami, jakie poprzednio ze względów archeologicznych zaznaczył), wybrzeżem Wisły i jéj dopływów, w środkowym przeważnie biegu", są to nazwy, „jakich daremnie szukaliśmy w Małopolsce, na Szląsku lub południowéj połowie Wielkopolski". Pomimo téj przestrogi, bierze ochota poszukać ich w owych okolicach. Oto ostatnia w ułożonym przez p. Chlebowskiego szeregu, Zuzela, istnieje na Szląsku już na początku XIII wieku (obacz Grünhagena *Regesta Silesiae*, ed. II, str. 105, Nr. 154). Biesiekiery są w Łęczyckiém, między Kłodawą a Grabowem, a więc nie nad dopływem Wisły, lecz w kotlinie Warty. Nazwy Brodno, Brodnia, Brody nie mogą charakteryzować pod względem kulturalnym żadnéj okolicy, bo wszędzie, gdzie droga przecina niegłęboką wodę, a nie wybudowano mostu, muszą być brody, muszą być i nazwy od nich pochodzące: jakoż jedna Brodnia leży w Sieradzkiém nad Wartą, druga nad jéj dopływem, trzecia aż pod Śremem; są téż Brody w Małopolsce, są w Wielkopolsce (pod Lwówkiem), są w Czechach, Morawii i Bośni, są na Rusi. Bruss czy Bruś leży jeden pod Łodzią (kotlina Warty), dwa inne w Miechowskiém i Jędrzejowskiém, więc w Małopolsce. Gołembin jest pod Kościanem, a Iłowiec pod Czempinem (na południe od Poznania); Izbica znajdzie się w Krasnostawskiém, a Izdebno w okolicy Pyzdr. W Małopolsce istnieją cztery osady zwane Jeżów, kiedy na Mazowszu widzę tylko jedną. Nieszawę mamy nietylko na Kujawach: „Tabella miast, wsi" z r. 1827 wymienia Nieszawę w Kazimierskiém, a przeto po za ujściem Wieprza. Paplin, co prawda, jeden jest w Rawskiém, a drugi w Węgrowskiém, przeto na terytoryum zakréśloném dla kultury pomorskiéj, ale w Maryampolskiém znajduję wieś Paplinie. Parlin (w „Tabelli miast" Parleń) jest na Mazowszu, ale jest i w Wielkopolsce, na północ Mogilna. Popów nie jest monopolem Pomorza, nazwę tę ma Kraśnickie, Wartskie, Kaliskie, Wieluńskie; Popowo jest w Wielkopolsce pod Bledzewem, Obornikami, Szamotułami, Międzychodem, Gnieznem, Śmiglem, Krzywinem, wreszcie Popowice leżą daleko na zachodzie Szląska, bo aż pod Naumburgiem nad Bobrą. Jeżeli Serock jest tylko pod Pułtuskiem, to Srocko znajdzie się w Częstochowskiém, Piotrkowskiém i pod Czempinem, którego nikt do północnéj Wielkopolski nie zaliczy, a Sroczków mamy w Stopnickiém. Święciechów znam w Opoczyńskiém i Kraśnickiém, a Święchowę koło wielkopolskiego Leszna. Szczecin znowu w Kra-

śnickiém, a Szczecna w Szydłowieckiém. Prócz Stężycy, którą autor miał na myśli, jest druga w Krasnostawskiém. Urzuty leżą na południe Wiślicy; inna zaś wieś „Vruti" istniała pod tą nazwą już przed rokiem 1136, bardzo daleko od Wisły, bo pod Żninem, a przeto w kotlinie Noteci (Kod. dypl. wielkop., Nr. 7, str. 11). Warszew i Warszówkę mają strony Kaliskie. Gdzie nie ma Wyszogrodu? Czechy, Ruś, Węgry, a nawet brzegi Adryatyku pochwalić się nim mogą. Żegrze pod Poznaniem, Zegrze nad Narwią, to ta sama nazwa, co Zgierz w Łęczyckiém, skoro sąsiadują z nim wsie Zegrzany i Zegrzanki.

Nie „daremnie" tedy szukaliśmy owych nazw, jakoby specyficznie pomorskich, po za granicami obszarem, który p. Chlebowski zakreślił dla mniemanych wpływów „kultury" pomorskiéj, — jeśli przy pobieżnym i niewyczerpującym przeglądzie nazw przez niego wymienionych, udało nam się odrzucić z pomiędzy nich 20.. Mógłby autor wprawdzie wynagrodzić sobie tę stratę nazwami takiemi, jak Piaski, Smolin, Sośnica, Lipowa, Lisidół, Łąki, Dąbrowa, Kamień i t. p., ale nie miałyby one większéj siły dowodowéj, aniżeli Brodno, Izbica, Gołembin. Od krainy węgierskiéj do Pomorza jest tak daleko, że trudno odgadnąć, dlaczego Węgrów miałby świadczyć o kolonizatorskiéj działalności Pomorzan... na Podlasiu, zwłaszcza, że nazwy Węgrzyn, Węgrzynów, Węgrzce spotykamy w Sandomierskiém, Koneckiém, Szydłowieckiém, Jędrzejowskiém. Jaktorowa nie ma wprawdzie w Małopolsce, ale są Jaktary w Opawskiém, a Jektarz na Morawie (*Regesta Bohemiae*, II, 1874; I, 1175); Jaktorów pochodzi od imienia osobowego Jaktor, formy spolszczonéj zamiast Hektor, które to imię ani jest pomorskiém, ani w czasach przedhistorycznych pojawić się u nas nie mogło. Do téjże kategoryi należą Arciszew i Arciechowo, z któremi staje w szeregu Arcugowo (dawniéj Jarczugowo), ale pod Gnieznem. Przekroczywszy naprzód granice, wskazane niby przez wykopaliska archeologiczne, przekracza daléj p. Chlebowski po za ujścia Wieprza, który zbliża z pomorskim Wipper (nie uwzględnił jednak westfalskiego Wupper); przyswaja Pomorczykom osady nad dolnym Sanem, płynie sobie śmiało w górę Wisły, zagarniając dla nich okolicę naprzeciw ujścia Dunajca leżącą i oparł się dopiéro w Krakowie, w którym „można upatrywać pamiątkę kolonizacyi pomorskiéj i roznoszonéj z północy wzdłuż Wisły kultury." Przy tak szybkiéj podróży łatwo tchu zabraknąć-by mogło, gdyby, na szczęście niezbyt odległe od Krakowa, góry nie położyły tamy dalszym podbojom. Okazuje się tedy, że wszystkie ziemie Piastowskie (bo i dla Szląska, ze względu na Zuzelę i Popowice, nie ma powodu robić wyjątku) mają wiele pokrewieństwa z Pomorzem gdańskiém, o czém zdawna

wiadomo; tylko to kwestya czy owo pokrewieństwo szerzyło się od ujść Wisły w kierunku południowym? Wszak możnaby dla osadnictwa wskazać wprost odwrotny kierunek, albo przyjąwszy za autorem jednoczesność zasiedlania pod Krakowem, Wiślicą i Gdańskiem, pokrewieństwo owe objaśniać wspólném pochodzeniem plemienném i nie szukać stacyi handlowych pomorskich pod tym lub owym Kamieniem (dwadzieścia kilka jest wsi téj nazwy po różnych kątach kraju), ani w trzech Solcach nad Wisłą dopatrywać składów soli pomorskiéj, na co nie ma najmniejszego dowodu, kiedy tam mogły być, jak były istotnie, składy soli małopolskiéj. Dodajmy, że najbliżsi sąsiedzi Pomorzan, Kujawiacy, mieli własną sól warzonkę w starym Słońsku (dzisiejszym Ciechocinku) i nad Zgłowiączką; mieli ją i Małopolanie, zanim sól kamienną w Wieliczce i Bochnii zaczęto wydobywać.

Hypotezę o szerzeniu u nas kultury i osadnictwa Pomorzan przedstawił już autor dawniéj w pracy swéj „O początkach Warszawy", gdzie zarazem z Konrada I-go mazowieckiego usiłował gwałtem zrobić wielkiego kolonizatora. Ani jednego, ani drugiego wprawdzie nie udowodnił, ale i szkody stąd żadnéj nie było. W wydawnictwie jednak tak poważném jak „Słownik geograficzny", w wydawnictwie, około którego sam p. Chlebowski położył niezaprzeczone zasługi, dla hypotezy pomorskiéj nie powinno było znaléść się miejsca. „Słownik" jako księga informacyjna, częstokroć jedyne źródło, z którego czerpać możemy wiadomości pewne, powinien być wolny od pomysłów fantazyjnych i nie szerzyć błędów, tém szkodliwszych, że dalszy ciąg artykułu o Wiśle pisany ze znajomością rzeczy, oparty na faktach rzeczywistych, może w niejednym czytelniku budzić zupełne zaufanie i dla przypuszczeń, pozbawionych naukowej podstawy.

St. Ł.



NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— **Die polnische Literatur zur Geschichte der Philosophie** von D-r Heinrich von *Struve*. Berlin. 1895, str. 82. — Jestto odbitka z „*Archiv für Geschichte der Philosophie*". Autor z widoczném zamiłowaniem nakréślił tu zarys tych usiłowań, jakie u nas od najda wniejszych czasów do dziś dnia podejmowano na polu dziejów filozofii; z zadowolenien stwierdzając, że w najnowszym dokonano u nas prac takich, które stanąć mogą na równi z dziełami nauki ogólno europejskiéj. Te samodzielne studya historyczne upoważniają, zdaniem autora, do nadziei, że i we właściwéj dziedzinie filozofii teoretycznéj pojawią się u nas prace, które nie będą już tylko odgłosem rozwoju ogólnego, lecz i swój własny głos do chóru powszechnego dołączą. Całość téj bardzo sumiennie obrobionéj rozprawy składa się z dwu głównych części: w 1-széj podaje autor literaturę, odnoszącą się do dziejów filozofii w Polsce; w 2-giéj zaś literaturę do historyi filozofii w ogólności. W opracowaniu części 1-széj są znowuż dwa działy; gdyż najprzód mówi prof. Struve o tych książkach czy rozprawach, które obejmowały całość rozwoju filozoficznego w Polsce, a następnie o tych, które poszczególne jego okresy przedstawiały. Z powodu wzmianki o własnéj swéj pracy r. 1870, zawiérającéj obszerną historyę logiki w Polsce, autor rozwija ogólny pogląd na dzieje filozofii u nas, rozpatrując jéj cechy znamienne w pięciu okresach, poczynając od XV-go stulecia. Gdy tę część rozprawy swojéj drukiem w czasopiśmie ogłaszał, nie znał jeszcze rozprawy p. Rubczyńskiego o poglądach filozoficznych Witeliona, na jéj podstawie możnaby posunąć początek okresu pierwszego o dwa wieki wtył, do stulecia XIII-go. W drugiéj części rozprawy przedstawia prof. Struve najprzód przyczynki Po-

laków do dziejów filozofii wogóle, jako całości, następnie prace, odnoszące się do historyi poszczególnych nauk filozoficznych (logiki, psychologii, etyki, filozofii, prawa i polityki), a wreszcie prace, obrabiające te lub owe działy i epoki historyi filozofii, jako to filozofię wschodnią, grecką, nową i najnowszą. Z dzieł, poświęconych dziejom filozofii lub jéj poszczególnych momentów, najwyżéj stawia autor prace prof. Stefana Pawlickiego, Wincentego Lutosławskiego i Seweryna Smolikowskiego. Do nich to głównie stosuje orzeczenie, iż w czasach najnowszych badania Polaków w dziedzinie historyi filozofii równają się poszukiwaniem uczonych zachodnio-europejskich. Rozprawa prof. Struve'go jest nietylko ważna dlatego, iż obznajmia Niemców i wogóle zagranicę z ruchem filozoficznym w kraju naszym, ale i dlatego, że jest wyborném repertoryum dzieł, broszur i artykułów z dziedziny filozoficznéj, pożyteczném a nawet niezbędném przy rozpatrywaniu literatury naszéj wogóle. Orzeczenia jego są zwięzłe, ale widocznie oparte na własnéj lekturze i bezstronne. W połączeniu z dawniéj ogłoszonym artykułem w „*Philosophische Monatshefte*" 1874 p. t. „*Die philosophische Literatur der Polen*", stanowi ona, jak dotąd, najzupełniejszy, lubo szkicowy obraz twórczości filozoficznéj Polaków. Pod względem bibliograficznym możnaby wytknąć to i owo drobne opuszczenie, ale pamiętać należy, iż autor nie zamierzał bynajmniéj podawać bibliografii, w zakresie, przez siebie podjętym, wywiązał się on z zadania znakomicie. Postarał się także o to, ażeby nazwiska polskie były poprawnie, właściwemi głoskami wyrażone. Zdaje się, że po raz to pierwszy ukazuje się po niemiecku książka, w któréj nie ma prawie błędu w polskich imionach własnych.

= W czasopiśmie angielskiém p. n.: „*International Journal of Ethics*" w zeszycie kwietniowym r. b. pomieścił p. *Wincenty Lutosławski* artykuł zatytułowany: **The ethical consequences of the doctrine of immortality** (Etyczne wyniki nauki o nieśmiertelności). Stanowi ona dopełnienie rozprawki r. 1893, drukowanéj w „*Journal of speculative philosophy*" p. n.: „*On the difference between Knowledge and Belief as to the immortality of the Soul*" (O różnicy między wiedzą a wiarą w sprawie nieśmiertelności duszy). Dowód nieśmiertelnośc duszy przeprowadza autor na zasadzie twierdzenia, że umysł nasz nie zdolnym jest do pojęcia, iż nic nie istnieje. Wszelkie mniemanie o pozorném tylko istnieniu ma sens wówczas tylko, gdy się to pozorne istnienie przeciwstawia rzeczywistemu. Ci nawet krańcowi idealiści, którzy żadnéj rzeczywistości zewnętrznéj, jako naprawdę istniejącéj nie uznają, muszą w samym podmiocie widzieć tę rzeczywistość prawdzi-

wą. Otóż pojęcie rzeczywistego istnienia w przeciwieństwie do świata pozornego mieści w sobie pojęcie wiecznéj trwałości *(permanence)* tego rzeczywistego istnienia, gdyż wszelkie istnienie, które może przestać istniéć, musiałoby się wydać pozorem tylko. Ponieważ zaś prawdą jest niewątpliwą, co utrzymywał Kartezyusz, że nic nie ma na świecie, cobyśmy lepiéj znali nad siebie samych, stąd wynika, że pojęcie mojego istnienia musi zawiérać w sobie pojęcie istnienia wiecznego. „Jeżeli jestem rzeczą najlepiéj mi znaną i jeżeli jestem pewny mego istnienia, t. j. jeżeli świadom jestem, iż ja sam stanowię p r z y c z y n ę czynności moich, to muszę przypuścić, że jestem bytem rzeczywistym, a jeżeli jestem bytem rzeczywistym, to nie mogę nigdy przestać istniéć! W rozumowaniu takiém nie należy mieszać duszy z ciałem. Ciało bowiem nie jest częścią mojéj jaźni *(of myself)*, jest ono tylko czémś należącém do mnie i rządzoném przezemnie, równie obcém dla mojego własnego istnienia, jak każdy inny przedmiot zewnętrzny. Jestem świadom istnienia, jako byt prosty i nie składam się z części” (str. 11). Ustaliwszy w ten sposób pewność wiecznego istnienia duszy, nie dotyka autor kwestyi, co się działo z duszą przed jéj połączeniem z ciałem jednostkowém i bardzo pobieżnie traktuje sprawę związku duszy i ciała, stara się jeno wykazać, że pewność nieśmiertelności czyni człowieka nieustraszonym na myśl o śmierci, która mu się przedstawia jako rodzaj postępu ku udoskonaleniu; a z téj nieustraszoności wynikają liczne dobre skutki na sposób postępowania w ciągu życia. Jeżeli dotychczas wiara w nieśmiertelność niewiele oddziaływała na ogół, to dlatego, zdaniem autora, że była tylko wiarą; odkąd jednak stanie się pewnikiem naukowym, to musi wywrzéć wpływ stanowczy a dobroczynny na wszystkie postępki ludzkie. Rozumowaniu autora wiele dodałoby siły przekonywającéj usunięcie tych wątpliwości, jakie nasuwają się czytelnikowi, wychowanemu na naukach przyrodniczych i psychologii doświadczalnéj, bo samo abstrakcyjne wysnuwanie wyników z pewnych twierdzeń nie zaspakaja tam, gdzie nie chodzi o prawdy matematyczne.

= *Stanisław Kluczycki.* **Niebo i ziemia.** Pogadanki spisane dla panien... Kraków, 1894, str. 520. — Olbrzymi postęp i rozwój wiedzy dni naszych, nagromadzenie materyału tak wielkie, że w każdéj specyalności życie ludzkie zaledwo wystarcza, by zbadać lub chociażby przebiedz wszystko, nakoniec prąd pozytywnéj ścisłości wiedzy, od czasu Augusta Comte'a wiejący, dzięki któremu każda garść wiedzy o tyle jest nauką, o ile na podstawie doświadczenia i cyfry oprze swe wywody, — wszystko to posuwając olbrzymiemi kroki naprzód

wielką, a tak pracowicie pchaną taczkę nauki, naprzód — do postępu — czyni ogólny pogląd na wiedzę dzisiejszą prawie niedostępnym dla profanów. Obecnie podział pracy w dziedzinie umiejętności dochodzi do drobiazgowości niemal, codzień prawie nowe rodzą się nauki, odszczepiając od pni rodzicielskich, stwarzając coraz nowsze i szersze pola dla badań i odkryć w dziedzinie państwa przyrody. Specyalizacya nauk, rozstrzelenie się każdéj niemal gałęzi na liczne poddziały, z których każdy ma cały olbrzymi zakres pracy, ułatwia znakomicie postęp ogólny poznania, ale zaciemnia i okrywa niedostępnością przystęp do wiedzy dla tych, co nie przygotowani długiemi zmudnemi studyami, choć okruszynki ze stołu mocarzy nauki zbiéraćby chcieli. I dlatego to właśnie szczerym przyklaskiem witać musimy każdą pracę tych, co zrzekłszy się laurów zdobywców, chcą z niemniejszą zasługą, z nie mniejszym zasobem wiedzy i pracy, a częstokroć z większą trudnością streszczać, uprzystępniać zdobycze przez innych dokonane, ułatwiać dostęp do nauki i w jasnych popularnych wykładach szerzyć wśród mas światło, rozbudzać zamiłowanie do badań nad przyrodą. Lecz kiedy prace uczonych teoretyków, pisane sucho, zwięźle, ściśle, dostępne jeno dla wtajemniczonych specyalistów, mogą się nie liczyć z czysto literackiém obrobieniem, popularyzator na nowy natrafia szkopuł: niedość streścić, uprzystępnić rzecz z natury swéj trudną, trzeba ją podać jasno, zajmująco i systematycznie; trzeba, aby czytelnik od pierwszéj strony dzieła rozmiłował się w podawanym mu przedmiocie, aby uwaga jego trzymaną była w ciągłém naprężeniu, aby ani na chwilę uczucie nudy i zmęczenia nie ogarnęło jego umysłu. I dlatego to więcéj jest na świecie wielkich uczonych teoretyków, aniżeli dzielnych popularyzatorów. Literatura nasza od niedawna samodzielnie do popularyzacyi przystąpiła. Pomijając tłómaczenia z języków obcych, mieliśmy wśród rzeszy uprzystępniaczy wiedzy nazwiska takie jak: Zaleska, Dzieduszycka, Majewski, którego „Doktór Muchołapski” może posłużyć za wzór dzieł tego rodzaju. Do prac powyższych autorów przybywa dzieło, którego autor wzorem Flammariona sięgnął w po za światowe, dalekie kręgi wszechświatów, we wspaniałéj księdze, z przepychem wydanéj, streszczając luźno dane astronomii i kosmografii. „Niebo i ziemia” to „pogadanki”, spisane przez p. Stan. Kluczyckiego dla panien Zofii i Róży hr. Potockich, a wydane w księdze o 520 str. Jeśliby wygląd zewnętrzny miał stanowić o wartości dzieła, to praca p. Kluczyckiego śmiało może sobie rościć prawo do rzędu jednego ze wspanialszych wydań ostatnich czasów. Przepyszne rysunki, wspaniałe kolorowane tablice, mapy księżyca, nieba, planet, rytowane bez zarzutu, papiér piękny, druk wyraźny, ca-

łość nader estetyczna, jednem słowem — wszystko to składa się na przyznanie „Niebu i ziemi” frontowego miejsca w biblioteczkach dorastającéj młodzieży. A treść? Treść pracy p. Kluczyckiego zdumiéwa obszarem nagromadzonych wiadomości, skoncentrowaniem, rzec można, wiekowéj ewolucyi nauki o niebie i wszechświecie od czasów magów chaldejskich do wczoraj niemal. Czy p. Kluczycki próbował popularyzacyi wiedzy, czy nie, nie wiemy, to pewna jednak, że „Niebo i ziemia”, wygląda nieco na pierwszą dyletancką w tym kierunku próbę. Autor, snać zapalony miłośnik swéj nauki, porwał się, uniósł swym przedmiotem, nie potrafił zapanować nad całością, nie zdołał ująć w karby całego chaosu drobnych faktów, które mu się, jak z niedowiązanego tobołka rozsypują po drodze. Brak systematyczności, brak syntetycznéj metody, powolnego rozwinięcia treści od elementarnych zasadniczych wiadomości do zawiłych danych téj najcięższéj śród nauk przyrodniczych gałęzi wiedzy, — oto co można zarzucić p. Kluczyckiemu. Praca jego, pisana, zdaje się, dla dorastającéj młodzieży, chociaż przypuszczalnie obznajmionéj z podstawami elementarnemi matematyki, fizyki, jest chwilami stanowczo zamało jasną, zamało popularną, zanadto dorywczą. Autor chwilami liryczny w swych zachwytach nad pięknością przyrody, o parę wierszy późniéj zapomina zupełnie o swém zadaniu i rzuca określeniami i terminami, których nawet nie objaśnił poprzednio. Znać w całéj pracy zbyt gorączkowy nastrój, zbyt wiele krewkości i szybkości w opracowaniu, co jest grzéchém w pracach popularnych. Za to materyał opracowany jest olbrzymi: zacząwszy od krótkich danych o historyi astronomii, gdzie silny nacisk autor kładzie na dzieje i zasługi Mikołaja Kopernika, przebiegamy kolejno historyę słońca, ziemi, księżyca, planet, gwiazd stałych, komet i innych gwiazd kosmicznych. I nie wolno powiedzieć, żeby się ktoś, chętny nauki, nic nie nauczył z dzieła p. Kluczyckiego. Przeciwnie, będzie wiedział naraz zawiele, lecz jeśli potrafi zapanować nad ogromem treści, jeśli własną logiką dopełni i ujarzmi to, co mu autor daje, to śmiało potém przystąpić może do poważniéjszéj pracy nad nauką, którą p. Kluczycki przed nim roztacza. Bądź co bądź jednak, dzieło p. Kluczyckiego mile witanem być powinno i, pomijając usterki, któreśmy powyżéj wskazali, może być zaliczone śmiało do rzędu tych prac, które dbający o rozwój umysłu swych dzieci rodzice stanowczo do biblioteczek ich dostarczać powinni. Przepyszne wydanie, znakomite rysunki i tablice dopełniają nader wymownie treści, pisanéj dość zajmująco i starannym językiem. *Kaz. Dan. Strzelb.*

= *Stéphane Mallarmé.* **Vers et prose.** (Morceaux choisis). II-ème éd. (Perrin et C. Paris).—Stefan Mallarmé—uznany za przywódcę dzisiejszéj generacyi poetów francuskich—jest bardzo skąpy w ogłaszaniu swych utworów, które najczęściéj w rękopisie tylko krążą. Istnieje téż wydanie autograficzne — odbite za pomocą fotografii — w nielicznych egzemplarzach wydane i niezmiernie drogie (100 fr.). Dopiéro parę lat temu ogłosił St. Mallarmé niewielki tom swoich utworów, gdzie pomieścił rzeczy najdostępniejsze dla massy. Zbiór ten nie daje całkowitego pojęcia o St. Mallarmé — jednakże daje pojęcie przybliżone. Widzimy tu człowieka, którego krępują więzy językowe i który, zdaje się, chciałby naraz mowę przemienić w muzykę; proza jego jestto śpiéw przedziwny, zwłaszcza *Divagations* są, co do stylu i treści, arcydziełami: jest to rozprawa o wierszu francuskim. — Również muzykalne tłómaczenia z Edg. Poe: prozaiczny przekład doskonale mimo to oddaje rytm i harmonię oryginału. Znajdują się w tym zbiorze najpiękniejsze — i do pewnego stopnia nawet popularne—jego poezye. Popołudnie fauna, o którém mówi Vrchlicki, że w jego słowach widać „ślady stóp aniołów na powietrzu", — zajmuje tu główne miejsce. Mamy tu daléj dyalog p. t. „Herodyada" — i dawniejsze utwory, jak „*Apparition*", „*Les fenètres*", „*Soupir*", „*Les fleurs*" (tłóm. polskie Miriama), „*L'azur*", „*Don du poème*", Sonety.—Jestto pisarz, który stworzył niewiele, ale każde słowo opracował do saméj jego istoty—i można o nim z równą, jeśli nie większą słusznością powiedziéć to, co powiedziano o Verlainie: „Każdy jego wiersz — to stronica, a każda stronica to całe dzieło.

A. L.

= *Francis Vielé-Griffin.* **Joies** (Poèmes). (Tress et Stock). — Πάλαι (Ed. Mercure de France). — Stworzyć oryginalną poezyę erotyczną—jestto, zdaje się, rzecz najtrudniejsza—na te czasy. Jednakże osiągnął to Griffin w swoich „*Joies*". Można śmiało powtórzyć o nim to, co on sam mówi w dedykacyi:

Je chante en mon âme des choses folles,
Comme les vierges et comme les joies,
Et j'ai trouvé de si douces paroles,
O, si douces, qu'il faut que tu les croies.

Istotnie są to *douces paroles.* Dźwięki delikatne, jakby z po za mgły przychodzące. Marzenia i sny łagodne, jak kołysanki; coś świéżego jak las i kwiecień; zapach kwiatów, zefirów, echo marzeń i uśmiéchów płynie z tych stronic. Kochanka jego sama o sobie mówi: *Je suis quelque morte sans doute, et quelque rêve.* Jest jakaś tajemni-

czość świetlana w tych poematach. Czasami tęsknoty i marzenia — zaplecione i niewyraźne; granica snu i rzeczywistości przerwana; i naraz motyw pieśni ludowéj lub dziecinnéj—*(Sur le pont du Nord un bal y est donné!—Où est la Marguerite, où est son chevalier?)*—w „Rondes" i in. Do zaznaczenia: *Vous si claire et si blonde et si femme*, *Des oiseaux sont venus*, *Un astre*, *Vers la mer*, *Mai fleuri*... — Πάλαι, najświéższy poemat tegoż poety, opisuje życie i miłość Pindara. W ten starożytny temat potrafił autor wlać wiele sobie właściwéj świéżości — i zachowując tło dziejowe, nadał jakieś tchnienie współczesne rzeczom zamarłym. W części I-széj Pindar uczy się u Lassosa sztuki poetyckiéj; u Korynny z Tanagry tajemnic miłości i cierpienia. W części II-giéj Pindar jest wielkim poetą; kochankiem Myrtis z Antedonu: cierpi, walczy, śpiéwa i wątpi. W części III-ciéj zwątpiały, zniechęcony,—wraca do Lassosa, który go pociesza i wskazuje mu wyższe cele bytu, tłómacząc, że nie wszystko jest próżnią. *A. L.*

— *Abgar-Sołtan*. **Z wiejskiego dworu**. Nowele. Kraków, nakład Księgarni Spółki wydawniczéj polskiéj, 1895, str. 281. — Chociaż autor ogłosił już kilka powieści i cały szereg szkiców, dla mody nazwanych nowelami, trudno mi jakoś nazwać go naprawdę powieściopisarzem w artystycznem znaczeniu tego wyrazu. Jestto zdolny narrator, obdarzony dowcipem, znający świat, a zwłaszcza tajniki próżniaczéj, hulaszczéj młodzieży, ale nie posiada poczucia miary, nie dba o uprawdopodobnienie sytuacyi, zdarzeń i rozmów, nie umié ich rozwijać ani psychologicznie, ani artystycznie. Komu chodzi o zajęcie czasu wolnego w sposób nie bardzo nudny, niech czyta jego utwory; z góry jednak niech się przygotuje do wierzenia mu na słowo; bo jeśli zechce analizować podawane sobie charaktery, ich uczucia, ich zachowanie się, to będzie chyba wielce pobłażliwym, gdy przyzna autorowi, że jego ludzie myślą, czują, mówią i działają tak, jakby to z ich usposobienia i charakteru wynikało. Wprawdzie jest na wszelakie nieprawdopodobieństwa i niekonsekwencye łatwa odpowiedź, że natura ludzi epoki obecnéj jest tak złożona, zgmatwana, iż wszystko na tę złożoność, zmienność i nerwowość zepchnąć można; lecz odpowiedź taka, choć się ją często słyszy, nie trafia do przekonania tym, którzy od powieści domagają się i głębszéj psychologii i umiejętnego zużytkowania jéj wskazówek w artyzmie. Jeżeli artysta chce przedstawić złożoność, zmienność, nerwowość charakteru, nic przeciwko temu nie ma do powiedzenia; ale niech te właściwości wystudyuje, niech będzie całkowicie świadomym tego, *co* robi i *jak* robi. Lecz

gdy ktoś, jak p. Abgar-Sołtan nie myśli nawet o owéj złożoności i t. d., a tylko mimowoli wpada w rysy niezgodne z charakterem przez siebie określonym, to musimy taki objaw poczytywać za zupełnie ujemny. Osoby jego wcale nie odznaczają się głębią duchową, są bardzo proste i przejrzyste, tylko autor, nie obmyśliwszy planu i polegając na swéj zdolności improwizatorskiéj, nie umié ich w tym charakterze przez cały ciąg opowiadania utrzymać. „Zwycięstwo Don-Kiszota”, chociaż na 61 stronach przedstawia trzy tylko osoby, żadnéj nie daje nam poznać naprawdę, a najmniéj już pannę, gdyż z objawów zewnętrznych ich życia zaznaczonych przez autora, trudno nam wyrobić sobie jasne pojęcie o ich duszy. Bardziéj to razi jeszcze w najobszerniejszém opowiadaniu p. t. „Kwaśne winogrona”, gdzie zawarł autor dużo interesującego materyału, lecz go nie potrafił zużytkować należycie, tak, że czytelnik musi sobie zadawać pytanie, jakim sposobem wytworzyły się te stosunki nienormalne, dziwaczne, które nam p. Abgar-Sołtan przedstawia. Prócz scen malujących najprostsze zjawiska życia towarzyskiego, nie ma tu z pomiędzy ważniejszych, stanowczych w rozwoju akcyi, którąby za całkowicie umotywowaną uważać można i trzeba przyjść do przeświadczenia, że osoby wprowadzone przez autora nie żyją własném życie, lecz są maryonetkami przezeń poruszanemi. W „Miss Jane” dopuszcza się p. Abgar-Sołtan nieprawdopodobieństwa dla konceptu, ażeby żona poczytywała przez parę tygodni klacz kupioną przez męża za jego kochankę. Zachowanie męża, jego brata i żony jest poprostu naciąganém sztucznie i ani na chwilę do przekonania czytelnika trafić nie może. Stosunkowo najlepszą, a zarazem najkrótszą jest „Żałobna noc”, którą przeszedł młody próżniak i rozpustnik podczas konania matki. Nie ma tu wprawdzie nic świéżego w pomyśle, ale przynajmniéj nie ma nic fałszywego. Rozmyślania, marzenia senne i zachowanie się syna są wielce prawdopodobne i wyrażone nieźle. Rzecz tę napisał p. Abgar-Sołtan w r. 1889-ym, a więc przed wszystkiemi innemi zawartemi w zbiorze; okoliczność ta nie rzuca pochlebnego światła na rozwój talentu. Korekta okropna zarówno w cudzoziemskich, jak polskich wyrazach.

= *Teofil Lenartowicz.* **Wybór poezyi.** Petersburg, Kazimierz Grendyszyński, 1895, str. 354.—Po raz to drugi pojawia się w Petersburgu wybór poezyi „lirnika mazowieckiego”. W r. 1857 w „Skarbczyku poezyi polskiéj”, wydawanym przez księgarza M. B. Wolffa ukazał się maleńki zbiorek poezyi Lenartowicza połączony z utworami innych poetów; obecnie dzięki p. Grendyszyńskiemu, mamy w prześlicznem

miniaturowém wydaniu ze starannie wykonanym i odbitym wizerunkiem, drugi, nieporównanie obszerniejszy, w którym jednakże kilku zawartych w poprzednim nie odnajdujemy. Naturalnie i ten powiększony „Wybór" nie może dawać zupełnego pojęcia o twórczości śpiéwaka „Lirenki"; w każdym jednak razie zawiéra w sobie dosyć utworów, by się kilka ze znamiennych jéj cech uwydatnić mogło. A więc widzimy tu przedewszystkiém liryka, który na nutę ludową i z motywów ludowych wyśpiewał przecudnie piękne w swéj prostocie pieśni takie, jak: „Wiochna", „Mały światek", „Wiecznie to samo", „Kalina", „Zostań dziewczyno", „Jagoda", „Do mojego grajka" i wiele innych. Powtóre, znajdujemy tu epika lirycznego, który czerpie zarówno z motywów ludowych („Zachwycenie", „Błogosławiona"), jak i z religijnych („Apostołowie", „Święta Zofia"), albo téż wypadki życia ludowego w nastroju religijnym przedstawia („Chata pod śniegiem"). Po trzecie, widzimy epika historycznego, podejmującego wątek legend lub rzeczywistych wypadków dziejowych („Słówko o Piotrze Duńczyku", „Habdank", „Opis Hołdu pruskiego"). Po czwarte, spotykamy tu liryka, który, widząc nowe kraje, spotykając się z nowymi ludźmi, umié odczuć radości i smutki, chwałę i hańbę obcego narodu („Grosz ubogiego", „Saltarella", „Pifferaro", „Rzym-Italia", „W gaju Tivoli", „W Genui w pałacu Doriów", „Inamorato", „Lolita"). Jak te wszystkie utwory są uporządkowane? Trzeba pamiętać, że jestto wydanie popularne, o przeprowadzenie więc jakiegoś naukowego podziału chodzić tu nie mogło; nie są te poezye ujęte ani w jakieś kategorye ogólne, ani téż nie idą w następstwie chronologicznem. Możnaby dojrzéć atoli jednę zasadę: liryki, jak słuszna, są wysunięte naprzód, a poezye liryczno-epiczne pod koniec książki; wyjątek stanowi tylko „Chata pod śniegiem", którą od innych epicznych rzeczy przegradza kilka liryk. Rozpoczęto zbiór cały od pięknego „Wiersza do poezyi", wydrukowanego r. 1844 w „Bibliotece Warszawskiéj" i stanowiącego początek rozgłosu, jakiego miało z czasem nabrać nazwisko jego autora. Potém dano charakterystykę „Pieśni gminnych" napisaną przez Lenartowicza w wieku późniejszym, a zrobiono to zapewne dlatego, ażeby przygotować czytelnika słowami poety do rodzaju utworów, które w przeważnéj części wypełniają książkę. Następnie pomieszczono w zupełnie dowolném ugrupowaniu pieśni na tle swojskiém osnute, niepotrzebnie je przerywając dwiema z włoskich stosunków wziętemi („Lolita", „Inamorato"), które powinny były się znaléść w związku z późniéj umieszczonemi, poczynając od „Grosza ubogiego" (str. 228). Pod koniec są umieszczone, jak wspom-

niałem, poezye epiczno-liryczne. Z najwcześniejszych utworów Lenartowicza spotykamy tu kilka, wyróżniają się one tonem i rodzajem wiersza od innych. Należą tu: „Dwa pogrzeby” podznaczone datą 1841 (jedyną w całym zbiorze; dlaczego?), a przedstawiające różnice zewnętrzną i wewnętrzną pogrzebu bogatego i ubogiego, daléj: „Złota kaczka”, „Ideały”. Co prawda, wypadało je było oddzielić jakoś, ażeby zwrócić uwagę czytelnika na odmienność nastroju, tonu i języka; ale rzecz to niewielkiéj wagi w książce popularnéj, która wogóle sprawia bardzo miłe wrażenie.

— *Leopold Méyet.* **Liście.** Fragmenty i szkice. Kraków, G. Gebethner i S-ka, 1895, str. 228. — Przed laty 14-tu wydał autor pierwszy zbiorek swoich nowel p. n. „Do Nieznajoméj”. Wówczas też wyraziłem w „Ateneum” (r. 1882, t. II, str. 575—578) zdanie swoje o rodzaju talentu, jaki się w nich przejawił. I dzisiaj, po odczytaniu nowego zbiorku: „Liście”, nie innąbym wypowiedział opinię. I teraz, jak dawniéj, autor opowiada dobrze, z wdziękiem, a niekiedy wykwintnie; i teraz, jak poprzednio, w jego szkicach nie ma prawie nigdzie nuty fałszywéj, czegoś szorstkiego, surowego, jaskrawego; wszystko, co mówi, odznacza się miarą i wyrozumiałością; wszystko, co przedstawia, znamionuje smak artystyczny wyrobiony. Uczucia wszędzie są szlachetne, zdania — nacechowane rozwagą. W treści zmarnowanie talentu, zawód miłosny, rozgoryczenie, nieufność względem ludzi, jednéni słowem, smętek i łagodna melancholia przeważają nad innemi objawami ducha ludzkiego. Treść tę ubiéra autor w kształy rozwiewne, o kolorycie bladym, tak, że osoby występujące w jego szkicach do cieniów raczéj niż do figur żywych są podobne. Na dźwięki uczuciowe nakłada p. Méyet tłumik, tak, że ledwie szept nas dochodzi. Z téj rozwiewności kształtów i małéj wyrazistości w oddaniu uczuć wynika brak plastyki, a stąd łatwość zapominania i figur i treści. Po uważném nawet odczytaniu 18 szkiców zawartych w zbiorku, zaledwie kilka zostaje dłużéj w pamięci („Gardenia”, „Zawsze ona”, „W masie”, „Apage”) może dlatego, że są najdłuższe, że zatém czytelnik miał sposobność większego zasilenia swojéj wrażliwości. Nie zawsze możemy sobie powiedzieć, żeśmy dobrze pochwycili zasadnicze myśli autora w wielu fragmentach; czasami wydaje się nam, że mamy tu spisane przelotne myśli i uczucia, które dla samego autora może w saméj chwili ich odtwarzania były zupełnie zrozumiałe. Niekiedy musimy własną wyobraźnią dotwarzać motywy, któreby usprawiedliwiły zachowanie się

pewnych osób, np. w szkicu „Na ulicy”, gdzie jest mowa o najnieszczęśliwszych z matek, lub we fragmencie p. t. „Przed obrazem”, gdzie malarz sprawdza na sobie, że siła i dzielność jeszcze w młodém pokoleniu nie zanikły, tylko że nie ma ono możności zużytkowania ich należytego. Niektóre znów szkice są anegdotą bez pogłębienia psychologicznego („Scherzo”, „W szkole”). Usprawiedliwienie tytułu nadanego zbiorkowi szkiców i fragmentów, znajdujemy we wstępnym obrazku: „Jesienią”, przedstawiającym dwoje ludzi, którzy się niegdyś doskonale rozumieli i spółczuli ze sobą, ale się rozeszli różnemi drogami; w jesieni życia dopiéro przyszło im na myśl dręczące pytanie: „dlaczego w ogniu serc swych nie stopili czystego złota uczuć, pragnień i obowiązków szlachetnie pojętego życia.” I „żal mieli do siebie, do świata, a nawet do liści na drzewach szumiących, że ich zieloność przemija tak szybko i że zwiędłe i zżółkłe spadają pod stopy przechodnia...” Język p. Méyeta jest bardzo poprawny; możnaby mu tylko wytknąć, że gdzieniegdzie używa niewłaściwie *więcéj* zamiast *już* albo *nigdy*.

— **Biblioteka powszechna**, wydawana w Złoczowie przez Wilhelma Zukerkandla, uprzystępniająca taniością ceny nabycie utworów literatury obcéj i ojczystéj, rozwija się pomyślnie; w tych tygodniach nadeszły do Warszawy niektóre jéj zeszyty, z których ostatni ma wydrukowany numer kolejny 132. Znajdujemy tu przedruk komedyi Fredry-ojca „Damy i Huzary”, komedyi Korzeniowskiego: „Pierwéj mama”, powieści tegoż: „Spekulant”, oraz wydanie „Maryi” Malczewskiego ściśle według edycyi pierwotnéj z r. 1825-go z zachowaniem przedmowy i przypisków, a nawet niektórych właściwości fonetycznych w wyrazach, jak: b u r j a n y, ś k l n i ć, z d r z e n i i używania dużych liter początkowych u rzeczowników; pisownią jedynie zastosowaną do téj normy, jaka została przyjęta w całém wydawnictwie. Z pism innych, mniéj głośnych autorów, mamy tu dwa tomiki żywo i dowcipnie kreślonych szkiców żartobliwo-satyrycznych Aurelego Urbańskiego, pod ogólnym napisem: „Z za kulis i ze świata”. Z tłómaczeń na pierwszém miejscu postawić należy przedruk „Niedoli Nibelungów”, przełożonéj przez d-ra L. Germana. Rozejście się pierwszego wydania (w Warszawie u A. Wiślickiego) świadczy dobrze o poczytności tego utworu wśród młodzieży zapewne uczącéj się i studyującéj literaturę niemiecką nie z podręczników tylko szkolnych, ale i z własnego czytania znakomitych utworów. Przedrukowano także tłóma-

czenie głównéj części utworu Lermontowa. Bohatér naszych czasów p. t. „Księżniczka Mary” w przekładzie Wiktora Luboradzkiego. Wreszcie dano, może mniéj potrzebnie, przedruk żartobliwego utworu Gresseta p. t. „*Vert-vert* czyli Szpak klasztornego chowania”, tłómaczonego w wieku XVIII-ym. Mówię mniéj potrzebnie, gdyż i sam poemacik niewielką posiada wartość i przekład jest bardzo słaby. Na tyle jednak dobrze wybranych książek do przedruku, omyłka co do jednéj, nie powinna być zbyt mocno akcentowana.

= **Słownik wyrazów obcego a mniéj jasnego pochodzenia**, używanych w języku polskim, ułożył *Jan Karłowicz.* Zeszyt I, od A do E włącznie. Kraków. Nakład autora. 1894 (str. 147 i 2 karty dodatków. — Początek téj pracy sięga lat już bardzo dawnych, gdyż jeszcze w r. 1879 Akademia Umiejętności w Krakowie przyznała p. Karłowiczowi nagrodę konkursową imienia Lindego za „Słownik wyrazów cudzoziemskich”, obejmujący wyrazy od A do Chwat. Obecnie rzecz ta wychodzi z gruntu przerobiona, skutkiem ukazania się wielu badań etymologicznych, które uwzględnić należało. Każdy wyraz taki jest przedewszystkiém wyjaśniony co do swego znaczenia; następnie rozmaite odmianki brzmienia, jeżeli się takie znajdują, potém wskazano, z jakiego języka pierwotnie jest wzięty. Często są przytoczenia pewnych wyrażeń i sposobów mówienia. Podane są naturalnie źródła, w których można obszerniejsze znaléść wyjaśnienie. Wykazywać wartość takiego słownika, nader pracowicie, sumiennie i z gruntowną znajomością rzeczy opracowanego, byłoby rzeczą chyba zbyteczną wobec naturalnéj ciekawości nietylko filologów, ale każdego, trochę myślącego człowieka, skąd jaki wyraz, zwłaszcza zagadkowego brzmienia pochodzi. Wypada nam tylko prosić autora, by, jak może, najrychléj obdarzył nas całością swego cennego dzieła.

= **Catherine II et de révolution française**, par *Ch. de Larivière*, avec Préface de *Alfred Rambaud.* Paris, Librairie H. L. Soudier, 1895, 8-o, str. XXXIII i 396 (fr. 3 cent. 50). — Zjawiska współczesne oddziaływają na siebie wzajemnie; wpływy przeszłości nieraz pomimo kilkowiekowéj różnicy czasu, dają się wykryć w swych odległych następstwach. Teraźniejszość atoli nie zdoła zmienić tego, co już się

stało; oddziaływa ona jednak, wprawdzie nie na fakta spełnione, ale czasem na ich pojmowanie, oświetlenie, czasem na wybór przedmiotu badania. Konjunktury polityczne dni naszych, prócz innych skutków, dotyczących sfery działania praktycznego, wywołały to w sferze literackiéj zjawisko, że pisarze francuscy coraz częściéj poświęcają swą uwagę dziejom rosyjskiego imperyum lub współczesnemu jego stanowi. Mamy oto przed sobą książkę, świéżo wydaną w Paryżu, któréj autorem jest p. Ch. de Larivière, były dyrektor czasopisma „*La Revue Générale*", obszerna zaś przedmowa do niéj, wyszła z pod pióra profesora literackiego fakultetu paryskiego, Alfreda Rambaud, członka-korespondenta Akademii nauk w Petersburgu. — Osobistość Katarzyny II-éj tak wydatne zajmuje stanowisko w dziejach drugiéj połowy zeszłego stulecia, że nic dziwnego, iż p. Larivière postawił sobie pytanie, jaki był stosunek cesarzowéj do odbywającego się przed stu laty przewrotu. Daje więc zarys temperamentu księżniczki Anhalt-Zerbst, jéj wychowania, poglądów jéj filozoficznych i politycznych, stosunków z encyklopedystami; przedstawia stopniową ewolucyę, dokonywającą się w umyśle wielkiéj księżny, a następnie monarchini, ewolucyę, która, w miarę rozwoju wypadków nad Sekwaną, coraz wyraźniéj i jaskrawiéj się zaznacza; wykazuje atoli, że zmiana, która się odbywała w sferze uczuć i poglądów, nie pociągnęła za sobą odpowiedniéj zmiany kierunku polityki praktycznéj. Trzeźwy umysł Katarzyny II-éj popychał inne mocarstwa do koalicyi, do zbrojnego wystąpienia przeciw Francuzom, ją samą jednak powstrzymywał od wzięcia czynnego w tém udziału. — W części trzeciéj mówi autor o stosunkach cesarzowéj z Neckerem, Mirabeau i Senac'iem de Meilhan. — Książka czyta się łatwo i z zajęciem.

= *R. de Maulde la Clavière.* **Louise de Savoie et François I-er.** Trente ans de jeunesse. Paris. Librairie Académique Perrin et C-ie, 1895, 8-o, str. 392. — Opiérając się na źródłach autentycznych, a dotąd prawie nieznanych, autor kréśli nam zajmujący obraz początków epoki Odrodzenia we Francyi, którego wtedy główném ogniskiem był książęcy dwór, rezydujący w zamku Amboise, stanowiący pod względem gustów, ukształcenia i obyczajów proste przeciwieństwo z dworem królewskim Ludwika XII-go. Tu przebywała Ludwika Sabaudzka, młoda wdowa po Karolu hr. Angoulême, z synem Franciszkiem, późniejszym królem, protektorem sztuk i artystów, oraz z córką, głośną Małgorzatą Valois. Peryod siedmnastoletni, będący wyczekiwaniem

bezpotomnéj śmierci Ludwika XII-go, coby Franciszkowi otworzyło drogę do tronu, a niepokojony nieraz wieściami, że król spodziéwa się mieć wkrótce męskiego potomka, osładzano sobie sztuką, poezyą, muzyką, miłostkami i turniejami. Życie pędzili ludzie wesoło, a moralista wiele rzeczy musiałby w niém zganić. Autor, nie tając téj strony, potrącił ją zlekka i malowania jakichś scen skandalicznych stanowczo unikał. Dał przecież obraz pełny i zdolny zainteresować czytelnika treścią i formą. Książka drukowana pięknie, ozdobiona trzema heliograwiurami, kosztuje 8 franków.

= **Kniaziowie** litewsko-ruscy od końca czternastego wieku. Przez *Józefa Wolffa.* Warszawa, 1895, 4-o, str. XXV i 698. — Autor wielu dzieł poważnych, jak „Senatorowie i dygnitarze wielkiego księstwa litewskiego", „Pacowie", „Ród Gedimina" i in., powiększył świéżo swój dorobek piśmienniczy, a wzbogacił naukę historyczną nowém, obszerném dziełem, w którém podaje rys dziejów wszystkich rodów kniaziowskich, osiedlonych na obszarach wielkiego księstwa. To stanowi część pierwszą księgi, treść jéj zasadniczą. W części drugiéj mówi p. Wolff o kniaziach tatarskich, o wójtach wsi wołoskich, zwanych także kniaziami, wreszcie o pseudo-kniaziach, to jest o rodzinach, które niesłusznie do pochodzenia kniaziowskiego pretendowały. — Dzieła takiego niepodobna zbyć niniejszą krótką wzmianką; „Ateneum" też niebawem poda o niem obszerniejsze sprawozdanie.

= **Akademia Umiejętności** w Krakowie ogłasza konkurs na dwa stypendya: imienia ś. p. Pileckiego, w kwocie 1,200 złr. i imienia Śniadeckich z fundacyi ś. p. Seweryna Gałęzowskiego w kwocie 5,000 franków. O pierwsze z tych stypendyów ubiegać się mogą kandydaci, którzy poświęcają się studyom rzeczy polskich w zakresie nauk humanistycznych (historya, prawo, literatura, język) i ukończyli kurs nauk uniwersyteckich ze stopniem doktora, lub też w jednym z uniwersytetów rosyjskich ze stopniem naukowym kandydata; zapomoga ma na celu ułatwienie pobytu zagranicą, dla dopełnienia studyów w obranym zawodzie naukowym. Pomiędzy kandydatami, zarówno pod każdym względem zasługującymi na otrzymanie stypendyum, pierwszeństwo dane będzie kandydatowi, pochodzącemu z państwa rosyjskiego. Sty-

pendyum imienia Śniadeckich przeznaczoném jest dla pracujących w zakresie nauk matematycznych lub przyrodniczych. Ma ono na widoku, zarówno jak i poprzednie, dalsze kształcenie się zagranicą. Kandydat do tego stypendyum winien posiadać wyższy stopień naukowy i być znanym z gorliwéj pracy w zawodzie, któremu pragnie się poświęcić. Podania wnosić należy do Akademii Umiejętności w Krakowie po dzień 15 czerwca 1895 r. Oba stypendya płatne są w dwóch ratach półrocznych.



Korespondencya do Redakcyi.



Szanowny Panie Redaktorze!

W zeszycie kwietniowym „Ateneum" z r. 1895-go str. 190 — 2 znajduję sprawozdanie z pracy mojéj p. n. „Kilka zabytków języka staropolskiego". Ponieważ do recenzyi téj wkradło się kilka niedokładności, przeto proszę bardzo o umieszczenie sprostowań następujących:

1) Pisze szanowny recenzent na str. 191: „Prof. Nehring, opiérając się na wykładzie Lelewela, utrzymuje, że przepisywaczem (pieśni o Zwiastowaniu) był Marek Wschowski ze Słupi." Otóż Lelewel nigdzie nic podobnego nie wykładał, „prof. Nehring zaś opiérał się na wzmiance Lelewela w „Księgach bibl.", II, 89, że między przepisywaczami na Łyséj Górze był w wieku XV-ym Marcus Schowa de Slup"; wyrazy, podane tu w cudzysłowach, znajdują się na str. 16-éj naszéj pracy.

2) Pisze daléj szan. sprawozdawca: „Tekst... jest inną kopią, dokonaną przez Piotra z Pabianic i Jakóba z Czapli". Facsimile pieśni, dołączone do broszury naszéj, wskazuje, że jedna ręka a nie dwie tekst pieśni o Zwiastowaniu pisała; nie twierdzimy téż napewno w pracy naszéj na str. 17, aby jedna z przytoczonych osób tekst pisała; wyraziliśmy się tam tak: „jeżeli pieśń zapisała nie ręka jednego z nich (a więc nie obu, jak chce recenzent), to zapewne mało co późniejsza."

3) O *d* wsuniętém w wyrazie wpoździrodek zam. pośrodek sprawozdawca wypowiada przypuszczenie, że poździrodek wytworzył się na podobieństwo takich wyrazów, jak zdrogi (!), zdrowie, od

rodek i t. p. Nie mamy potrzeby uciekać się w tym razie do wpływu analogii: na str. 14 — 15 kilka wskazaliśmy przykładów wsunięcia *d* i *t* pomiędzy *z*—*r*, *s*—*r*, w celu usunięcia nie miłego dla ucha zbiegu tych spółgłosek; przykładów podobnych moglibyśmy przytoczyć i z innych języków znacznie więcéj, np. greckie ἀνδρός zam. ἀνρός, z-d-rój, os-t-rów i t. p.

4) Na str. 33, wyliczając kilka osobliwości fonetycznych, oddzielamy każdą z nich średnikiem; niesłusznie więc szan. sprawozdawca w nieścirpiedliwy i cipierdliwie widzi *d* wsunięte.

5) „Forma miłosierna jest według autora biernikiem liczby podwójnéj". W zabytku na str. 35 i 36 czytamy miłosiernie nie zaś miłosierna. (Może to zresztą omyłka druku).

6) Dziwić się należy łatwości, z jaką szan. sprawozdawca imię Florianus na Tworzan przerobił (str. 192). Nie posuwając się do takiéj śmiałości, zaznaczamy w pracy naszéj na str. 39 tylko, że w staréj polszczyznie imieniem Tworzana zwano Floryana.

7) Cytata ze słownika Baudouina de Courtenay *tuoriano* (nie (nie *tuoriana*, jak pisze sprawozdawca) nie odnosi się do bramy Tworzańskiéj t. j. Floryańskiéj.

8) „Autor miejscowość Giebło w olkuskiém wywodzi od nazwiska Gbela vel Kbela". Od nazwiska Marcina de Gbel miejscowości wywodzić nie mogliśmy, gdyż przeciwnie osoba od miejscowości nazwę otrzymała; wypowiedzieliśmy zaś na str. 70 wniosek z zestawienia nazwy Gbel ze znajdującą się u Długosza Kbel, „że jestto nazwa téj saméj miejscowości, dziś zwanéj Giebło, leżącéj w pow. olkuskim". Za wskazówkę o Czechu Kbelu z r. 1412 wdzięczni szanownemu sprawozdawcy jesteśmy.

Wyrazy należnego szacunku dla Szanownego Pana
Redaktora łączy

Rafał Lubicz.

Warszawa, 26/IV 95 r.

OD

Komitetu Towarzystwa Przeciwżebraczego

otrzymujemy następującą odezwę z prośbą o umieszczenie.

„Dnia 11-go kwietnia zorganizowało się w Warszawie, na zasadzie Najwyżéj w dniu 20-ym stycznia zatwierdzonéj Ustawy: „Towarzystwo przytułków noclegowych, tanich garkuchni i herbaciarni, oraz domów zarobkowych", mające na celu ukrócenie żebractwa. Wybrany przez założycieli Towarzystwa komitet nadzorczy, obejmuje, pod przewodnictwem prezesa Towarzystwa, w myśl § 15-go Ustawy wyznaczonego z urzędu, następujące, powstałe w latach 1892, 1893 i 1894, staraniem i z inicyatywy Oberpolicmajstra m. Warszawy, generał-majora Klejgelsa zakłady:

A. Przytułki noclegowe:

1) przy ulicy Petersburskiéj na Pradze, w nowowybudowanym domu murowanym, oddzielnym — na 350 osób;

2) na Rybakach, w lokalu wynajętym, pod Nr. 1—na 250 osób;

3) przy ulicy Czerniakowskiéj, w wybudowanym baraku drewnianym.

W przytułkach tych w ciągu r. 1894 było 245,432 płatnych i 2,930 bezpłatnych noclegów, czyli razem — **248,362** rocznie.

B. Baraki z taniemi garkuchniami i herbaciarniami:

1) przy rogatce Wolskiéj (ze stacyą dla przychodnich robotników, szukających zarobku);

2) na placu Witkowskiego;

3) na ulicy Targowéj na Pradze;

4) na placu Grzybowskim;

5) na placu Mirowskim;

6) na Szerokim Dunaju;

7) na ulicy Czerniakowskiéj;

8) na placu Wojennym (dla żydów);

9) na placu Grzybowskim w podwórzu pod Nr. 1 (dla żydów).

W barakach tych wydano w ciągu roku 1894-go — 2,753.296 porcyi ciepłéj strawy i 806,263 porcyi herbaty i kawy, czyli razem 3,559,559 porcyi rocznie.

C. Domy zarobkowe:

1) na ulicy Petersburskiéj na Pradze, w specyalnie wybudowanym baraku drewnianym przy domu noclegowym — na 300 osób;

2) przy ulicy Czerniakowskiéj, w specyalnie wybudowanym baraku drewnianym, urządzonym również i do noclegów—na 100 osób.

W tych dwóch domach zarobkowych w ciągu r. 1894 przebywało około 14,000 mężczyzn i kobiét, którzy wyrobili towaru (worki, kosze, torebki, słomianki i t. d.) na sumę około 19,000 rs.

Komitet nadzorczy, świadomy trudów zadania i ciężkiéj wobec ogółu odpowiedzialności, połączonéj z kierownictwem tak rozlicznych a tak pomyślnie rozrozwijających się instytucyi, jeśli przyjął powierzone mu przez założycieli Towarzystwa mandaty, to jedynie w głębokiém przekonaniu, że skoro ustawa nowego Towarzystwa nastręcza możność zbiorowego poparcia usiłowań, które oddały już tyle ważne najuboższéj ludności Warszawy usługi, należy poparcia tego udzielić w jaknajszerszéj mierze i z wszelką gotowością do wspólnéj pracy około dalszego owych instytucyi rozwoju i rozszerzania zakresu ich pożytecznéj działalności.

Lecz to poparcie nie może być dziełem jednostek. Zadanie, jakie przypada w udziale nowemu Towarzystwu, będąc jednėm z najbardziéj naglących, jest zarazem szczególnie wdzięczném i ponętném. Wielki i niezmiernie do rozwiązania trudny problemat usunięcia żebractwa z ulic i domów, zapobieżenia wstrętnemu wyzyskowi serc miłosiernych, zwrócenia drobnéj, zdawkowéj jałmużny, na drogę racyonalną i bardziéj celowi odpowiednią — da się tylko wówczas, choć w małéj cząstce, załatwić, jeśli z drugiéj strony zapewnioną będzie owym żebrakom pomoc, czy to przez gęsto po mieście rozsiane przytułki noclegowe, które bezdomnym dają dach nad głową, czy przez tanie herbaciarnie i garkuchnie, które, za cenę paru kopiejek, udzielają im zimą i latem ciepłéj strawy, czy téż, co najważniejsze, przez domy zarobkowe, dostarczające czasowych zarobków mieszkańcom miasta, nie mającym pracy z przyczyn od nich niezależnych.

W ten sposób Towarzystwo nasze staje się istotnie *przeciwżebraczém*, bo zyskuje możność usuwania rzeczywistych i pozornych przyczyn zawodowego żebractwa, bo miłosierdziu publicznemu nastręcza odpowiedź: idź tam, gdzie ci ułatwią zarobkowanie.

By jednak odpowiedź taka mogła być powszechną, ilość Towarzystwa naszego zakładów musi się ustawicznie powiększać, a działalność jego rozszerzać się do wszystkich dzielnic Warszawy. To, czego już w danym zakresie dokonano, jest niewątpliwie pomyślnym początkiem, lecz — początkiem tylko. Półmilionowe miasto, przy stale wzrastającéj ludności, przyrodzone nędzarzy z całego kraju ognisko, dalekiém jest jeszcze od zaspokojenia nawet najbardziéj naglących w tym

kierunku potrzeb. Są one tych rozmiarów, iż inicyatywa i usłowanie jednostek żadną miarą podołać im niezdolne. Trzeba zbiorowego działania i po nie właśnie komitet Towarzystwa zwraca się niniejszém do miłosierdzia publicznego Warszawy, ufny, że ono nie zawiedzie i dziś, jak nie zawodziło nigdy w ciągu lat mnogich.

Wiemy dobrze, iż przychodzimy nie pierwsi lecz ostatni, że przed nami cały szereg znanych i zasłużonych instytucyi dobroczynnych miasta zdoła kilkudziesięcioletnią pracą zaskarbić sobie słuszną i sprawiedliwą wdzięczność ogółu. To téż komitet Towarzystwa nie zamierza bynajmniéj ofiarności publicznéj, wyłącznie w swoją zwracać stronę lub, broń Boże, w czémkolwiek jéj uszczuplać. Przeciwnie: najmłodsi w szeregu liczymy na poparcie i pomoc naszych poprzedników i towarzyszy, liczymy na tę, i w dziełach miłosierdzia niezbędną solidarność, oraz wzajemne porozumiewanie się, tak konieczne w wszelkiém społecznêm działaniu.

Zgoła odrębne, dotychczas przez żadne z istniejących w Warszawie Towarzystw, z powodu natury i zakresu ich czynności, nieuprawiane pole, upoważnia nas do nadziei, że ze strony pokrewnych a tak już zasłużonych instytucyi doznamy tém gorętszego poparcia, iż pieczy nowego Towarzystwa przypada w udziale przeważnie ta warstwa ubogich i nędzarzy, która czy to z powodu upadku moralnego, czy wstrętnych nałogów i niechlujstwa, czy wreszcie zawodowego wyzyskiwania miłosierdzia, do ich opieki i pomocy nie posiada tytułu.

Nowe Towarzystwo jest instytucyą *pomocniczą*, garnącą wyrzutki nieszczęścia i nędzy; daje ono tylko przytułek nocny oraz ciepłą strawę tym, którzy gdzieindziéj znaléść muszą i odzież, i pomoc w wyszukaniu stałéj pracy, i opiekę nad dziećmi, i w chorobach poradę, i w nieuleczalném kalectwie schronienie, i na starość zasiłek, etc. Nowe Towarzystwo jest instytucyą *zapobiegawczą*, bo usuwaniem najstraszniejszych a bezdomnych okazów żebractwa do domów zarobkowych, już przez to samo ułatwia zadanie innym, gdyż zmusza do pracy, a zapobiega wyzyskowi miłosierdzia. Nowe Towarzystwo jest wreszcie instytucyą *powszechną*, najszerzéj dla wszystkich otwartą, przed nikim bowiem wrót swych zakładów nie zamyka, żadnych kwalifikacyi nie wymaga, innych, prócz braku miejsca, ograniczeń, nie zna.

I właśnie ten potrójny, pomocniczy charakter naszego Towarzystwa, ta nadzieja, iż może i powinno się stać uzupełnieniem wszelkich innych zakładów, oraz przedsięwzięć dobroczynnych miasta, napawa nas otuchną, iż Warszawa pojmie jego doniosłość i nie odmówi swéj skutecznéj pomocy, po którą w Imię Boże, w imię najstraszniejszéj moralnéj i materyalnéj nędzy, wyciągamy niniejszém rękę, upraszając o liczne zapisywanie się w poczet członków Towarzystwa.

Jak wiadomo w myśl § 4 Ustawy Towarzystwa, członkowie jego noszą tytuł: *rzeczywistych* i *zwyczajnych*. Pierwsi mają prawo głosu na zebraniach ogólnych, a wnoszą rocznie *najmniéj* rs. 10; drudzy płacą składkę roczną najmniéj 1 rs. Zapisy przyjmują członkowie komitetu nadzorczego, a mianowicie: prezes Towarzystwa generał-major *Klejgels* — Ratusz; wice-prezes ks. Zygmunt *Chełmicki* —

Podwal, 27; ks. prałat *Dudrewicz* — Praga, 8; Profesor Ignacy *Baranowski* — Krakowskie-Przedmieście, 7; Dr. Karol *Benni*—Bracka, 16; Dr. Stanisław *Markiewicz*—Miodowa, 3; Stanisław *Libicki* — Złota, 44; Kar ol *Szlenker* — Jasna, 19; Julian *Fuchs*—Miodowa, 16; Zygmunt *Twarowski*—Bednarska, 1; Julian *Różycki* — Praga, Brukowa, 31; Kazimierz *Natanson*—Nowy-Świat, 2; Otton *Alberti* — Senatorska, 8 Józef *Juszczyk* — Miodowa, 21; Kasyer Towarzystwa Adam *Popławski* — Rysia, 5 Sekretarz Towarzystwa Antoni *Zaleski*—Redakcya „Słowa“, Warecka, 15. Tudzież zastępcy członków: Franciszek *Olszewski* — redakcya „Kuryera Warszawskiego“ Bronisław *Werner* — Królewska, 8; Józef *Kirszrot-Prawnicki* — Włodzimierska, 1 Bernard *Handtke* — Mazowiecka, 4.



NEKROLOGIA.

† Ś. p. d-r **Władysław Frankowski**, ur. w r. 1819 w powiecie mozyrskim, zmarł w Charkowie 15 kwietnia 1895 r. Wcześnie osiérocony, został na opiece ludzi obcych. Gdy miał lat 15, wstąpił do akademii wileńskiéj, skąd niebawem przeniósł się do Charkowa, gdzie ukończył wydział lekarski w r. 1840. Mianowano go wówczas ordynatorem kliniki terapeutycznéj i położniczéj. Jeczcze będąc studentem na wyższych kursach, stosował ś. p. Frankowski umiejętności swoje w praktyce. Nie zważając na pogodę, obiegał on przedmieścia Charkowa, niosąc pomoc do chałup ubogich. W tym kierunku, obranym przezeń jeszcze na ławie studenckiéj, wytrwał nieboszczyk do końca swego życia. Imię jego stało się niebawem głośne, praktyka rozległa, a Frankowski tak mało pamiętał o sobie, że gdy w 5 lat po ukończeniu uniwersytetu ciężko zapadł na tyfus, koledzy nie znaleźli w biurku jego tyle, ile w razie śmierci potrzebaby było na pogrzeb. Cały zarobek od zamożniejszych chorych oddawał ubogim. Frankowski nie był nigdy profesorem, ani głośnym uczonym; kilkanaście prac naukowych, które wydał, są to pobieżnie rzucone notatki z praktyki; stanowią one najmniejszą część jego zasługi. Nie był téż Frankowski doktorem dygnitarzem, drogo sprzedającym swój czas bogatym pacyentom. Dostępny dla wszystkich, gotowy na wszelkie zawołanie stanąć tam, gdzie go wzywał obowiązek, léczył Frankowski wszystkich prawie bez wypoczynku. Starannie prowadzone księgi wykazują przerażającą liczbę 200,000 chorych, przyjętych tylko w domu w ciągu 53 lat jego działalności lekarskiéj. Ś. p. Frankowski był wcieleniem pracy i poświęcenia dla cierpiących, ofiarności, posuniętéj do zupełnego zaparcia się siebie. Przytém czystość charakteru, łagodność

w obejściu, wyrozumiałość i dobroć względem kolegów jednały dlań wszystkie serca. I oto ów skromny pracownik, „przyjaciel ubogich”, człowiek, który nigdy nie szukał godności, zaszczytów lub sławy, doszedł do tego, że wszystkie głowy przed nim się chyliły, że głos jego był powagą dla lekarzy i dygnitarzy. I te tłumy, które otaczały jego pogrzeb, były wyrazem szczerego żalu; bo nie przez ciekawość i nie dla parady, lecz z poczuciem boleści i żalu nad stratą swoją cisnęła się uboga ludność za katafalkiem swego lekarza-dobroczyńcy. Frankowski nie ograniczał się w działalności swojéj do udzielania rady jednostkom. Litując się szczególniéj nad losem chorych dzieci ubogich rodziców, od r. 1872 zaczął już kołatać do rady miejskiéj o założenie szpitala dziecinnego. Marzenia jego spełniły się w r. 1878, gdy miasto postanowiło w formie próby założyć niewielki szpital czasowy, który w następnym roku rozszerzono i zamieniono na stały. Szpitał ten otaczał szczególną opieką. Trudno dać pojęcie o téj popularności, jaką się cieszył Frankowski w całym Charkowie i jego okolicach, o czci, jaką otaczała go uboższa ludność, o poważaniu, które okazywali wszyscy. Jednym z objawów tych uczuć był jubileusz 50-letniéj działalności jego, obchodzony uroczyście w sali ratuszowéj, podczas którego Frankowski został obrany na honorowego obywatela miasta. Masa adresów i deputacyi przywitała go wówczas, a pozdrowienia telegraficzne przychodziły z najodleglejszych okolic. Też same uczucia objawiły się podczas niezwykle uroczystego pogrzebu, na którym występowały wszystkie władze rządowe w strojach galowych, za trumną zaś niesiono sztandar miejski. Całe miasto przyjmowało w nim udział: na ulicach, po których szedł pochód, zapalono latarnie, a cały koszt pogrzebu, również jak i nagrobek, przyjęło miasto na siebie, wyznaczając prócz tego wdowie 900 rs. emerytury rocznéj. Miło jest wspomnieć o takim człowieku, który, jako żywy przykład, świéci licznym pokoleniom lekarzy, który był wzorem prawdziwie ludzkiego pojmowania swego zadania. Postać Frankowskiego, jako człowieka i obywatela, jest tak wzniosłą, że zasłania sobą utalentowanego lekarza, sumiennego pracownika na polu naukowém, człowieka powołania w całém znaczeniu słowa. Byłoby téż bardzo pożądaném, aby przyszedł do skutku projekt wmurowania w kościele charkowskim tablicy pamiątkowéj z imieniem nieboszczyka. *Wł. M. K.*

† Ś. p. **Teodor Paprocki,** urodzony r. 1855, otrzymawszy skromne wykształcenie, wstąpił na praktykę księgarską do Stanisława Czarnowskiego, następnie objął po nim interes kolportacyi książek po prowincyi i bardzo umiejętnie go rozwinął. Wreszcie nabywszy księgarnię po Polaku, z wielką rzutnością i zdolnością inicyatywy zaczął

rozwijać działalność wydawniczą nietylko w zakresie beletrystyki, ale także i w dziedzinie książek naukowych. Bardzo pokaźną, jak na krótki okres działania (od r. 1883) liczbę tych wydawnictw wykazuje jego katalog nakładowy, w którym znajdujemy takie ściśle naukowe dzieła, jak Nałkowskiego Geografia rozumowana, Daniella Fizyka, Zeisela Chemia, oraz tak pożyteczne, jak „Złota przędza poetów i prozaików polskich" (4 duże tomy), „Obraz literatury powszechnéj w streszczeniach i przekładach" (dotąd 6 zeszytów, mają być 2 tomy). Pojmując zadanie księgarza w sposób umiejętny, zajmował się ś. p. Paprocki gorliwie bibliografią i przez lat kilka wydawał bardzo cenne „Wiadomości bibliograficzne", które wzbogaciły ten dział nauki kilkoma wykazami artykułów, zawartych w czasopismach. Od r. 1887 do 1891 wydawał tygodnik, wyłącznie literaturze poświęcony, p. t.: „Życie", w którym znalazło pomieszczenie dużo pięknych przekładów z literatur obcych, tak w tekście, jako téż w dodawanéj bibliotece arcydzieł, gdzie między innemi znajdujemy „Prometeusza rozpętanego" w tłómaczeniu Feliksa Jezierskiego, „Antologię prowansalską" w przekładzie Edwarda Porębowicza. Nakoniec w r. 1894 puścił w bieg pierwszy zeszyt dzieła, na rozleglejszą skalę pomyślanego, p. t.: Podręcznik księgarski", pierwszą u nas w tym kierunku książkę. Wśród coraz szerzéj rozwijającéj się działalności niespodzianie atakiem paralitycznym rażony, musiał wszystkiego zaniechać. Umarł w Warszawie 6 maja.

† Ś. p. **Edward Przewóski**, urodzony w Siedlcach r. 1851, uczęszczał do szkół najprzód w tém mieście, a potém w Lublinie, ukończył następnie uniwersytet warszawski ze stopniem kandydata praw, przedstawiwszy rozprawę p. t. „Józef Supiński, zarysy nauki społecznéj". Pociągała go najwięcéj filozofia, encyklopedya prawa i nauki społeczne. Wyjechał następnie do szkoły rolniczéj w Żabikowie pod Poznaniem, gdzie się zajmował naukami przyrodniczemi i ekonomią rolniczą. Powróciwszy do Warszawy, zaczął pisywać do „Opiekuna domowego", następnie w r. 1876 wszedł do redakcyi „Nowin", pisma z początku tygodniowego, potém codziennego. W końcu r. 1879 wyjechał za granicę, w końcu r. 1880 osiadł we Lwowie i pisywał stamtąd stałe artykuły do „Przeglądu tygodniowego. W r. 1884 opuścił Galicyę i udał się do Paryża, skąd nadsyłał korespondencye, szkice i rozprawy do „Przeglądu tygodniowego", „Prawdy", „Głosu", „Ateneum", „Tygodnika ilustrowanego", „Kraju" petersburskiego i innych. W r. 1891 wrócił do kraju, po krótkim pobycie w Warszawie, zamieszkał w Kijowie. Zajmował się wtedy głównie, jak i w ostatnich latach w Paryżu studyami nad krytyką literacką we Francyi. „Ateneo-

um" pomieściło następne jego rozprawy: „Wykolejony—Juliusz Vallès" (1885), „Krytyk impresyonista — Juliusz Lemaître" (1889), „Krytyka naukowa dzieł sztuki — Emil Hennequin" (1892), „Rodowód i dążenia symbolizmu—Charles Morice" (t. r.), „Emil Faguet i krytyka psychologiczna" (1894), „Krytyk moralista—Edward Rod" (1895). Miał zamiar utworzyć ze studyów tych osobną książkę. Zaczął też badać historyę krytyki polskiéj, a pierwszym zarysem w téj mierze była rzecz o Maurycym Mochnackim w „Kraju". Niestety, zmarł przedwcześnie 22 maja w Kijowie.





Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński.* — Redaktor *P. Chmielowski.*